

# vincent

"ON BYŁ JEJ MROCZNĄ BAJKĄ,  
ONA JEGO POKRĘCONĄ FANTAZJĄ".  
F. SCOTT FITZGERALD



JULIA BRYLEWSKA



**JULIA BRYLEWSKA**

# **VINCENT**

**OŚWIĘCIM 2023**

Copyright © 2023

Julia Brylewska

Wydawnictwo NieZwykłe

All rights reserved

Wszelkie prawa zastrzeżone

**Redakcja:**

Anna Strączyńska

**Korekta:**

Sara Szulc

Katarzyna Olchowoy

Dominika Kalisz

**Redakcja techniczna:**

Paulina Romanek

**Projekt okładki:**

Paulina Klimek

**Autor ilustracji:**

Marta Michniewicz

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8320-926-5

# Spis treści

Od Autorki

Prolog

Część Pierwsza

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Część Druga

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Część Trzecia

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Epilog

Podziękowania

Playlista

Przypisy



## Od Autorki

Drogi czytelniku!

Cieszę się, że mam okazję zaprosić Cię do przeżycia kolejnej przygody ze stworzonymi przeze mnie bohaterami. Mam nadzieję, że spędzisz wiele wspaniałych chwil w towarzystwie Eleanor i Vincenta!

*Vincent* nie jest kontynuacją, prequelem czy też sequelem którejkolwiek z napisanych przeze mnie książek. Jest to osobna historia, która zamyka się w jednym tomie.

Książka nie ma na celu promowania zachowań dewiacyjnych czy też gloryfikowania jakiegokolwiek formy łamania prawa. Opisane sytuacje i wydarzenia nie powinny stanowić wzoru do naśladowania.

*Vincent zawiera treści nieodpowiednie dla osób poniżej szesnastego roku życia.*

Miłego czytania!

Julia

*I zazdrozczą mi może, że rabuję skrycie  
Godzinę jedną temu, co mi bierze życie.  
Victor Hugo, Dramat w pięciu aktach*





## Prolog

Vincent był złodziejem. Niezwykle eleganckim i czarującym.

Zdolność urzekania ludzi, która przypadła mu w spadku albo po matce, albo po ojcu – żadnego z nich nie miał okazji poznać, stąd też nie był w stanie określić, po kim tę zdolność odziedziczył – pozwalała mu zdobywać wszystko, czego tylko zapragnął. Zwykle nie musiał nawet posuwać się do użycia słów. Najczęściej wystarczył zaledwie uśmiech.

W dzieciństwie zwykł wykorzystywać swój „dar”, aby dostać większą porcję ciastek niż pozostałe dzieciaki w sierocińcu, w którym przyszło mu dorastać. Nigdy nie narzekał na taki stan rzeczy, być może dlatego, że nie miał pojęcia, iż istnieje coś innego niż to, co otrzymał od losu.

Jednak z czasem, gdy dorósł na tyle, by przekonać się, w jak paskudnym świecie przyszło mu żyć, zrozumiał, że mógł wykorzystać swój talent do zdobycia czegoś więcej niż kilka spalonych ciastek w porze podwieczorku.

Zaczął zatem kraść. Nie z przymusu, lecz z wyboru. Podczas gdy inne dzieciaki pilnie uczyły się do egzaminów, by dostać się na dobre uczelnie i zostać ludźmi idealnie wpasowującymi się w przyjęte w społeczeństwie normy dorosłości, Vincent skrupulatnie pielęgnował to, w czym był najlepszy.

W późnych porach wieczornych wykradał się do galerii i wrodzonym urokiem oczarowywał starsze, bogate i samotnie spacerujące kobiety, które niemal same wpychały mu kosztowności w chłopięce dłonie.

Choć początkowo odczuwał coś, co mogło być skruchą i wyrzutami sumienia, szybko przypominał sobie, że nie potrafił niczego innego. Żył więc tak, jak umiał. Nawet jeżeli inni ani trochę tego nie pochwalali.

Czyż w życiu nie chodzi o odnalezienie tego, w czym jest się najlepszym, i kurczowe trzymanie się tego, nie zważając na to, co pomyślą o nas inni?

W czwartkowe popołudnie, gdzieś pomiędzy czasem, który ludzie zwykli nazywać porą podwieczorku i na krótko przed kumulacją komunikacyjnego szczytu, gdy na ulice wypełzały zmęczeni pracownicy wysokich biurowców, Vincent robił to, w czym był najlepszy.

Okazje nadarzały się same, przychodziły niespodziewanie i sprawiały, że dotąd niewzruszone serce pewnego złodzieja zaczynało bić odrobinę szybciej.

Dostrzegł ją snującą się między manekinami jednego z ekskluzywnych butików na piętrze małej galerii. Mogła mieć nie więcej niż czterdzieści pięć lub czterdzieści sześć lat. Jasne włosy upięła w elegancki kok, pragnąc sprawiać wrażenie nieco bardziej majątnej niż w rzeczywistości. Z pewnością była samotna. Vincent zawsze potrafił to rozpoznać.

Zdobiąca palec jej prawej ręki złota obrączka wskazywała natomiast na to, że w przeszłości ktoś ją kochał. Wdowa lub rozwódka, jak sądził. A może wciąż była zamężna, ale w związku, w którym tkwiła, czuła się o wiele bardziej samotna niż na oddalonej od cywilizacji bezludnej wyspie?

Ostatecznie nie miało to większego znaczenia.

Tym, co przyciągnęło jego uwagę, był perłowy naszyjnik, który okalał szczupłą szyję kobiety. Błyszczał w świetle sklepowych lamp. Zachwycający i piękny.

Vincent, jak przystało na złodzieja, uwielbiał wszystko to, co piękne i kosztowne.

Przez chwilę obserwował kobietę z dogodnej odległości, a gdy wreszcie zdecydowała się wybrać jedną z sukienek, podążył za nią niczym cień. Żadna z pracownic sklepu nie zwróciła na niego uwagi. Były zbyt zajęte plotkowaniem o najnowszym sezonie jakiegoś taniego reality show, by zaprzętać sobie głowę mężczyzną w czerni wkradającym się do przymierzalni.

Tymczasem Vincent zwolnił kroku. Przy wejściu do przymierzalni ustawiono długi wieszak, gdzie klienci porzucali ubrania, które w sklepowym lustrze nie sprostały ich oczekiwaniom.

Chwycił pierwszą lepszą rzecz – szarą marynarkę w dużą kratę – i wszedł do przymierzalni w tej samej chwili, w której kobieta z perłami wyszła z kabiny i stanęła przed ogromnym lustrem.

Miała na sobie tę samą sukienkę, którą kilka chwil wcześniej wybrała. Intensywnie zielony materiał ściśle przylegał do jej wąskiej talii. Choć każda inna kobieta w jej wieku zapewne byłaby w pełni zadowolona, gdyby jej odbicie wyglądało właśnie tak, na twarzy nieznajomej pojawił się grymas rozczarowania i niepewności.

Kilka sekund przed tym, jak uniosła wzrok, Vincent powiedział ze swobodą w aksamitnym głosie:

– Proszę wybaczyć, że tak bezceremonialnie się przyglądam, ale wygląda pani obłędnie.

Kobieta poderwała głowę, nie kryjąc zaskoczenia. W odbiciu ogromnego lustra dostrzegła stojącego kilka kroków za nią mężczyznę w czarnym płaszczu, z szarą marynarką przerzuconą przez przedramię. Nawet z takiej odległości mogła dostrzec, że przewyższał ją o ponad głowę. Był młodszy od niej zapewne o więcej niż dziesięć lat. Jego blada skóra kontrastowała z czernią ubioru i zlewała się z odcieniem białych włosów. Natomiast jego ciemne oczy patrzyły na nią z błyskiem, który w dziwny sposób sprawił, że uwierzyła w każde wypowiedziane przez niego słowo.

– Och. Naprawdę tak pan uważa? – Jeszcze raz przejrzała się w lustrze i dłońmi pokrytymi przez pierwsze bardziej widoczne zmarszczki wygładziła zielony materiał. – Wydawało mi się, że ta sukienka odrobinę mnie pogrubia, ale czego się mogę spodziewać? Nie wyglądam już przecież jak nastolatka!

Vincent przesunął się o krok. Poruszał się tak cicho, że kobieta nawet tego nie spostrzegła.

– Doprawdy? – zapytał z pełnym przekonania zaskoczeniem. – Bo patrząc na panią w tej sukience, jestem zupełnie innego zdania.

Nieznajoma nie zdołała zapanować nad uśmiechem. Nigdy nie była łasa na podobne komplementy, ale kiedy po raz drugi w odbiciu lustra odnalazła spojrzenie czarnych oczu mężczyzny, znów z zadziwiającą łatwością mu uwierzyła.

– To jakaś specjalna okazja? – zapytał, bezgłośnie stawiając kolejny krok.

– To moja pierwsza randka od śmierci męża – wyznała, przekręcając tkwiącą na palcu złotą obrączkę. Był to gest pełen sentymentu i tęsknoty. – Chyba już zapomniałam, jak to jest być piękną.

Vincent pokręcił głową, jakby dezaprobuując słowa, które właśnie padły.

Odgrywał ten scenariusz już tak wiele razy – znajdował ofiarę, odszukiwał jej słabość, a potem karmił ją tym, wobec czego odczuwała największy głód.

Ludzie byli bowiem tak prostymi do odgadnięcia istotami. Pogrążeni w smutku i rozpacz, łapali się nawet najbardziej absurdałnej i niedorzecznej okazji, by wyrzucić z siebie to, co od dawna spędzało im sen z powiek.

– Każda kobieta jest piękna, jeśli tylko sobie na to pozwoli – odparł, pozwalając, aby prawy kącik jego ust nieznacznie drgnął w lekkim uśmiechu. Był zachęcający i wyraźnie dodał kobiecie odwagi. – Proszę tylko na siebie spojrzeć... – Uniósł dłoń, po czym smukłymi palcami dotknął jej szczupłego ramienia. Opuszkami przesunął po perłowym naszyjniku, który uśmiechał się do niego w lustrzanym odbiciu.

Spojrzał na nią w lustrze i pochwycił lekko zamglony wzrok kobiety. Stojąc tuż za nią, od góry do dołu spowity w czerń, z bladą niczym śnieg skórą i nieznacznym uśmiechem skrywającym w sobie o wiele więcej nikczemności, niż mogłoby się wydawać, wyglądał jak upiór czający się tuż za jej ramieniem.

– Proszę to powiedzieć – nakazał zachęcająco, przesuując rękę w kierunku jej szyi. – Na głos.

Kobieta uniosła dumnie podbródek. Gdy w następnej chwili rozchyliła wargi, te zadrżały z widocznym zawahaniem.

– Jestem piękna.

Vincent uśmiechnął się nieco szerzej, jakby z dumą i zadowoleniem. Od zawsze był dobry w graniu emocjami. Niekiedy wystarczył odpowiedni uśmiech czy właściwy ton głosu albo najdrobniejszy nawet gest, by całkowicie omamić ofiarę.

Pochylił się odrobinę i szepnął:

– Proszę nigdy więcej w to nie wątpić.

Pod palcami poczuł, że kobieta zadrżała. Na jej policzki wypłynęły delikatne rumieńce, a brązowe oczy zabłyszczały z zachwyty. Przepadła, a on nie potrzebował już niczego więcej.

Kilka sekund później odsunął się od nieznajomej, cofnął dłonie i dodał:

– Drobną rada. – Zerknął na obrączkę na jej palcu. – Przed randką niech pani koniecznie ją zdejmie.

Kobieta spojrzała na niego z zaskoczeniem. Od śmierci męża, choć od tamtego dnia minęło już dziesięć lat, nigdy się z nią nie rozstawała. Jednak może rzeczywiście nadszedł czas, by przestała nieustannie nosić ją przy sobie, pozwalając, aby ten ciężar przypominał jej o mężczyźnie, którego straciła?

– Dziękuję – szepnęła, jakby sądziła, że właśnie spotkała na swojej drodze dobrą duszę, a nie czarującego złodzieja, w którego kieszeni leżał teraz jej perłowy naszyjnik.

Vincent obdarzył nieznajomą ostatnim uśmiechem, nim zostawił ją w pustej przymierzalni. Po drodze pozbył się kraciastej marynarki i wyszedł ze sklepu tak, jak się do niego dostał – niezauważony przez nikogo.

Wyszedł na zatłoczoną ulicę centrum Baton Rouge<sup>1</sup> i spokojnym krokiem ruszył w kierunku Downtown<sup>2</sup>. Po kilku minutach skręcił w prawo, w jedną z wąskich uliczek między wysokimi budynkami wzniesionymi z szarego kamienia. Dopiero wtedy wydobył z kieszeni swoją zdobycz.

Błyszczące perły przelały się przez smukłe palce złodzieja, ciesząc swoim pięknem jego oczy. Ale i to rozkoszne uczucie przygasło, nim na dobre zdołało rozkwitnąć.

Uśmiech spłynął z ust Vincenta.

Im starszy się stawał, tym częściej łapał się na momentach takich jak ten – gdy znużenie zaczynało ciążyć mu na duszy, a to, co dotychczas przyprawiało go o szybsze bicie serca, stawało się o wiele mniej ekscytujące, niż by tego pragnął.

W ostatnim czasie takie momenty nawiedzały go niemal nieustannie, a Vincent po raz pierwszy w życiu miał wrażenie, że to jemu coś kradziono. Czas był bowiem złodziejem. I nie miał za grosz litości.

Kto by pomyślał, że nawet złodziej może popaść w marazm?

Pustym wzrokiem patrzył na naszyjnik z pięknych pereł. Nie ukradł go dla pieniędzy. Wbrew temu, co mogliby pomyśleć inni ludzie – wcale ich nie potrzebował, ani tym bardziej ich nie chciał. Pieniądze czyniły z ludzi głupców, odbierały rozum i sprawiały, że wszystko stawało się żałośnie łatwe.

Jak wiele warte jest życie pozbawione wyzwania i trudności?

Vincent kradł, bo lubił trzymać w dłoniach wszystko, co piękne, lecz nie potrafił już cieszyć się tym w równym stopniu, co kiedyś. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że powoli przestawał być... sobą. Zupełnie jakby czas kawałek po kawałku zabierał mu wszystko, co dotąd czyniło jego życie sensownym.

Błede palce zacisnęły się na perłach. Chwilę później naszyjnik wylądował na dnie kieszeni czarnego prochowca, a od ścian wąskiego zaułka odbiło się echo kroków.

Istniało pewne miejsce w Baton Rouge – zbyt oddalone, by policja zaprzętała sobie nim głowę, i zbyt obskurne, aby ktokolwiek, kto nie był nikczemnikiem, dobrowolnie zdecydował się przekroczyć jego próg.

Właścicielem był Dave, choć Vincent od początku podejrzewał, że jego prawdziwe imię różniło się od tego, którym posługiwał się, gdy stał za kontuarem baru.

Z oddali lokal wyglądał jak dawno zapomniane miejsce, które pod wpływem czasu zapadło się nieco pod ziemię, więc każdy, kto odważył się popchnąć drewniane drzwi, w pierwszej chwili napotykał na swojej drodze kilkustopniowe skrzypiące schody. Dopiero po ich pokonaniu potencjalny klient docierał do jedyne go pomieszczenia.

Każdego wieczoru w barze Dave'a gromadziło się więcej złoczyńców, niż można było ich znaleźć w większości więzień stanowych.

Vincent czuł się tu niemal jak w domu. Prawdziwego bowiem nie posiadał. Często wynajmował jeden z małych pokoi na piętrze, oferując w zastaw to, co akurat trzymał w kieszeni płaszcza.

Dave przywitał go, stawiając na blacie szklankę czerwonego, nieprzyjemnie gorzkiego, taniego wina, które barwą przypominało bardziej rdzę niż rubin. W tym miejscu Vincent nie mógł liczyć na kieliszek ani tym bardziej na alkohol lepszej jakości. Nigdy jednak nie narzekał.

– Udane łowy? – zapytał lekko zachrypniętym głosem właściciel.

Dave był uosobieniem stereotypów, które nasuwały się na myśl, gdy ktokolwiek usłyszał: „Właściciel obskurnego baru dla ludzi o równie obskurnych duszach”. Miał szerokie ramiona, był wysoki i postawny, na jego czole widniała podłużna blizna, której dorobił się podczas jednej z licznych bójek między pijanymi gośćmi, a z prawego kącika jego wąskich ust wystawał niedopałek papierosa.

Vincent usiadł przy barze, przysunął do siebie szklankę i zdawkowo odpowiedział:

– W istocie.

Jednym z wielu plusów tego miejsca był fakt, że choć Dave zawsze witał złodzieja tym samym pytaniem, a Vincent zawsze odpowiadał na nie w ten sam sposób, ich rozmowy nigdy nie trwały dłużej niż kilka sekund. A nic nie koło zmęczonej duszy lepiej niż towarzystwo alkoholu i ciszy.

Drewniane schody zaskrzypiały za plecami złodzieja. Dwa razy. Chwilę później przy przeciwnym końcu baru pojawiło się dwóch mężczyzn. Przez panujący tu półmrok z trudem można było dostrzec ich twarze, jednak jak większość osób odwiedzających to miejsce byli ubrani na czarno.

Żaden nikczemnik nie chodził przecież w różowym płaszczu.

Zamówili butelkę burbona, a potem jeden z nich powiedział do drugiego:

– To cacko jest warte grube miliony. Bylibyśmy ustawieni do końca życia!

Jego towarzysz chwycił dwie puste szklanki i alkohol, po czym odpowiedział głosem przesiąkniętym sceptycyzmem:

– Niepotrzebnie się nakręcasz, Stan. Żadna błyskotka nie jest warta aż tyle zachodu.

Vincent na dźwięk tych słów nieznacznie podniósł wzrok. Opuszkami palców przesunął po całej długości szkła, które tkwiło w jego dłoni. Tego wieczoru nawet wino nie wydawało mu się kuszące.

Kiedy mężczyźni szli wzdłuż baru, kierując się w stronę pustego stolika nieopodal pokrytego kurzem pękniętego okna, pierwszy z nich rzucił z przekąsem:

– To nie żadna błyskotka. To czarny diament! Pieprzony Święty Graal, Dee! Sprzedałbym duszę samemu diabłu, żeby chociaż zobaczyć to cudo na własne oczy.

– Twojej duszy nie zechciałby nawet i on, przyjacielu.

Zniknęli w ciemnościach lokalu, pozostawiając po sobie tylko echo ochryplych śmiechów i niewielką iskrę, która rozbudziła ciekawość Vincenta.

Złodziej przeniósł wzrok na Dave'a i zastukał palcami w szklankę. Wino wciąż pozostawało nietknięte, a jego kolor z każdą chwilą zdawał się coraz bardziej zbliżać ku czerni, jakby tutejsze cierpkie powietrze nie służyło również i jemu.

– Czarny diament? – powtórzył, po raz pierwszy łamiąc niepisaną zasadę, dzięki której ich rozmowy nie trwały dłużej niż jednostronna wymiana zdań.

Dave uważnie przyjrzał się mężczyźnie i coś, co dostrzegł na jego twarzy, sprawiło, że bez słowa wyjął spod lady przemokniętą gazetę, a następnie położył ją na blacie, tuż obok szklanki wina.

Na pierwszej stronie widniał pogrubiony nagłówek:

### **CZARNY DIAMENT SPRZEDANY! WARTOŚCIĄ POBIŁ NAWET „THE ENIGME”!**

– Najdroższy diament, jaki obecnie istnieje – wyjaśnił Dave. – Podobno to świecidełko jest warte tyle, co kilkanaście mieszkań w centrum Manhattanu.

Vincent chwycił gazetę.

Tuż pod nagłówkiem widniało czarno-białe zdjęcie. W panującej w barze ciemności trudno było dostrzec coś więcej niż zarys kamienia, ale to w zupełności wystarczyło. Białowłosej złodziej nie potrzebował niczego więcej.

– Prawdziwa gratka. – Choć wypowiedział te słowa pod nosem, kierując je głównie do siebie, w barze panowała tak absolutna cisza, że Dave bez trudu je usłyszał.

– Dla złodzieja? Owszem, jeżeli na dodatek jest też szaleńcem. – Właściciel lokalu pochylił się i postukał palcem w zdjęcie, na które Vincent dotychczas nie zwrócił uwagi. Przedstawiało mężczyznę w ciemnym garniturze. – To Lucas Milton, spadkobierca fortuny Miltonów, najbardziej wpływowej rodziny w całej pieprzonej Luizjanie. Ich pies ma tyle pieniędzy, że mógłby kupić nas wszystkich – prychnął z pogardą. – Podobno kupił diament dla narzeczonej. Nieźle się ustawiła, co?

Vincent nie odpowiedział. Zamiast tego przechylił nieznacznie głowę w prawo, jak miewał w zwyczaju zawsze, gdy jego splątane myśli w końcu zaczynały układać się w coś, co przypominało bliżej określony kształt.

Patrzył na diament i nie mógł zaprzeczyć, że była to najpiękniejsza rzecz, jaką do tej pory widział jego oczy. Fakt, jak bardzo był cenny, zakazany i trudny do zdobycia jedynie potęgował jego zachwyty.

Nie słuchał Dave'a, który, kręcąc głową, dodał z westchnieniem:

– Tylko głupiec albo szaleniec zdecydowałby się okraść Miltonów.

Vincent z całą pewnością nie był głupcem. Co do szaleństwa natomiast... Cóż, zdania w tej kwestii były mocno podzielone.

Jedno było absolutnie pewne – Vincent zawsze zdobywał to, czego pragnął. Nawet jeżeli musiał wyrwać zdobycz z rąk samego diabła.

W tym przypadku diabeł nosił nazwisko Milton, był jedynym synem najbardziej szanowanego człowieka w Nowym Orleanie i nie miał za grosz gustu, jeśli chodziło o wybór garniturów.

Dave odwrócił się w tej samej chwili, w której złodziej jednym haustem opróżnił szklankę wina, a następnie wstał i wyszedł z baru tak, jak się do niego dostał – cicho niczym skradający się kot.

Właściciel usłyszał tylko subtelne skrzypnięcie schodów, a gdy obejrzał się przez ramię, miejsce przy barze było zupełnie puste.

– Hej! – zawołał. – Nie zapłaciłeś za...

Zamilkł, ponieważ na blacie, tuż obok pustej szklanki po winie i porzuconej gazety, dostrzegł zapłatę – perłowy naszyjnik.

# Część Pierwsza

*I złodzieje chodzą czasem w aureoli.*

*Wcale nie kradzionej.*

– Stanisław Jerzy Lec





# Rozdział 1

Eleanor Cullen od zawsze pragnęła wierzyć, że zasługiwała na wszystko, co najlepsze. Nauczył ją tego jej tata. Gdy była dzieckiem, nieustannie powtarzał: „Pewnego dnia urośniesz, El, staniesz się silną, piękną kobietą, a ja będę się temu przyglądał, z każdym dniem czując coraz większą dumę z człowieka, jakim się stałaś”.

Teraz, wiele lat później, Eleanor rzeczywiście dorosła, ale nie sądziła, aby tata był z niej dumny, gdyby mógł się temu przyglądać, tak jak obiecał. Choć zdobyła wszystko, co najlepsze, miała wrażenie, że na to nie zasługiwała.

Stojąc w pięknej sukience w wyłożonym marmurem pokoju posiadłości, którą niebawem miała nazywać domem, czuła się niczym złodziej. Skryta w ciemnościach, zza ciężkiej zasłony obserwowała eleganckie pary powoli zapełniające ogród.

Wiedziała, że zjawili się tu dla niej. Albo dla osoby, którą pragnęli w niej widzieć.

Drzwi skrzypnęły cicho tuż za jej plecami, a do pomieszczenia ukradkiem, jakby z dozą nieśmiałości, wdarło się żółte światło z korytarza, niosąc za sobą echo śmiechów i rozmów.

Eleanor nie musiała odwracać głowy, aby nabrać pewności, że Lucas w końcu zdołał ją odszukać. Nikt inny nie zawracałby sobie nią głowy. Nie, gdy w posiadłości zaczęli pojawiać się pierwsi goście.

Nie odrywając wzroku od okna, przy którym stała, wsłuchiwała się w dźwięk kroków mężczyzny na marmurowej posadzce. Starła się nie drgnąć, kiedy chwilę później jego zimne dłonie odnalazły drogę do jej bioder. Objął ją tak, jak robił to zawsze od tamtego pamiętnego dnia w domku w Aspen, gdy kochali się po raz pierwszy – jakby bał się, że przez moment nieuwagi zniknie mu w tłumie, w którym przyszło im żyć. Pachniał wodą kolońską i dymem papierosowym.

Eleanor od kilku miesięcy próbowała nakłonić go do rzucenia tego paskudnego nałogu, ale Lucas zawsze odpowiadał jej w ten sam sposób: „Wychodząc na papierosa, można dobić więcej interesów niż przy butelce dobrej whisky”. Wówczas przypominał swojego ojca o wiele bardziej, niż Eleanor by sobie tego życzyła, a nic nie przerażało jej równie mocno jak Roger Milton.

– Dlaczego chowasz się w tych ciemnościach? – zapytał, pieszcząc łagodnym oddechem jej policzek.

Spojrzała na ogród pełen gości. Na piękne kobiety w jeszcze piękniejszych sukniach i na przystojnych mężczyzn w garniturach wartych tysiące dolarów.

– Nie chcę, żeby mnie zobaczyli – odpowiedziała cicho.

– Nie możesz wiecznie się przed nimi ukrywać, skarbie. Nie dzisiaj. To twój wieczór, pamiętasz?

*Tak, pomyślała. Jak mogłabym o tym zapomnieć?*

Gdy Eleanor uniosła wzrok, w szybie dostrzegła odbicie twarzy Lucasa. Wyglądał tak jak zawsze – idealnie pod każdym względem. Niekiedy nie potrafiła pozbyć się wrażenia, że nie mógł być prawdziwy. Tacy mężczyźni przecież nie istnieli – przystojni, czarujący i olśniewający.

Nieustannie doszukiwała się w nim wady. Skazy lub pęknięcia. Czegokolwiek, co w jej oczach czyniłoby go bardziej realnym. I za każdym razem, kiedy była już niemal pewna, że udało jej się odnaleźć w jego idealności coś nieidealnego, Lucas robił coś, czym boleśnie udowydniał jej, w jak wielkim tkwiła błądzie.

– Wiem, co pomoże ci się rozluźnić. – Wypowiedział te słowa głębokim, aksamitnym głosem.

Jego nieprzyjemnie zimna dłoń pozbawionym subtelności gestem zacisnęła się na jej sukience. Opuszki palców zetknęły się z ciepłą skórą zewnętrznej strony uda Eleanor, sprawiając, że z jej gardła wyrwało się bezwstydne westchnienie.

Dziewczyna zamknęła oczy, nie protestując, gdy Lucas mocniej do niej przywarł. Przez cienki materiał czarnej sukienki poczuła, że miał na sobie tylko garniturowe spodnie i koszulę.

– Rozchyl dla mnie nogi, El – polecił, trącając wargami płatek jej ucha.

Zrobiła to, co kazał, i jęknęła niekontrolowanie, gdy jego duża dłoń wsunęła się między jej uda. Czując chłód palców, które zaczęły wędrować ku górze, w pełnym desperacji odruchu zacisnęła rękę na zasłonie.

Oddech Eleanor stał się cięższy, jakby coś mocno oplotło jej płuca. Odchyliła głowę, po czym oparła ją na ramieniu Lucasa, ostatecznie niwelując odległość dzielącą ich ciała.

Byli teraz tak blisko siebie, że czuła każde jego drgnięcie.

Wiedziała, że on także to czuł. Czuł, jak bardzo tego potrzebowała – rozluźnienia i tej marnej chwili, która pozwoliłaby jej zapomnieć o tym, z czym tego wieczoru będzie zmuszona się zmierzyć.

– Chryste, jesteś tak cudownie mokra, kochanie – wychrypiał, odsuwając materiał jej koronkowych majtek.

Eleanor zacisnęła drugą rękę na jego nadgarstku, gdy wsunął w nią palec. Z drzeniem zaczerpnęła tchu. Miała wrażenie, że otaczające ich powietrze stało się nieznośnie ciężkie i gorące.

Gdy kilka sekund później Lucas dodał drugi palec, wszystko inne przestało mieć znaczenie – dobiegające zza drzwi śmiechy ucichły, a całe to nieszczęsne przyjęcie odeszło na dalszy plan.

Lucas przesunął ustami w górę szyi Eleanor i złożył pełen czułości pocałunek tuż za uchem, w miejscu, które od zawsze było jej słabym punktem. Ta drobna pieszczota przyprawiła dziewczynę o kolejne niekontrolowane westchnienie.

– Lucas – jęknęła, kiedy rosnące u zbiegu ud pożądanie stało się niemal nie do zniesienia.

– Jeszcze moment. – Jego zachrypnięty głos rozległ się tuż obok jej ucha. – Daj mi się tym nacieszyć. Chcę przez resztę wieczoru myśleć tylko o tym, jak dochodziłaś, pieprząc moje palce, El.

Z gardła dziewczyny wyrwał się głośny jęk. Miała gdzieś to, że zaledwie piętro niżej gromadziła się śmietanka towarzyska cholernego Nowego Orleanu. Ludzie, z którymi niebawem będzie wymieniać się wymuszonymi uśmiechami, mieli za uszami gorsze grzechy niż szybki numerek.

Do dwóch palców Lucasa dołączył kciuk, którym mężczyzna zaczął pieścić jej fechtaczkę. Eleanor mocniej wbiła paznokcie w jego nadgarstek. Jej nogi zaczęły delikatnie drżeć, gdy siła orgazmu siała spustoszenie w jej wnętrzu.

W głębi serca potrafiła myśleć tylko o tym, jak bardzo pragnęła zatrzymać ten moment. Schować się w tej chwili zapomnienia przed światem, w którego progach dobrowolnie zdecydowała się stanąć. To, co czuła, nie było strachem ani przerażeniem. Eleanor Cullen była po prostu zmęczona.

Wzięła w płuca kolejny drżący wdech, po raz ostatni rozkoszując się tym, dzięki czemu na moment udało jej się zapomnieć o wszystkim, co ją dręczyło.

Opuszki palców Lucasa przesunęły się po wewnętrznej stronie uda, wywołując w jej ciele pożegnalny dreszcz rozkoszy. Słodki niczym miód i zarazem gorzki jak cytryna.

Mężczyzna poprawił materiał czarnej sukienki i cicho powiedział:

– Obiecuję, że gdy ta farsa dobiegnie końca, dokończymy to, co tutaj zaczęliśmy.

To była ta chwila, w której Eleanor wróciła myślami do dzisiejszego wieczoru.

Lucas kłamał. Zawsze mówił to, co pragnęła usłyszeć. Prawda była bowiem taka, że on kochał ten świat i – w przeciwieństwie do Eleanor – idealnie się w nim odnajdował. Udawał, że jest inaczej, aby ona poczuła się lepiej.

Kiedy odwróciła się ku mężczyźnie i po raz pierwszy tego wieczoru stanęła z nim twarzą w twarz, wyjął z kieszeni spodni materiałową chustkę, a następnie wytarł nią palce. W kącikach jego ust błąkał się nonszalancki uśmiech.

Nawet teraz, skryty w ciemności, za ledwie na wyciągnięcie ręki, wciąż wydawał się Eleanor tak cholernie nieprawdziwy. I tak brutalnie podobny do ojca – miał tak samo jasne włosy, mocne rysy szczęki i niebieskie oczy, które kilka sekund później skupiły się na dziewczynie.

– Mówiłem ci już, jak pięknie dzisiaj wyglądasz, pani Milton? – zapytał.

Eleanor nie lubiła, kiedy tak ją nazywał. Nawet jeżeli niebawem rzeczywiście miała przyjąć jego nazwisko. Uśmiechnęła się jednak, wmawiając sobie, że nie powinna bardziej psuć tego wieczoru.

– Ach, zapomniałbym. – Sięgnął do drugiej kieszeni i wyjął z niej czarne welurowe pudełeczko, na którego widok serce dziewczyny boleśnie się ścisnęło.

Kiedy chwilę później Lucas delikatnie chwycił jej dłoń i wsunął na palec srebrny pierścionek, wart zapewne więcej, niż mogłaby sobie wyobrazić, odniosła wrażenie, że jego ciężar przytłoczył ją bardziej niż cokolwiek innego.

Był to za ledwie drugi raz, kiedy miała okazję ujrzeć własny pierścionek zaręczynowy, choć od dnia, w którym Lucas poprosił ją o rękę, minęło już blisko pięć miesięcy.

Nie mogła nosić go na co dzień, jak inne przyszłe panny młode. Roger Milton kategorycznie na to nie pozwalał. Pierścionek był zbyt cenny, a może Eleanor nie była wystarczająco ważna, aby ktoś zdecydował się powierzyć jej go na dłużej?

– Pilnuj go jak oka w głowie, jasne? To najcenniejsza rzecz, jaką posiadam.

Dziewczyna uniosła wzrok, czując się jak skończona kretynka, gdy na dźwięk tego zdania ogarnął ją smutek. Próbowwała przemówić sobie do rozsądku – Lucas przecież nie troszczył się o ten pierścionek bardziej niż o nią. Ale niekiedy nawet kłamstwo, w które najbardziej pragniemy wierzyć, wydaje nam się zbyt absurdalne, byśmy mogli się na to zdobyć.

– Oczywiście – odparła.

Lucas pochylił się i pocałował ją w czubek głowy. Kiedy się odsunął, z czułością dotknął jej policzka i dodał:

– Obiecałem ojcu, że załatwię kilka spraw. Znajdę cię, gdy się z tym uporam. Do tego czasu... – Zmierzył ją pełnym zachwytu i zafascynowania spojrzeniem. – Spróbuj nie rozkochać w sobie żadnego mężczyzny, który nie jest mną, w porządku?

Eleanor odpowiedziała mu kolejnym uśmiechem, który znacznie przygaśił po tym, jak znów została sama w skąpanym w ciemnościach pomieszczeniu.

Spojrzała na pierścionek zdobiący jej palec; na piękny, czarny diament. Dostała go tylko na chwilę, na kilka godzin, podczas których inni ludzie będą mogli go podziwiać. Powinna więc się nim nacieszyć, prawda? Dlaczego zatem miała ochotę go zdjąć i cisnąć gdzieś w kąt, jak nic niewartą błyskotkę?

Czyż nie o tym marzą wszystkie małe dziewczynki, kiedy myślą o przyszłości – o księciu z bajki, pięknym zamku i olśniewającym pierścionku? O wystawnych przyjęciach, balach i drogich sukienkach? O tym, by oczy wszystkich były zwrócone właśnie w ich stronę?

Problem polegał na tym, że Eleanor nie była już małą dziewczynką. Zamiast pierścionka wartego miliony dolarów wolałaby dostać coś mniej... obciążającego.

Znowu poczuła w żołądku ten nieprzyjemny ucisk – jakby nie doceniała tego, co podarował jej los. Większość ludzi musiała ciężko pracować, żeby zdobyć wszystko to, co ona dostawała niemal na wyciągnięcie ręki.

Wiedziała, że powinna być wdzięczna. Miała kochającego narzeczonego, dobrą pracę i idealnie zaplanowaną przyszłość. Była zdrowa, nie musiała martwić się o to, czy ma co zjeść lub co na siebie włożyć.

Była właśnie taka, jaką pragnął ujrzeć ją ojciec.

I zupełnie inna od kogoś, kim sama chciała być.

Wyrzuciła jednak te niepotrzebne myśli z głowy. To nie był czas na podobne wątpliwości. Nie dzisiaj. Nie teraz, gdy miała nie być kimś więcej niż przyszłą panią Milton, noszącą na palcu pierścionek z najdroższym diamentem świata.

Poprawiła materiał czarnej sukienki i ostatni raz przejrzała się w lustrze, które stało w rogu pomieszczenia. Posłała swojemu odbiciu niewyraźny uśmiech, po czym uniosła wysoko podbródek, jak przystało na bezbronną owieczkę wkraczającą w stado wygłodniałych wilków, wyszła z ukrycia, gotowa przetrwać ten wieczór.

Służące, które mijała, idąc przez ciągnący się w nieskończoność jasny korytarz, posyłały jej nieśmiałe uśmiechy, jakby nie były pewne, czy powinny zdobywać się na podobny gest.

W tym domu zapewne nikt nigdy się do nich nie uśmiechał.

Kiedy Eleanor dotarła do szerokich schodów, które miały zaprowadzić ją do holu, a potem w stronę ogrodu, ze wszystkich sił walczyła z pokusą, aby się zatrzymać. Wiedziała, że jeżeli pozwoli sobie na najmniejszą chwilę zawahania, pewność siebie, jaką udało jej się wykrzesać, gdzieś jej ucieknie.

Przystanąła dopiero w otwartych drzwiach. Tuż za nimi krył się ogród, który prezentował się olśniewająco. Nad głowami gości zawieszono oświetlenie w postaci małych, białych, okrągłych lampek. Z boku ustawiono kilka stołów z jedzeniem. Naprzeciw wejścia do niewielkiego labiryntu rozstawił się zespół muzyczny, przed nimi natomiast znajdował się drewniany parkiet.

Ogród był pełen gości. Eleanor nie знаła większości z nich, choć przyjęcie zostało zorganizowane specjalnie dla niej.

Plotkarskie czasopisma od tygodnia rozpisywały się o tym, jak Roger Milton, niezwykle uradowany zbliżającym się ślubem jedyne go syna, postanowił oficjalnie przyjąć przyszłą synową do rodzinnego grona. I przy okazji zaprezentować na jej palcu pierścionek z diamentem, na który nie byłoby stać niemal nikogo.

Tylko nieliczni wiedzieli, jak bardzo Roger Milton nie był w stanie zaakceptować wyboru dziedzica swojej fortuny.

Eleanor Cullen była spełnieniem jego najmroczniejszych koszmarów – nie pochodziła z bogatej rodziny, ukończyła studia na marnej uczelni i nie szczydziła słów szczególnie wtedy, kiedy od kobiet wymagano milczenia.

– Tutaj jesteś!

Na dźwięk znajomego głosu pośród echa rozmów obcych ludzi, Eleanor nieznacznie drgnęła.

Carla pojawiła się tuż przed nią. Choć miała na sobie niebotycznie wysokie szpilki, wciąż była od niej niższa prawie o pół głowy. W dłoni trzymała swojego ulubionego towarzysza – różowy szampan w kieliszku na długiej nóżce.

Nie licząc Lucasa, Carla była jedyną przyjazną Eleanor duszą w tym zepsutym świecie pełnym jeszcze bardziej zepsutych ludzi. Poznały się na jednym z pierwszych przyjęć organizowanych w posiadłości Miltonów i niemal natychmiast złapały świetny kontakt.

Nic nie łączy ludzi mocniej niż ludzie, których nienawidzą. Eleanor i Carla nienawidziły Rogera Miltona. I obie niestety nie mogły nic z tym zrobić.

Ojciec Lucasa był najlepszym przyjacielem ojca Carli, więc dziewczyna była na niego skazana w równym stopniu co El.

– Zjawiała się tutaj chyba cała śmietanka towarzyska Nowego Orleanu. – Uniosła kieliszek do ust, odgarniając drugą dłońią pasmo jasnych włosów z nagiego ramienia. – I pomyśleć, że to wszystko za sprawą małego kamienia na twoim palcu. Jak się z tym czujesz, El?

– Jak manekin na sklepowej wystawie.

– Cóż, przynajmniej postawili cię w ekskluzywnym sklepie, a nie w jakimś tanim butiku.

Wymieniły się lekkimi uśmiechami.

Eleanor przez moment poczuła się nieco mniej zagubiona. Czasami jedna znajoma twarz pośród tłumu obcych ludzi potrafi dodać wiele otuchy.

– Przynieść ci drinka? – zaproponowała po chwili milczenia Carla. – Obawiam się, że tego, co zaraz się stanie, nie przetrwasz na trzeźwo.

– O czym... – Eleanor zamilkła, gdy dostrzegła idącego w jej kierunku Johnny'ego Milтона.

Cóż, była już niemal pewna, że ten wieczór nie mógł być jeszcze gorszy. Los jednak po raz kolejny udowodnił jej, jak bardzo się myliła.

Jeżeli El pokusiłaby się o stworzenie listy osób, które szczerze jej nienawidziły, Johnny Milton z pewnością uplasowałby się na drugim miejscu, tuż za swoim starszym bratem i może przed zrzędliwą sąsiadką z góry.

– Powodzenia – rzuciła z nutą rozbawienia w głosie Carla, zanim jej różowa sukienka zniknęła w tłumie.

Kobieta zostawiła Eleanor zupełnie samą na pastwę potwora, który zmierzał w jej kierunku, aby ją pożreć.

Johnny Milton, ubrany w jeden ze swoich zbyt jasnych garniturów, obdarzył dziewczynę wymuszonym uśmiechem, w którego prawdziwość wierzył chyba tak mocno, że niemal nigdy nie ściągał go z twarzy.

– Zechcesz ofiarować mi kilka minut swojego cennego czasu, Eleanor?

Sposób, w jaki akcentował ostatnie litery jej imienia, przyprawił dziewczynę o dreszcz niepokoju. Nie mogła jednak odmówić, nawet jeżeli teraz pragnęła tylko tego.

– Oczywiście.

Kiedy chwycił jej dłoń swoją – dużą i nieprzyjemnie ciepłą – nie próbował ukryć faktu, że niemal natychmiast rzucił okiem na pierścienek zdobiący jej palec.

Dotarli na parkiet w milczeniu. Już dawno mieli za sobą czasy, kiedy zabijali niezręczną ciszę, wymieniając się wymuszonymi uprzejmościami. W ustach ludzi, którzy szczerze sobą gardzili, nie mogły brzmieć one przekonująco ani na tyle wiarygodnie, by któreś z nich zechciało zaprzętać sobie tym głowę.

Gdy zaczęli tańczyć, inne pary na parkiecie posyłały im ukradkowe spojrzenia.

Eleanor starała się nie drgnąć, lecz ręce Johnny'ego Milтона były tak lepkie od potu, że z trudem powstrzymała powracające mdłości. Na domiar złego, jakby życie postanowiło po raz kolejny z niej zadrwić, grana przez zespół piosenka okazała się niemiłosiernie długa.

– Gdzie zgubiłaś Lucasa? – zapytał w pewnym momencie mężczyzna.

– Musiał załatwić sprawy dla ojca.

– Coś było dla niego tak ważne, że porzucił piękną narzeczoną w tak szczególny wieczór? – Uniósł pokryte siwizną brwi w geście przerysowanego zaskoczenia.

– Jak widać – odparła zdawkowo, siląc się na neutralny ton głosu.

Johnny Milton nie spuszczał z niej wzroku. Ciężar jego spojrzenia był niemal tak samo nieprzyjemnie lepki jak jego dłonie.

– Słyszałaś opowieść o brzydkim kaczątku, Eleanor?

Dziewczyna po raz pierwszy od dłuższej chwili spojrzała mu prosto w oczy.

– Słucham?

– O brzydkim kaczątku, które marzyło o tym, by pływać wśród łąbędzy – wyjaśnił, uśmiechając się o wiele bardziej ludzko niż dotychczas. – Jesteś brzydkim kaczątkiem, moja droga Eleanor, a to... – Odrobinę mocniej ścisnął dłoń, na której miała pierścionek. – Wcale nie pomoże ci stać się łąbędziem.



## Rozdział 2

Czarny garnitur był w stanie zdziałać cuda. Sprawiał, że mężczyźni w oczach kobiet nagle stawali się o wiele bardziej godni uwagi. Dodawał pewności siebie, pod płaszczem elegancji ukrywał najpaskudniejsze przewinienia i z najgorszego niegodziwca czy złodzieja potrafił uczynić człowieka prezentującego się na tyle elokwentnie, że nikt nie śmiał podejrzewać go o coś nieprzyzwoitego.

Reszta zależała już od gry słów, kilku uśmiechów i odpowiedniego tonu głosu. A niekiedy od zgubionego klucza i szczęśliwego zbiegu kilku przypadków.

Od tego, w czym Vincent nie miał sobie równych.

Gdy zjawił się na przyjęciu, nie mając zaproszenia, elegancki garnitur i wrodzony dar do urzekania ludzi musiały wystarczyć.

Był to pierwszy moment, kiedy napotkał trudności. Wcześniej wszystko wydawało się tak nużąco proste, że dopiero teraz poczuł to znajome, rozkoszne uczucie, które niesło za sobą nadchodzące wyzwanie.

W Nowym Orleanie od tygodnia nie mówiono i nie pisano o czymś, co nie miałoby związku z rodziną Miltonów. Począwszy od mało interesującej inwestycji na sporą sumę pieniędzy, poprzez kupno przez Rogera Milтона najdroższego diamentu świata, kończąc na dzisiejszym wieczorze, kiedy najbardziej wpływowy człowiek w mieście miał oficjalnie przyjąć do rodziny niejaką Eleanor Cullen.

Vincent pojawił się tu dla niej. I dla tego, co nosiła na palcu.

Okazała posiadłość Miltonów mieściła się nieco za miastem, w dogodnej odległości od lasu i bagnistej delty rzeki Missisipi. Budynek przypominał otoczoną murem fortecę, jednak dostanie się do niej okazało się banalnie proste.

Na kamiennym podjeździe ciągnęła się kolejka samochodów najlepszych marek oczekujących, aż krążący przed głównym wejściem młodzi mężczyźni w czerwonych marynarkach zabiorą od właścicieli kluczyki i odstawią auta na parking.

Ruch blokował kierowca czarnego Bentleya. Mężczyzna z wepchniętymi do wnętrza pojazdu głową i kawałkiem opastego brzucha siarczyście zaklął:

– Gdzie, do cholery, podziały się te kluczyki?!

Jego żona – szczupła, wysoka dama w złotej sukni, zawtórowała mu piskliwym głosem pełnym oburzenia:

– Dwie minuty temu trzymałeś je w ręce!

– Na miłość boską, Mariet, gdybyś tylko nie trajkotała tak nad moim uchem, wcale bym ich nie upuścił!

– Och, ależ oczywiście, że to moja wina! Jak każde nieszczęście, które cię spotyka!

– Na ten moment ty jesteś moim największym nieszczęściem – wymamrotał pod nosem mężczyzna.

– Co powiedziałaś?!

W chwili, w której kobieta ze złością skrzyżowała na piersi ręce, przechodzący tuż obok Vincent dostrzegł białą kopertę. Wystawała z czarnej torebki założonej na jej ramię.

I to właśnie był szczęśliwy zbieg kilku przypadków.

Stojący nieopodal parkingowy z uprzejmym uśmiechem i z wyjątkowo dużą dawką cierpliwości zaproponował:



– Może ja poszukam klucza? Pewnie wpadł gdzieś pod siedzenia...

Wówczas mężczyzna zawołał z wnętrza samochodu:

– Nie mogę się cofnąć, chyba utknąłem!

Jego żona wywróciła oczami i nie kryjąc irytacji, która cieniem rzuciła się na jej dotkniętą czasem twarz, odsunęła się, pozwalając, aby parkingowy zajął się tym problemem.

Cofając się, wpadła na nieznajomego o białych włosach, który odzianą w czarną rękawiczkę dłońią niezauważenie wyjął kopertę z jej torebki. Drugą ręką delikatnie chwycił jej szczupłe ramię, opuszkami palców ledwie muskając ciepłą skórę. Kobieta odwróciła głowę, gotowa wyrzucić z ust kilka cierpkich słów, mających na celu dać upust jej złości. Kiedy jednak ujrzała za sobą noszącego elegancki garnitur mężczyznę, który obdarzył ją czarującym uśmiechem, rozdrażnienie odeszło w niepamięć.

– Ostrożnie – odezwał się głosem miękkim niczym aksamit.

– Och, proszę wybaczyć, ja...

Gdy znów się uśmiechnął, nie pamiętała już nie tylko o złości, ale także o tym, co tak właściwie zamierzała powiedzieć.

– W porządku? – zapytał.

– Tak. Tak sędzę.

Odziana w rękawiczkę dłoń nieznajomego z zadziwiającą łagodnością przesunęła się w dół ramienia kobiety, a potem zniknęła, pozostawiając po sobie zaledwie marną namiastkę dotyku.

Mariet odprowadziła mężczyznę wzrokiem, nie podejrzewając, że właśnie spotkała złodzieja. Podobnie jak wielu ludzi uparcie pragnęła wierzyć w to, że żaden nikczemnik nie mógłby chodzić w tak eleganckim garniturze i uśmiechać się w tak ujmujący sposób.

Czyż najbardziej niebezpieczne nie było szczególnie to zło, które potrafiło omamić tak skutecznie, że wydawało się dobrem?

Vincent odszedł nieśpiesznie, słysząc, jak z każdym postawionym przez niego krokiem piskliwy głos kobiety stawał się niewyraźnym echem. Przy wejściu do ogrodu, gdzie odbywało się przyjęcie, pokazał wysokiemu ochroniarzowi zaproszenie.

Ten rzucił tylko okiem na jego zawartość, zapewne po to, aby odszukać widniejące tam nazwisko, po czym odsunął się na bok, mówiąc uprzejmie:

– Udanego wieczoru, doktorze Shepherd.

Złodziej wsunął kopertę do wewnętrznej kieszeni czarnej marynarki. Zgarnął z trzymanej przez kelnera srebrnej tacy kieliszek szampana, który wraz z wymuszonym uśmiechem i nieco przesłodzonym głosem stanowił nieodłączny dodatek każdego gościa.

Vincent nigdy dotąd nie znalazł się w miejscu podobnym do tego, jakim na jeden wieczór stał się ogród za imponującą posiadłością Miltonów – pełnym niestrzeżonych skarbów, które niemal prosiły się o to, by ktoś taki jak on zechciał się nimi zaopiekować.

Mijał chichoczące damy obwieszone kosztowną biżuterią i mężczyzn w eleganckich smokingach, zbyt zajętych paleniem cygar i rozmawianiem o interesach, aby pilnować swoich drogich zegarków.

Jednak Vincent nie zjawił się tu dla żadnej z tych rzeczy. Wiedział, że wszystkie nie były choć w połowie tak cenne jak pierścionek zdobiący palec przyszłej pani Milton.

Próbował odnaleźć ją wśród gości, posiłkując się jedynie nielicznymi zdjęciami, na które udało mu się trafić w prasie i internecie. Eleanor Cullen w przeciwieństwie do rodziny, której nazwisko niebawem miała przyjąć, nie była zbyt medialną osobą. Nie udzielała wywiadów i niezwykle rzadko pokazywała się publicznie. Jakby nie istniała albo jakby robiła absolutnie wszystko, by ludzie nie zawracali sobie nią głowy.

Gdzieś pomiędzy stołem z przystawkami a lodową rzeźbą przedstawiającą łabędzia z rozpostartymi skrzydłami, białowłosy złodziej natrafił na trzech rozmawiających mężczyzn. Zapewne nie zaprzętałyby sobie nimi głowy, gdyby jeden z rozmówców nie rzucił nagle:

– Uparcie pragnąłem wierzyć, że te zaręczyny to tylko kolejny wybryk młodego Milтона.

Drugi z mężczyzn, który postanowił zakryć chude ramiona beżową marynarką, przyłączył się do słów poprzednika:

– Jak my wszyscy, Henry. – Kręcąc głową, uniósł szklankę z whisky do ust, po czym dodał: – Jak my wszyscy...

– Że też Roger pozwolił, żeby ta dziewczyna dołączyła do jego rodziny, nosiła jego nazwisko i rodziła jego wnuki! Czyżby na starość już kompletnie postradał zmysły?

Trzeci z rozmówców, który dotychczas milczał, dorzucił:

– Rozmawiałem z Rogerem. Kiedy gratulowałem mu zaręczyn syna, nie wydawał się przesadnie zachwycony.

Henry przytaknął, wykrzywiając przy tym pulchne wargi w grymasie. Wyglądał, jakby zjadł kawałek cytryny.

– Nic dziwnego. Kto to widział, żeby wpuszczać owcę w stado wilków i oczekiwać, że wszyscy będą traktować ją jak swoją?

– Niedługo będzie jedną z nas – sprostował trzeci nieznajomy. – I czy tego chcemy, czy też nie, nie będziemy mogli nawet krzywo na nią spojrzeć.

Vincent zatrzymał się przy stole z przystawkami, w dogodnej odległości, aby nikt nie zwracał na niego niepotrzebnej uwagi. Zajrzał do wnętrza kieliszka. Szampan miał nieprzyjemnie słodki zapach, w odróżnieniu od panującej wokół atmosfery, która wydawała się cierpka i niemal mdła. Jak tort urodzinowy polany dużą ilością lukru – piękny i zachęcający z zewnątrz, jednak gdy zjadło się go za dużo, człowiek miał ochotę wymiotować.

Obok trzech mężczyzn przeszła niska blondynka w różowej, wyróżniającej się sukience.

– Panowie. – Obdarzyła ich uśmiechem.

Henry, kimkolwiek właściwie był, odparł z równie sporą dozą niepotrzebnej uprzejmości:

– Panno Tanner.

Patrzyli, jak dziewczyna odchodzi, oblepiając bezwstydnymi spojrzeniami jej krągłe biodra. Dopiero gdy oddaliła się na tyle, że nie była w stanie ich usłyszeć, jeden z nich powiedział:

– Tanner musi pluć sobie w brodę. Pewnie liczył, że to jego mała Carla wejdzie do rodziny Miltonów.

Henry krzywo się uśmiechnął.

– Już nie taka mała, panowie.

Gdy cała trójka zaniosła się śmiechem, Vincent mimowolnie pomyślał o tym, że to miejsce nie różniło się od lokalu, w którym zwykł spędzać większość wieczorów i nocy. Nie biorąc pod uwagę jakości alkoholu, a także tego, w czym go podawano – w barze Dave'a nie mógł liczyć na gustowny kieliszek z grubego szkła, który właśnie trzymał w dłoni – to wszystko wydawało mu się zadziwiająco znajome. Tyle samo nikczemników, oszustów, złodziei i kłamców. Ci tutaj różnili się tylko jednym – w przeciwieństwie do ludzi takich jak Vincent starali się schować swoje paskudne dusze pod ubraniami z materiałów najlepszej jakości i za zegarkami za kilka tysięcy dolarów.

Była to najgorsza choroba naszych czasów – piękne opakowania skrywające gównianą osobowość.

Po chwili między mężczyznami rozpoczęła się kolejna wymiana zdań, ale Vincent się jej nie przysłuchiwał. Zamiast tego przesunął spojrzeniem po twarzach tych zepsutych istot. Nie czuł się od

nich lepszy, jednak miał pewność, że gdyby wiedzieli, kim naprawdę był, z całą pewnością oni czuliby się lepsi od niego.

Właśnie wtedy dostrzegł tę, dla której pojawił się tu tego wieczoru, i z lekkim rozczarowaniem pojął, że Eleanor Cullen nie była taka, jaką ją sobie wyobrażał.

Stała w wejściu do ogrodu niczym niewyraźny cień. Ubrana w piękną sukienkę, z czarnymi niczym noc włosami, które lśniąco falą spływały na jej nieco zbyt szczupłe ramiona. Z niepewnym wyrazem piegowatej twarzy, z zagubionym spojrzeniem i z wysoko uniesionym podbródkiem, jakby mimo świadomości tego, jak mocno się od nich różniła, postanowiła uczynić wszystko, aby nie wyglądać na tak słabą, jak w rzeczywistości była.

Jeżeli oni wszyscy byli stadem wilków, a Eleanor Cullen bezbronną owieczką, kim był Vincent?

Patrzył na nią tak, jak patrzy się na coś pięknego zza sklepowej witryny – w milczeniu, z odległości na tyle dużej, by nikt nie mógł tego dostrzec. Dotykał wzrokiem jej smukłej szyi, potem nagiego ramienia, następnie podążył w dół, aż do nadgarstka i... I kiedy już miał spojrzeć na to, co najbardziej pragnął ujrzeć, Eleanor Cullen zasłoniła dłonią palec, który zdobił zaręczynowy pierścionek.

Na widok tej samej jasnówłosej dziewczyny w różowej sukience, która chwilę wcześniej przemknęła nieopodal Vincenta, na twarzy przyszłej pani Milton pojawił się pierwszy tego wieczoru uśmiech. Był jednak na tyle niewyraźny, że z trudem można było uwierzyć w jego prawdziwość.

Ich rozmowa trwała nie więcej niż kilka minut. Została brutalnie przerwana przez pojawienie się opasłego mężczyzny w garniturze, na widok którego Eleanor Cullen wyraźnie się spięła. Jak bezbronna owieczka przed wygłodniałym wilkiem.

Kiedy z pełnym wymuszonej grzeczności skinieniem głowy pozwoliła, by mężczyzna chwycił jej dłoń, Vincent w końcu go dostrzegł – czarny diament błysnął w blasku zawieszonych nad ogrodem lampek.

Była to najpiękniejsza rzecz, jaką ujrzały jego złodziejskie oczy.

Na jego twarzy zagościł uśmiech.

*Mam cię, pomyślał.*



## Rozdział 3

Dlaczego tuż po narodzinach nikt nie uprzedza nas, że ludzie to najpaskudniejsze ze wszystkich żyjących stworzeń? Może dorastając w tej świadomości, o wiele łatwiej znosilibyśmy dotykające nas w dorosłości okrucieństwo?

Gdyby jeszcze jako dziecko Eleanor usłyszała, w jak zimnym i nielitościwym świecie przyjdzie jej żyć, nigdy nie uwierzyłaby w żadną z pięknych bajek opowiadanych jej przez ojca. Bajek o małej dziewczynce, która wyrosła na silną, niezależną kobietę i dostała od losu wszystko to, na co zasługiwała.

Eleanor wiedziała, że ojciec nie byłby z niej dumny, gdyby istniał sposób, by jakimś cudem mógł ją teraz zobaczyć – ubraną w wartą pięć tysięcy dolarów sukienkę, z pierścieniem zaręczynowym na palcu i z pustką wypełniającą serce tak dogłębnie, że każdy skrawek bólu cieniem rzucał się na jej twarz.

Johnny Milton, jeden z potworów, przed którymi nikt nie ostrzegł jej w dzieciństwie, patrzył na nią ciemnymi oczami. Kryło się w nich tyle samo rozbawienia, co obrzydzenia i wstrętu.

Dziewczyna się rozejrzała. Popatrzyła na twarze gości.

Nie była jedną z nich. Nigdy nie będzie jedną z nich. Jednak gdy stanie się częścią rodziny Miltonów, będą zmuszeni udawać, że ten fakt im nie przeszkadza. Widziała wymuszoną uprzejmość i sztuczne uśmiechy tych, którzy najchętniej zepchnęliby ją w przepaść, gdyby znalazła się zbyt blisko niej.

Wiedziała, że wszyscy jej nienawidzą, a Johnny Milton jej o tym przypomniał, uśmiechając się przy tym tak, że każdy, kto spojrzałby na nich z oddali, pomyślałby, że prowadzili miłą rozmowę.

Kiedy grany przez zespół utwór wreszcie dobiegł końca, mężczyzna przyciągnął Eleanor bliżej, po czym pochylił się i szepnął nieopodal jej policzka:

– Życie nie jest bajką. Tutaj nie ma szczęśliwych zakończeń. Brzydkie kaczątko zawsze pozostanie brzydkim kaczątkiem, nawet jeżeli ubierze się w jedwabną sukienkę, Eleanor. – Następnie odsunął się od niej i w końcu wypuścił ją z objęć. – Witaj w rodzinie.

Zostawił ją na środku parkietu, z tymi kilkoma słowami, które kurczowo uczepliły się jej myśli i nie chciały odejść.

Eleanor od początku robiła wszystko, by ją zaakceptowali. Ubierała się w sukienki, w których nie czuła się dobrze, jadła jedzenie, którego nie lubiła, i brała udział w przyjęciach, choć nie miała nawet najmniejszej ochoty, żeby się na nich pojawić.

Wciąż uparcie wierzyła, że pewnego dnia przywyknie do tego wszystkiego i może nawet zdoła to polubić. Tak jak w końcu zaczyna się lubić warzywa, które w dzieciństwie wciskali nam rodzice – bo w głębi serca doskonale się wie, że to jedyne słuszne rozwiązanie.

Eleanor kochała Lucasa od pierwszego uśmiechu, którym ją obdarzył tamtego deszczowego dnia, kiedy przez przypadek niemal wbiegła pod jego samochód. Już wtedy zdecydowała się oddać mu serce, a miłość zawsze niosła za sobą poświęcenia. Ostatnio jednak dziewczyna coraz częściej miała wrażenie, że choć dawała z siebie tyle, ile była w stanie, nie dostawała niczego w zamian. Niczego prócz pełnych pogardy spojrzeń i szyderczych uśmiechów, gdy przechodziła obok.

Wiedziała, że Lucas także ją kochał. Kiedy pozwoliła, by wsunął pierścionek zaręczynowy na jej palec, poprzysięgła sobie, że jego rodzina nie zniszczy tej miłości. Nie mogła pozwolić, aby odebrali

jej też i to.

Zaczerpnęła więc chłodnego wieczornego powietrza, które pomogło jej ostudzić smutek i gniew. Potem nałożyła na twarz jeden z tych subtelnych, pozbawionych wiarygodności uśmiechów i zesłała z parkietu tak, jak zamierzała wkroczyć do tej rodziny – z wysoko uniesioną głową.

Kilka osób złożyło jej gratulacje z okazji zaręczyn. Odpowiedziała na nie równie ciepłymi i nieszczerymi słowami. Gdy wreszcie udało jej się zdobyć dla siebie chwilę samotności, podeszła do stołu z alkoholem, myśląc jedynie o tym, że procenty pozwolą jej się rozluźnić.

Chwyciła pierwszy z brzegu kieliszek ze złotą obramówką i zamknęła oczy. Gdy już uniosła szkło do ust, niemal czując w nich smak trunku, tuż za nią rozbrzmiał męski głos:

– Obawiam się, że to nie pomoże.

Uniosła powieki, w myślach przeklinając człowieka, który zakłócił tę ulotną chwilę spokoju.

Odwróciła się kilka sekund później, mając pewność, że głos należał do jednego ze współpracowników Rogera Milтона. Jak wielkie było jej zdziwienie, gdy dostrzegła wysokiego, młodego mężczyznę, na oko niewiele starszego od niej samej. Choć miał na sobie idealnie skrojony czarny garnitur, wydawał się kompletnie nie pasować do reszty otoczenia. Może to przez nienaturalnie białe włosy? A może przyczynił się do tego fakt, że w przeciwieństwie do pozostałych gości nie spędzał czasu na plotkowaniu o najświeższej kolekcji Prady albo na pozyskiwaniu nowych partnerów biznesowych?

*Nie, to z pewnością zasługa jego oczu,* pomyślała Eleanor.

Były czarne niczym wiszące nad ich głowami niebo i poza bystrością nie skrywały w sobie tak dobrze znanej dziewczynie pogardy i zniesmaczenia.

Z pewnością nie mógł należeć do rodziny Miltonów. Kim więc był? Nie pamiętała, aby mieli okazję się spotkać.

– Proszę wybaczyć, ale chyba się nie znamy – stwierdziła uprzejmie.

– To prawda, choć ja znam panią. Jak wszyscy tutaj.

– No tak.

– Mam na imię Vincent – dopowiedział. – A moje słowa odnosiły się do... – Zerknął na kieliszek, który wciąż trzymała w dłoni. – Do tego. Szampan to nie najlepszy wybór, jeżeli chce się zapijać smutki.

– Och, ja wcale nie...

Nie pozwalając dziewczynie dokończyć, odzianą w czarną rękawiczkę dłonią wyjął spomiędzy jej palców kieliszek.

Eleanor, zbyt zaskoczona tak nagłym gestem, mogła jedynie wpatrywać się, jak odstawia szampana, a następnie chwytą i wręcza jej inny trunek – wino czerwone i gęste niczym krew.

– Proszę spróbować tego – polecił, sprawiając, że bez namysłu ujęła kieliszek. – Rocznik sześćdziesiąty siódmy, smakuje wybornie ze smutkiem i rozpaczą.

Eleanor uniosła szkło, czując, że nieznajomy nie spuszcza z niej wzroku. Kiedy kieliszek zetknął się z jej wargami, a słodki smak wina zaatakował jej kubki smakowe, wydała z siebie ciche westchnienie zachwytu, na którego dźwięk kącik ust Vincenta nieznacznie drgnął.

– Rozkosznie słodkie, prawda? – zapytał, gdy odsunęła od siebie wino. – Życie jest zbyt cierpkie w smaku, by nie rozpieszczać się podobnymi niuansami.

– Tak – zgodziła się. – Ale mylił się pan. Wcale nie zapijam smutków.

Na usta mężczyzny cieniem rzucił się pełen rozbawienia uśmiech. Nie był to jednak grymas, jaki przywykła widzieć na twarzach ludzi, z którymi rozmawiała na podobnych przyjęciach. Brakowało

w nim wyuczonego ciepła i niemal perfekcyjnie odegranej uprzejmości. Było w nim natomiast coś... ludzkiego.

– Jaki ma smak? – zapytał.

– Słucham?

– Kłamstwo – wyjaśnił. – Jak smakuje?

Eleanor znów skupiła na nim uwagę. Tym razem poświęciła nieco więcej czasu, by lepiej mu się przyjrzeć. Był jednym z tych mężczyzn, których większość kobiet z pewnością uznałaby za przystojnych i czarujących – symetryczne rysy twarzy, blada skóra, ciemne oczy i tajemniczy uśmiech. Na dodatek smukła i wysoka sylwetka opakowana w elegancki garnitur. Wyglądał na lekarza albo prawnika.

On również na nią patrzył, spokojnie czekając, czy zdecyduje się udzielić odpowiedzi na zadane przez niego pytanie.

Coś – być może intensywność jego wzroku, a może tylko ciężar zmęczenia – wyrwały te słowa z jej ust:

– Jest gorzkie.

Vincent po raz kolejny obdarzył ją uśmiechem.

– W takim razie potrzeba nam odrobinę więcej wina.

Niespodziewanie Eleanor zdobyła się na uśmiech. Był to pierwszy szczery uśmiech, który tego wieczoru zagościł na jej twarzy, i choć był tak niewielki, że nikt poza stojącym tuż obok białowłosym mężczyzną nie mógł go dostrzec, sprowadził do jej serca namiastkę ciepła. Marną i niewystarczającą, ale nawet jeżeli zdołała przepędzić uporczywe zimno tylko na chwilę, była zbyt cenna, by ją zignorować.

Kiedy jeden z członków zespołu sięgnął po skrzypce, a w ogrodzie rozbrzmiały pierwsze dźwięki melodii *For The Love Of A Princess*<sup>4</sup>, Eleanor pomyślała o Lucasie. Była pewna, że to jego sprawka, ponieważ ten utwór był „ich” piosenką. Po raz pierwszy się przy nim pocałowali.

Gdy nie dostrzegła go wśród gości, zrozumiała, że po prostu się pomyliła. Zapewne wciąż załatwiał sprawy dla ojca. Powinna już do tego przywyknąć. Dlaczego więc odniosła wrażenie, że jej głupie serce ścisnęło się boleśnie w nostalgii? Pragnęła, aby był tutaj teraz, tuż obok, sprawiając, że wszystko stałoby się trochę łatwiejsze.

– Pozwolisz?

Eleanor oderwała spojrzenie od parkietu i przeniosła je na Vincenta. Stał obok, odrobinę bliżej niż wcześniej. Stał w tym miejscu, w którym powinien stać teraz Lucas.

Wyciągnął ku niej dłoń w eleganckiej rękawiczce.

Czy powinna tańczyć z nieznajomym do ich piosenki?

A czy Lucas powinien zostawiać ją zupełnie samą, mimo iż wiedział, jak trudny będzie to dla niej wieczór?

– Tak – odparła.

Wówczas Vincent wyjął kieliszek z jej dłoni i odstawił go na stolik. Kiedy znów na nią spojrzął i ujął jej rękę, Eleanor na moment wstrzymała oddech. To przez sposób, w jaki to zrobił – tak delikatnie, że prawie nie wyczuła jego dotyku.

Zaprowadził ją na parkiet, mijając po drodze gości, którzy przerywali rozmowy, aby zerknąć w ich kierunku. Ich spojrzenia były oblepiające. To wrażenie nie minęło, nawet gdy znaleźli się między innymi tańczącymi parami.

Eleanor drgnęła, kiedy odziana w rękawiczkę dłoń Vincenta spoczęła u dołu jej pleców. Przyciągnął ją do siebie stanowczym, lecz łagodnym ruchem i chwycił jej drugą rękę, na której palcu

błyszczał diamentowy pierścionek. Nagle dzieląca ich od siebie odległość była mniejsza niż kiedykolwiek wcześniej.

Poczuła bijące od niego ciepło i wyraźny zapach – mieszankę drewna, piżma i... czegoś rozkosznie słodkiego, co przywodziło na myśl smak czerwonego wina, które chwilę wcześniej kosztowały jej usta.

Nagle napotkała spojrzenie jego ciemnych oczu – głębokie i tajemnicze niczym las w samym środku mrocznej nocy.

Oddała mu kontrolę nad tym tańcem, pozwalając, by prowadził jej ciało po parkiecie tak, jak tylko sobie tego zażyczył. Tak, jak przypuszczała, był wyśmienitym tancerzem. Mimo wysokiego wzrostu poruszał się z zadziwiającą gracją, stawiając każdy krok niemal bezszelestnie.

Kiedy mijali jedną z innych tańczących par, Eleanor dostrzegła na twarzy jasnowłosej kobiety grymas zniesmaczenia. Rozejrzała się dookoła. Spojrzała na innych gości. Widziała, jak szepczą między sobą, ukradkiem zerkając w jej stronę.

– Nie patrz na nich.

Spokojny głos Vincenta sprawił, że skupiła na nim uwagę.

Znów chciała powiedzieć, że się myli, lecz gorzki smak tego kłamstwa nieprzyjemnie zapiekł ją w usta.

– Nienawidzą mnie – szepnęła, wywołując lekki uśmiech na jego twarzy.

– Nawet jeżeli to prawda, dlaczego w ogóle miałoby cię to obchodzić? – zapytał.

Nie potrafiła odpowiedzieć. Być może bała się przyznać, jak wielką wagę przywiązywała do ich opinii. Nie potrzebowała ich miłości ani uwielbienia. Nie musieli nawet jej lubić. Chciała tylko, by przestali traktować ją jak brzydką plamę, której nie mogli się pozbyć.

– Ja... – Pokręciła głową.

– Nienawiść, moja droga Eleanor, jest o wiele lepsza niż obojętność. Jeżeli cię nienawidzą, to znaczy, że ich obchodzisz.

Vincent zabrał dłoń z jej talii tylko po to, aby obrócić ją dookoła i znów przyciągnąć blisko siebie. Odrobinę bliżej niż dotychczas.

Gdyby myśli Eleanor nie były tak pogrążone w nieustannej walce między tym, czego pragnęła, a tym, czego powinna pragnąć, być może zdołałaby spostrzec, że mężczyzna, w którego ramionach tkwiła, z każdą sekundą przesunął smukłe palce coraz bliżej jej zaręczynowego pierścionka.

– Oni wszyscy... – zaczął, przyciągając jej uwagę. – Przyszli tutaj dla ciebie. Nie dlatego, że chcą, a dlatego, że muszą.

El nagle zorientowała się, jak niewielka odległość dzieliła od siebie ich twarze. Czuła jego ciepły oddech na wargach i to, jak jego klatka piersiowa nieznacznie się unosiła i opadała. Znajdowali się tak blisko, że mogła dostrzec ciemniejsze, nierównomierne plamki w jego oczach. Przypominały rozlany na czarnym płótnie jeszcze czarniejszy atrament.

– Uśmiechają się do ciebie, składają gratulacje i mimo nienawiści, o której mówisz, silą się na uprzejmość. Muszą robić to wszystko, bo nie są dostatecznie ważni, by mogli postąpić inaczej.

Eleanor nieznacznie zadrżała, gdy dłoń Vincenta przesunęła się w górę. Miękki materiał czarnej rękawiczki spotkał się z nagą skórą jej pleców. Opuszki palców powiodły w górę kręgosłupa, sprowadzając do jej żołądka dziwny ucisk.

– Czyż to nie wystarczająca kara? – zapytał.

Przestali tańczyć, choć melodia nie dobiegła jeszcze końca. Stali w samym sercu parkietu, w blasku wiszących nad ich głowami lampek i patrzyli sobie w oczy ze śmiałością nieodpowiednią dla nieznanym.



– A ty? – Jej głos zdrzął. – Dlaczego tutaj jesteś, Vincencie?

– Jak oni wszyscy – odpowiedział. – Dla ciebie. Tylko dla ciebie.

Eleanor zmarszczyła brwi i kiedy już miała spytać, kim tak właściwie był, w oddali dostrzegła Carlę. Zdążyła nieznacznie unieść podbródek, kiedy jej różowa sukienka nagle zniknęła za żywopłotem.

Labirynt tuż za ogrodem posiadłości Miltonów dla człowieka, który dokładnie nie zbadał go za dnia, w ciemnościach stanowił prawdziwą pułapkę.

– Ja... – Zerknęła na mężczyznę. – Wybacz, ale muszę już...

Odeszła tak niespodziewanie, że Vincent nie zdążył zdjąć pierścionka z jej palca. Zostawiła go na środku parkietu, w towarzystwie ostatnich dźwięków *For The Love Of A Princess*. Zniknęła w ciemnościach, jak Kopciuszek o północy na przeklętym balu, choć nie zostawiła po sobie niczego cennego i błyszczącego.

\*\*\*

Eleanor zwolniła kroku, gdy z obu stron otoczył ją wysoki na co najmniej sześć stóp żywopłot. Tutaj powietrze wydawało się odrobinę zimniejsze niż w ogrodzie, a może była to sprawka jej umysłu, który miał tendencję do czynienia wszystkiego o wiele straszniejszym, niż było w rzeczywistości?

Lucas wiele razy opowiadał jej o labiryncie. Podobno gdy był jeszcze dzieckiem, nieustannie do niego wchodził, a potem, nie potrafiąc znaleźć drogi powrotnej, zanosił się tak głośnym płaczem, że komuś ze służby w końcu udawało się go odnaleźć.

Nawet przywołanie tych wspomnień nie sprawiło, że Eleanor poczuła się pewniej.

– Carla?! – zawołała, lecz jej głos zmieszał się z echem śmiechów gości.

Postanowiła przejść jeszcze kilka kroków, a potem cofnąć się i wybrać inną drogę. Może Carla skręciła w lewo, a nie w prawo?

Kiedy dotarła do najbliższego zakrętu, dobiegł do niej najpierw cichy szelest liści, a potem chichot. Był zbyt znajomy, by mogła go zignorować, dlatego przystanęła, by upewnić się, że ten dźwięk nie był jedynie przesłyszeniem. Chichot zmienił się w głośny jęk.

Eleanor zmarszczyła brwi i wyłoniła się zza zakrętu.

W zalewającym labirynt mroku dostrzegła dwa złączone ze sobą ciała, kawałek różowej sukienki spływający z nagiego ramienia Carli i fragment białej koszuli mężczyzny, który przyciskał jej drobne ciało do żywopłotu. Poruszał biodrami, wchodząc w nią płynnymi, mocnymi ruchami, które wyrywały z jej gardła kolejne piskliwe jęki.

Eleanor wiedziała, że powinna odejść. Naprawdę zamierzała to zrobić, ale kiedy cofnęła się o pierwszy krok, stawiając go nad wyraz ostrożnie, aby nic nie zdradziło jej obecności, mężczyzna odwrócił głowę i nieoczekiwanie pochwycił jej spojrzenie.

Znała te oczy. Zbyt dobrze. Patrzyła w nie każdego dnia i jeszcze tak niedawno była absolutnie pewna, że będzie patrzeć w nie już zawsze. Nagle pierścionek, który tego wieczoru nosiła na palcu, stał się tak niewyobrażalnie ciężki. Miała wrażenie, że był zimny jak lód.

Lucas rozchylił usta i znieruchomiał.

Dziewczyna postawiła kolejny chwiejny krok w tył, czując, jak jej policzki stają się coraz bardziej mokre, ale łzy nie były teraz jej największym zmartwieniem.

Serce Eleanor Cullen było bowiem w bardziej opłakanym stanie.



## Rozdział 4

Kiedy Eleanor wyrwała dłoń z jego uścisku i zniknęła w mroku ogrodu razem z pierścionkiem i tkwiącym w nim czarnym diamentem, Vincent jeszcze przez moment wpatrywał się w miejsce, w którym widział ją po raz ostatni.

W pierwszym pełnym desperacji odruchu zapragnął pójść jej śladem, ale szybko zrozumiał, że niczego by tym nie wskórał. Cierpliwość była jedną z niezbędnych cech każdego dobrego złodzieja.

Zupełnie tak, jak w przypadku lwów, które skryte między wysokimi trawami, pogrążone w bezruchu, z daleka obserwowały ofiarę, czekając na odpowiedni moment, aby zaatakować. Jeden niewłaściwy ruch mógł tak łatwo ją spłoszyć.

A Vincent nie mógł sobie na to pozwolić.

Zszedł z parkietu w tej samej chwili, w której w otwartych drzwiach posiadłości pojawił się wysoki mężczyzna. Ubrany w garnitur w stalowym kolorze, z idealnie dopasowanymi do niego białą koszulą i czerwonym krawatem, wydawał się nie różnić od innych gości. Było w nim jednak coś, co sprawiało, że przyciągał uwagę o wiele bardziej niż inni. Jego twarde spojrzenie, pewna postawa, a może fakt, iż jego pojawienie się ukróciło pobrzmiwające gdzieś rozmowy?

Jakby nagle na salony wkroczył sam diabeł.

Vincent zwolnił kroku.

Z dozą zaciekawienia obserwował to dziwaczne zjawisko – wszyscy ci ludzie żyli dla innych. Podziwiali innych, komentowali ich stroje, zachowania, sposób bycia. Porównywali się do nich, pragnąc tylko jednego – być lepszymi. Pod każdym względem.

Co by się jednak wydarzyło, gdyby nagle zostali po prostu... sami ze sobą? Czy wówczas staliby się kompletnie bezradni? O czym by rozmawiali i myśleli, skoro wokół nich nie byłoby nikogo, na kim mogliby się skupić?

Roger Milton wkroczył do ogrodu, uściskiem dłoni witając się z napotkanymi po drodze gośćmi. Uśmiechał się przy tym tak, jak prezydenci zazwyczaj uśmiechają się do wyborców – szeroko i niemal komicznie. Z każdym z nich wymieniał kilka słów, nie dlatego, że miał na to ochotę, a dlatego, iż tak wypadało.

Niespodziewanie wydarzyło się coś, co sprawiło, że Roger Milton nie był dłużej w centrum zainteresowania gości – panującą w ogrodzie ciszę przerwał kobiecy krzyk:

– Nie dotykaj mnie!

Vincent odwrócił wzrok w kierunku parkietu. Dostrzegł Eleanor Cullen, która wyłoniła się z ciemności, w jakich zniknęła kilka chwil wcześniej. W drżących dłoniach trzymała satynowy materiał czarnej sukienki. Jej blade policzki błyszczały od łez.

Jej nagłe pojawienie się odciągnęło uwagę od gospodarza przyjęcia.

Ludzie o wiele bardziej niż na szczęście i powodzenie innych uwielbiali patrzeć na ich smutek i cierpienie. Rozkoszowali się nim i w głębi swoich zepsutych serc cieszyli się, że to nie oni płaczą.

Tuż za Eleanor z mroku wyłonił się mężczyzna w czarnych garniturowych spodniach i w białej koszuli. Był to ten sam człowiek, którego fotografię Vincent widział na pierwszej stronie gazety kilka dni wcześniej w barze Dave'a.

Lucas Milton nie przypominał spadkobiercy wartej miliardy rodzinnej fortuny. Z włosami w nieładzie i w krzywo zapiętej koszuli prezentował się raczej marnie i z pewnością nie tak okazałe,

jak wymagały od niego jego nazwisko czy pozycja społeczna.

– Skarbie, poczekaj... – Próbował zatrzymać Eleanor, a kiedy mocno chwycił jej łokieć, przez co w końcu mu się to udało, dodał: – Pozwól mi to wyja...

Eleanor Cullen nie dała mu dokończyć. Zamiast tego zrobiła coś, na co zapewne niewielu znalazłoby dość odwagi: odwróciła się i na oczach śmietanki towarzyskiej Nowego Orleanu wymierzyła silny cios w policzek syna Rogera Milтона.

Zgromadzeni goście wydali z siebie chóralnie coś, co zabrzmiało jak pełne zdziwienia westchnienie.

Vincent natomiast nieznacznie się uśmiechnął. Uwielbiał podobne przedstawienia.

Lucas Milton, wyraźnie zaskoczony siłą ciosu albo faktem, że ten w ogóle miał miejsce, cofnął się o chwiejny krok, przykładając dłoń do pulsującego policzka.

– Nie nazywaj mnie tak – wycedziła cierpko Eleanor. – Nigdy więcej.

Kiedy kilka sekund później znów się odwróciła i zrozumiała, że spojrzenia wszystkich zebranych były skupione na niej, cała pewność siebie, jaka dotychczas od niej biła, w jednej chwili gdzieś uleciała. Jej ramiona nieznacznie opadły, wargi zdrząły, a spojrzenie stało się tak samo niepewne jak wtedy, gdy ona i Vincent tańczyli na parkiecie. Czymkolwiek było stworzenie, które pod wpływem złości się w niej obudziło, teraz znów schowało się gdzieś bardzo głęboko.

– Nie płacz – szepnęła pod nosem Vincent, głosem tak cichym, że sam ledwie był w stanie go usłyszeć. – Nie możesz się rozpłakać. Nie tutaj. Nie teraz. Nie przed nimi.

Eleanor uniosła podbródek odrobinę wyżej i zupełnie jakby była w stanie usłyszeć jego słowa, nie pozwoliła, by choć jedna łza spłynęła jej po policzku. Nieco mocniej chwyciła brzegi sukienki i zaczęła iść przed siebie, mijając ludzi, którzy w milczeniu odprowadzali ją wzrokiem.

– Nie patrz na nich – polecił, nawet na moment nie przestając się w nią wpatrywać.

Stawiała każdy krok tak, jakby zaraz miała upaść. Jej nogi delikatnie drżały, podobnie jak ramiona od wstrzymywanego płaczu. Jakimś cudem odnalazła w sobie dość siły, by nie upaść. Zapewne doskonale wiedziała, że nie mogła dać im tej satysfakcji. Nie mogła pokazać, że była tak słaba i bezbronna, za jaką ją uważali.

Vincent poczekał, aż zniknie z oczu pozostałych gości, i dopiero wtedy zdecydował się ruszyć za nią. Wcześniej po raz ostatni zerknął w stronę Rogera Milтона, którego beznamiętny wyraz twarzy nie zdradzał tego, jak bardzo nie lubił, gdy coś wymykało mu się spod kontroli.

Eleanor przyspieszyła kroku, gdy upewniła się, że nikt już na nią nie patrzył. Po chwili zaczęła biec, więc Vincent zdołał dostrzec tylko jej znikającą sukienkę, kiedy złapała jedną z odjeżdżających z podjazdu taksówek.

Złodziej przystanął na kamiennym chodniku, w milczeniu obserwując, jak samochód z uciekającym Kopciuszkiem w środku coraz bardziej się od niego oddala.

Nieco dalej prawdziwy doktor Shepherd z wyrzutem powiedział do żony:

– Jak mogłaś zapomnieć zabrać naszych zaproszeń?!

Mariet nie pozostała mu dłużna i piskliwym głosem odparła z przekąsem:

– Dokładnie tak, jak ty zgubiłeś kluczyki we własnym samochodzie! – Wyrzuciła w górę chude ręce, aby chwilę później skrzyżować je na piersi i dodać: – Byłam pewna, że przed wyjściem schowałam je do torebki.

– Gdybyś nie zmieniała jej sześć razy, może nie wyszlibyśmy na kompletnych idiotów, którzy stoją na parkingu, gdy inni goście piją szampana w złotych kieliszkach!

Vincent zerknął na nich ukradkiem, po czym złapał taksówkę i polecił kierowcy:

– Proszę jechać za tamtym samochodem.

\*\*\*

Taksówka, którą jechała Eleanor, wróciła do centrum miasta, potem przejechała jeszcze kilka mil w kierunku obrzeży Nowego Orleanu i niespodziewanie zatrzymała się pośrodku oświetlonej wysokimi lampami pustej ulicy.

Dziewczyna wysiadła i ruszyła opustoszałym chodnikiem. Zdołała jednak postawić zaledwie kilka kroków, zanim przystanęła nieopodal wejścia do jednego z obskurnie wyglądających barów, w których większą część gości stanowiły typy spod ciemnej gwiazdy.

Przez chwilę stała w miejscu, jakby wahała się między powrotem do domu i wyplakaniem się w poduszkę a utopieniem smutków w alkoholu. W końcu podjęła decyzję i weszła do środka.

Przez cały ten czas Vincent trzymał się od niej w takiej odległości, aby nie była w stanie go dostrzec.

Wnętrze baru pachniało drewnem, tanimi męskimi perfumami i odpychającą wonią własnoręcznie skręcanych papierosów. Pojawienie się młodej dziewczyny w skąpej sukience stanowiło pewnego rodzaju sensację.

Eleanor, kompletnie nie przejmując się oblepiającymi jej ciało męskimi spojrzeniami, podeszła do baru i powiedziała:

– Poproszę wino. Najlepiej rocznik sześćdziesiąty siódmy.

Tęgawy barman zmierzył ją wzrokiem, na dłuższy moment zatrzymując się na jej piersiach, a następnie zapytał:

– Jedną lampkę?

– Całą butelkę – poprawiła go.

Vincent usiadł przy stoliku w głębi lokalu. Było to idealne miejsce, by mógł na nią patrzeć, wciąż pozostając niezauważonym, choć nie podejrzewał, aby w tym momencie dla Eleanor Cullen istniało coś bardziej interesującego niż postawione przed nią kieliszek i butelka czerwonego wina.

Obserwował jej twarz, która nieznacznie się skrzywiła przy pierwszym łyku. Każdy kolejny wydawał się odrobinę łatwiejszy. Piła, nic nie mówiąc, po prostu beznamiętnym wzrokiem patrząc przed siebie.

Była obojętna na wszystko, co działo się wokół niej – na dźwięki tłuczonego szkła, odgłosy męskich rozmów i ochryplych śmiechów, a także na spojrzenia, które musiała na sobie czuć. Stanowiła łakomy kąsek – samotna, pijana, zachęcająco nieostrożna i przede wszystkim słaba.

Czy drapieżnik, polując na ofiarę, nie wybiera właśnie tej, która wydaje mu się najbardziej bezbronna?

Wystarczyła niecała godzina, by butelka wina została całkowicie opróżniona.

Kiedy Eleanor zdecydowała się wstać, w oczy rzucał się fakt, jak bardzo była nietrzeźwa. Zachwiała się na nogach, zanim w końcu udało jej się ustać na tyle pewnie, że odważyła się ruszyć w stronę wyjścia.

Barman zawołał za nią:

– Hej, nie zapłaciłaś... – Mężczyzna zamilkł, kiedy Vincent odzianą w rękawiczkę dłonią położył dwudziestodolarowy banknot tuż obok pustej butelki.

– Reszty nie trzeba – powiedział, gdy barman spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

Potem odwrócił się w tym samym momencie, w którym Eleanor popchnęła drzwi baru i ubrana jedynie w satynową sukienkę wyszła na ulicę. Ułamek sekundy później zdarzyło się coś, co w tym okrutnym świecie wydawało się boleśnie nieuchronne – jeden z siedzących nieopodal wyjścia mężczyzn również wstał i podążył za dziewczyną.

Jak łowca za niczego nieświadomą ofiarą.

Istniała pewna rzecz, z którą Vincent nigdy się nie rozstawał – srebrny sztylet o krótkim ostrzu i z oplecioną jagnięcą skórą rękojeścią. Miał do niego sentyment, choć trzymał się zasady, że nie przywiązywał się do rzeczy ani tym bardziej do ludzi. Był to jednak pierwszy przedmiot – nie licząc spalonych ciastek w porze podwieczorku – jaki udało mu się ukraść. Zanim stał się jego własnością, należał do woźnego, który wieczorami pracował w sierocińcu. Pewnej nocy, gdy upojony alkoholem mężczyzna w końcu zasnął, Vincent zakradł się do jego pokoju i wykradł lśniący sztylet z kieszeni jego kurtki.

Dzisiaj, choć od tamtego dnia minęło już ponad dwadzieścia lat, ostrze wciąż wiernie mu towarzyszyło. Tego wieczoru po raz kolejny miało okazać się nadzwyczaj przydatne.

Złodziej wyszedł z lokalu jako trzeci i bezszelestnie, niczym nieodłączna część mroku zalewającego ulicę, ruszył za mężczyzną.

Eleanor Cullen szła kilkanaście kroków dalej, co jakiś czas zwalniając, jakby liczyła, że uda jej się odzyskać kontrolę nad własnymi nogami, które za żadne skarby świata nie chciały podążać prostą linią.

Vincent czekał. Cierpliwość od zawsze była jednym z jego atutów. Kiedy kilka minut później nieznamy z baru wreszcie przyspieszył kroku, złodziej poczuł znajome, rozkoszne ciepło w pobliżu miejsca, gdzie normalni ludzie zwykli posiadać serce.

Korzystając ze swoich długich nóg, w kilku krokach pokonał dzielącą ich odległość, zamknął szyję mężczyzny w żelaznym uścisku własnego ramienia i przycisnął połyskujące w mroku ostrze do jego skóry, nieopodal tętnicy. Czuł jej pulsowanie. Bardzo wyraźnie.

– Ciii... – wyszeptał tuż obok jego ucha.

Poczuł, jak jego jabłko Adama uniosło się i opadło, gdy ten przełknął z trudem, zaskoczony niefortunną zmianą losu, przez którą teraz on stał się ofiarą.

Złodziej uniósł wzrok. Niczego nieświadoma Eleanor zdążyła już oddalić się o kilkanaście kroków. Miał więc niewiele czasu, jeśli nie chciał kompletnie stracić jej z oczu.

– Drobną radą – powiedział. – Wybierz inną drogę, jasne?

Mężczyzna znów przełknął, po czym odpowiedział drżącym głosem:

– Tak.

– Wyśmienicie, a teraz odejdz, zanim zmienię zdanie i postanowię ubrudzić mój garnitur twoją plugawą krwią.

Nieznamy zadrzał. Śmierdział strachem i papierosami. Doprawdy żałosna mieszanka.

Gdy Vincent poluźnił uścisk, oddalił się pośpiesznie w stronę baru, niemal potykając się o własne nogi.

Złodziej wsunął sztylet do wewnętrznej kieszeni marynarki, wziął głęboki wdech, po czym ruszył tą samą drogą, którą chwilę wcześniej podążyła Eleanor. Dostrzegł ją kilka sekund później. Wciąż szła niepewnie, pocierając nagie ramiona dłońmi.

Noc była diabelsko zimna, a ona miała na sobie tylko sukienkę z cienkiego materiału.

W pewnym momencie przystanęła, aby zdjąć wysokie szpilki. Niosąc je w lewej dłoni, stawiała kroki bosymi stopami na betonowym chodniku. Szła przed siebie, nie oglądając się przez ramię.

Vincent wiernie jej w tym towarzyszył, przez cały czas pozostając niezauważony, niczym jej cień.

Mniej więcej kwadrans później, gdy dotarli do rzędu trzypiętrowych budynków, Eleanor wspięła się po kamiennych schodach jednego z nich. Spod porcelanowej doniczki z uschniętym kwiatem wyjęła klucz. Następnie wyprostowała się, zmrużyła oczy i próbowała wycelować nim w zamek. Kiedy jej się to nie udało, jej wątłe ramiona zadrżały od nagłego śmiechu, który zaledwie sekundę później ustąpił miejsca cichemu szlochaniu.

Eleanor Cullen płakała, stojąc przed drzwiami własnego mieszkania, w ciszy i samotności, z daleka od ludzi, którzy sprowadzili do jej serca tak wiele bólu.

Vincent zatrzymał się przed najniższym stopniem schodów i głęboko westchnął. Potem, wbrew temu, co podpowiadał mu rozsądek, wszedł na górę, przybliżył się do dziewczyny i wyjął klucz spomiędzy jej trzęsących się palców, a następnie przekręcił zamek i popchnął drzwi.

Eleanor spojrzała na niego półprzytomnym wzrokiem, nie reagując w żaden sposób, który sugerowałby, że zdołała go rozpoznać.

Chryste, ledwo stała na nogach, zapewne nie rozpoznałaby nawet własnej matki!

– Wejdź do środka – polecił.

– On... – wydusiła z siebie głosem tak słabym, że nawet lekki wiatr zdawał się zagłuszać jej słowa.

Cokolwiek chciała powiedzieć, nie zdecydowała się dokończyć tego zdania. Zamiast tego spojrzała w głąb mieszkania i posłusznie weszła do środka, niemal potykając się już na samym progu.

Vincent chwycił ją w ostatniej chwili i zamknął za nimi drzwi, przytrzymując jej słabe ciało w pionie. Talię miała tak szczupłą, że był w stanie objąć ją zaledwie jednym ramieniem.

Nie stawiała oporu, gdy poprowadził ją krótkim korytarzem. Nawet w ciemnościach zdołał odnaleźć drogę do sypialni. Mieszkanie było tak małe, że z przedpionka można było bez trudu zajrzeć do wszystkich pomieszczeń – kuchni, salonu i ostatniego pokoju, za którego drzwiami kryło się łóżko i przejście do łazienki.

Vincent posadził Eleanor na miękkim materacu i kiedy już miał się cofnąć, dotarł do niego jej łamlivy głos:

– Powiedz mi, dlaczego...

Napotkał spojrzenie błękitnych oczu. Po jej policzku spłynęły dwie łzy, a pełne wargi zadrżały, gdy zdecydowała się dokończyć:

– ...dlaczego to tak bardzo boli?

Znajdowali się tak blisko siebie, że złodziej mógł z łatwością policzyć każdy z jej ciemnych piegów. Nieśpiesznie omiół wzrokiem jej twarz. Czuł jej słodki zapach. Pachniała odurzającą mieszanką czerwonego wina i łez.

Wbrew ogólnie przyjętym zasadom każda emocja miała specyficzny zapach.

Radość była orzeźwiająca niczym deszcz w upalny poranek. Złość przywodziła na myśl woń stali i zimowej nocy. A smutek i rozpacz pachniały nad wyraz słodko, niemal uwodzicielsko.

– Powinnaś się położyć – stwierdził.

Dziewczyna zamrugła, po czym nieznacznie się pochyliła, pieszcząc wargi Vincenta smakiem wina. Zapewne nawet nie była tego świadoma.

– Tak – mruknęła, powoli się odsuwając. – Chyba tak.

Eleanor niemal bezszelestnie wsunęła się pod jasną pościel. Zaśnięcie zajęło jej mniej niż jedno uderzenie serca.

Wówczas Vincent powoli się wyprostował.

*To boli, pomyślał, wpatrując się w jej spokojną twarz, bo w przypiływie głupoty zdecydowałaś, że on będzie dla ciebie ważniejszy niż ty sama.*

Największą wadą ludzi było to, że zaślepieni szczęściem, zbyt mocno przywiązywali się do tego, co nie było im dane na zawsze – do miejsc, rzeczy, uczuć i do siebie nawzajem. Kiedy więc nadchodził czas, gdy zmuszeni byli się z tym wszystkim pożegnać, pojawiała się cierpienie. Dogłębne i straszliwe, bo zbyt długo żyjąc w przekonaniu, że podobne nieszczęście nie stanie na ich drodze, stawali się ślepi.

Szczęśliwa bajka Eleanor Cullen właśnie dobiegła końca. Jednak nie było to zmartwieniem Vincenta. W żadnym wypadku. Martwił się tylko tym, co Eleanor nosiła na palcu.

Z lekkim uśmiechem godnym złodzieja dobierającego się do łupu sięgnął po jej dłoń. Chwytał ją delikatnie, jak najcenniejszy skarb, po czym pochylił się, by ujrzeć w mroku to, po co przybył do Nowego Orleanu.

Niespodziewanie uśmiech zniknął z jego oblicza, pozostawiając po sobie zaledwie marny cień i załóżek grymasu.

Na palcu Eleanor Cullen nie było jej zaręczynowego pierścionka.





## Rozdział 5

Jeszcze zanim Eleanor zdążyła wyrwać się z objęć snu, poczuła otępiającą suchość w ustach i nienaturalną potrzebę, by poruszyć jakąkolwiek częścią ciała. Miała wrażenie, że go nie czuje.

Jej zeszywniałe mięśnie nieprzyjemnie się spięły, gdy wzięła pełniejszy wdech i zdecydowała się unieść powieki.

Nagle wszystko uderzyło w nią z podwójną siłą – ból głowy, zimno i wrażenie, że świat wokół na zmianę przechylał się i wirował. Mdłości podeszły jej do gardła, a obraz przed oczami stracił wyraźne kontury.

Eleanor z cichym jękiem przewróciła się na bok, wiedząc, że gdyby tylko spróbowała się podnieść, zwymiotowałyby na podłogę. Na stoliku nocnym stała szklanka z wodą, a tuż obok niej leżała mała tabletką, na widok której dziewczyna westchnęła z ulgą.

Wyciągnęła zdrętwiałą rękę, zmuszając obolałe ciało do pracy. Kiedy w końcu udało jej się chwycić tabletkę, pośpiesznie ją połknęła i popiła sporą ilością wody, choć nawet to nie sprawiło, że suchość w gardle minęła.

Z westchnieniem opadła z powrotem na miękkie poduszki, układając spierzchnięte usta w coś, co równie dobrze mogło być lekkim uśmiechem, jak i niewyraźnym grymasem. Pozwoliła, aby jej powieki opadły. Była pewna, że poprzedniej nocy przed zaśnięciem położyła środki przeciwbólowe obok łóżka, dlatego mruknęła pod nosem:

– Panie Boże, jeżeli rzeczywiście istniejesz, jestem ci teraz cholernie wdzięczna...

Niespodziewanie w pomieszczeniu rozbrzmiał męski głos:

– Cała przyjemność po mojej stronie, choć muszę przyznać, że przywykłem do nazywania mnie po prostu „Vincentem”.

Eleanor gwałtownie otworzyła oczy. Była bardziej niż pewna, że po prostu się przesłyszała. Kiedy jednak zerknęła odrobinę w prawo, z ciężko bijącym sercem zorientowała się, że głos i jego właściciel byli równie realni, co męczący ją kac.

Zerwała się do pozycji siedzącej, przez co ból ze zdwojoną siłą powrócił do jej skroni. Z jej gardła wyrwał się zduszony krzyk, gdy w następnej chwili wylądowała na podłodze razem z pościelą, w którą zaplątały się jej nogi.

– Au! – jęknęła żałośnie.

Podniosła się na drżących ramionach i powoli wyjrzała zza łóżka. Zerknęła w kierunku przeciwnego krańca sypialni, gdzie w starym fotelu należącym niegdyś do jej matki siedział mężczyzna o białych włosach, który w spokoju popijał herbatę z jej ulubionego kubka.

– Nie słodzysz, Eleanor? – zapytał czystym głosem, po czym iście teatralnym ruchem odsunął filiżankę od ust, obdarzając dziewczynę spojrzeniem ciemnych oczu.

Miał na sobie spodnie od czarnego garnituru, białą koszulę i opinającą tors ciemną kamizelkę. Marynarkę przewiesił przed oparcie fotela. Siedział wyraźnie rozluźniony, z jedną nogą zarzuconą na drugą i lewą ręką swobodnie opartą na podłokietniku. Smukłymi palcami uderzał o ciemne drewno w równych odstępach.

– Nie znalazłem cukru w twojej kuchni – dodał. – Zwykłem pijać tylko herbatę słodką niczym widok cierpienia moich nieprzyjaciół, ale w porządku, puszczyć to w niepamięć.

Eleanor oddychała coraz ciężiej. Panika z jednej strony nakazywała jej uciekać, a z drugiej nie pozwalała się poruszyć.

Tymczasem Vincent przechylił głowę odrobinę w lewo, przez co jasny kosmyk włosów osunął się na czoło w kolorze kości słoniowej.

– Zechcesz wstać? – zapytał. Nie doczekawszy się ze strony dziewczyny żadnej reakcji prócz nieco szerszego otwarcia błękitnych oczu, głęboko odetchnął. – Jak wolisz. – Odłożył filiżankę, wygładził rękawy koszuli, a następnie podniósł się na równe nogi.

Eleanor przesunęła drżącą dłoń po dywanie, aż jej palce natrafiły na coś twardego. Rzuciła znaleźskim w mężczyznę, który – zupełnie jakby spodziewał się ataku – chwycił czarną szpilkę, zanim ta zdążyła zrobić mu krzywdę.

Spojrzał na but, po czym, kręcąc głową, znów skupił uwagę na brunetce.

– Zdziwiająco szybko przeszliśmy od wdzięczności do rzucania we mnie ostrymi przedmiotami, nie sądzisz? – skomentował, ruszając w stronę łóżka.

Eleanor zaczęła pośpiesznie czołgać się w tył, aż do momentu, kiedy jej plecy natrafiły na zamknięte drzwi, za którymi kryła się łazienka.

– Nie podchodź! – krzyknęła.

Vincent się zatrzymał. Odłożył szpilkę na stolik obok łóżka, po czym skrzyżował dłonie za plecami. Głos miał niebawale spokojny, gdy kilka sekund później powiedział:

– Zapewniam, że ten pokaz paniki i agresji nie jest konieczny. Wbrew temu, co zapewne sądzisz, nie zamierzam zrobić ci krzywdy. Mam na imię Vincent...

– Wiem, kim jesteś – wtrąciła.

Mężczyzna uniósł jasne brwi, nie kryjąc zaciekawienia.

– Doprawdy?

– Tak. Tańczyliśmy razem na... – urwała.

Poczuła gorzki smak wspomnień. Pamiętała przyjęcie, taniec z Johnnym Miltonem i rozmowę z jasnowłosym mężczyzną. Pamiętała też labirynt i głośne jęki rozkoszy uciekające z ust Carli Tanner, kiedy pieprzyła się z jej narzeczonym.

Ale potem... Potem wszystko wydawało się piekielnie niewyraźne. Nie miała nawet pojęcia, jak znalazła się w tym mieszkaniu. Odkąd rok temu zamieszkała z Lucasem, niemal do niego nie zaglądała.

Otworzyła oczy odrobinę szerzej, czując na gardle objęcia paniki, po czym spojrzała w dół. Miała na sobie tylko skąpą sukienkę, która podwinęła się tak wysoko, że niemal było widać koronkowe majtki.

*Nie*, pomyślała, podrywając gwałtownie głowę. *Nie, nie, nie.*

Vincent wciąż stał w tym samym miejscu. I wciąż patrzył na Eleanor tak samo jak chwilę wcześniej, przez co wyczytanie czegoś z jego spokojnej twarzy graniczyło z cudem.

– Czy my... – Głos jej zadrżał. Cholera, nie była w stanie tego powiedzieć. – Czy... – Skrzywiła się na myśl, że jej najgorsze obawy mogły stać się rzeczywistością.

Vincent przechylił głowę, minimalnie mrużąc oczy.

– Nie pamiętasz poprzedniej nocy? – zapytał.

*Kurwa*, zakłęła w myślach.

W odpowiedzi pokręciła tylko głową. W tej chwili nie ufała swojej pamięci ani głosowi. Czy naprawdę mogłaby pójść do łóżka z nieznanym w ramach zemsty za to, co zrobił Lucas? Przecież od zawsze pragnęła wierzyć, że nie była jedną z takich dziewczyn.

– Eleanor... – zaczął Vincent, przesuwając się o krok w jej stronę. Przystanął, kiedy dostrzegł, że mocniej wbiła plecy w znajdujące się za nią drzwi. Znow westchnął, zadął podbródek, a następnie wyznał: – Nie. To, o czym myślisz, nigdy się nie wydarzyło.

– Czyli my wcale nie...

– Nie – uciął.

Eleanor odetchnęła z ulgą, lecz po chwili Vincent dodał:

– Zapewniam, że gdyby rzeczywiście była to prawda, nie zdołałabyś aż tak łatwo o tym zapomnieć.

Spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi, po czym naciągnęła sukienkę na nagie uda.

– Więc jakim cudem skończyliśmy tutaj... razem? – zapytała.

– Pod wpływem cierpienia wywołanego złamanym sercem i doznany upokorzeniem podjęłaś lekkomyślną i głupią decyzję, by upić się w pobliskim barze. Pomogłem ci bezpiecznie trafić do domu.

– Pomogłeś mi? – powtórzyła.

– Niedowierzenie, które słyszę w twoim głosie, rani moje serce, droga Eleanor. – Przyłożył dłoń do piersi. – Wyglądam na aż takiego nikczemnika?

– Nie, ja tylko... – Zamilkła, a chwilę później pokręciła głową. – Przepraszam, nie chciałam rzucić w ciebie butem.

Vincent nie spuszczał z dziewczyny wzroku, gdy przyciągnęła do siebie kolana i powoli wstała, przytrzymując się ściany. Na jej bladą twarz cieniem rzucił się kolejny grymas bólu, a na policzki osunęły się splątane włosy, przez co jej wygląd stał się jeszcze bardziej nieuporządkowany.

– Posłuchaj... – zaczęła. – Jestem naprawdę wdzięczna, że mi wczoraj pomogłeś, ale nie musiałeś zostawać tu na całą noc. Sam rozumiesz, że chyba będzie lepiej, jeżeli już pójdziesz...

– Obawiam się, że nie mogę tego zrobić.

– Co?

Gdy ruszył w stronę Eleanor spokojnym krokiem, ta cofnęła się tak gwałtownie, że jej plecy po raz kolejny zderzyły się z drzwiami. Fala bólu przetoczyła się przez jej osłabione ciało, wrywając z gardła dziewczyny zduszony jęk.

– Widzisz, Eleanor... Powiedziałem, że nie zrobię ci krzywdy, bo nie jestem mordercą, tylko złodziejem. I tak się składa, że masz coś, czego bardzo chcę.

El zadrżała.

– Ja... Nie mam pieniędzy.

– To nie pieniądze mam na myśli. Mówię o twoim pierścionku.

Na dźwięk tych słów Eleanor mimowolnie przesunęła opuszkami po palcu, na którym kilkanaście godzin wcześniej czuła ciężar zaręczynowego pierścionka. Ten jednak zniknął, pozostawiając po sobie tylko ledwie wyczuwalny ślad na skórze.

– Gdzie on jest?

Spojrzała prosto w ciemne oczy Vincenta.

– Nie mam go – odparła.

Pamiętała, jak ściągnęła pierścionek z palca i cisnęła nim w Lucasa, nie zważając na to, jak wiele był wart. W tamtej chwili stanowił tylko symbol jej największej życiowej porażki.

– Oddałam go.

– Oddałaś? – powtórzył głosem tak pozbawionym wyrazu, że Eleanor nie mogła zorientować się, czy był zły, rozczarowany, czy może rozbawiony faktem, iż mimo poświęcenia jej tak długiego czasu, nie zdobył tego, czego pragnął.

Zadrżała, kiedy złodziej przybliżył się o kolejny krok. Zmniejszył dzielącą ich odległość tak bardzo, że gdyby Eleanor odważyła się wziąć w płuca głębszy wdech, ich klatki piersiowe by się zetknęły.

– Masz w ogóle pojęcie, co zrobiłaś? – zapytał.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie był mój – wyjaśniła. – Nigdy nie należał do mnie.

Vincent zamknął oczy i powoli odetchnął, jakby starał się odzyskać kontrolę nad emocjami. Kiedy kilka niemiłosiernie dłużących się sekund później uniósł powieki i odwzajemnił jej spojrzenie, Eleanor zrozumiała, że nie był zły ani zirytowany. Był rozczarowany. Nie miała tylko pewności, czym dokładnie – nią czy faktem, że absolutnie nic nie poszło tak, jak przewidywał.

– Ja...

Jej wypowiedź przerwał trzask samochodowych drzwi, który dostał się do środka sypialni przez uchylone okno.

Eleanor odwróciła głowę i uderzenie serca później poczuła na policzku powiew chłodnego powietrza. Wstrzymała oddech, kiedy zorientowała się, że złodziej... zniknął, pozostawiając po sobie tylko białą filiżankę z resztką niedopitej herbaty. Zabrał ze sobą nawet marynarkę, która przez cały czas ich rozmowy wisiała przewieszona przez oparcie starego fotela.

Dziewczyna potrząsnęła głową, aby przepędzić otępienie.

Jakim cudem ktokolwiek był w stanie poruszać się tak bezgłośnie?

Kiedy wreszcie udało jej się zmusić ciało i umysł do współpracy, odepchnęła się od drzwi i podeszła do przejścia na korytarz, uważnie się rozglądając. To pomieszczenie również okazało się puste, podobnie jak salon, w którym zauważyła szeroko otwarte okno.

– Co, do cholery? – szepnęła pod nosem.

Zanim zdążyła przeanalizować wszystko, co przed chwilą miało miejsce, w mieszkaniu rozległo się pukanie do drzwi. Odgarniając z twarzy splątane włosy, ruszyła więc w ich kierunku. Na zewnątrz, ku zaskoczeniu dziewczyny, stał Jackson – jeden z kierowców pracujących dla Rogera Milтона. Miała na sobie granatowy garnitur z logiem Milton Company wyszytym tuż nad lewą piersią.

– Panno Cullen. – Posłał Eleanor nieśmiały uśmiech, jakby nie był pewien, czy w zaistniałych okolicznościach wypadało się uśmiechać. – Przywiozłem pani rzeczy.

– Moje rzeczy?

Dopiero wtedy dostrzegła dwie stojące obok starszego mężczyzny walizki. To właśnie w nie się spakowała, gdy dwanaście miesięcy wcześniej przeprowadzała się do mieszkania Lucasa.

*Och.*

Nie minęły przecież nawet dwadzieścia cztery godziny, odkąd oddała mu pierścionek zaręczynowy. Nigdy wcześniej nie przypuszczała, że widok własnych ubrań może być aż tak dołujący.

– Pan Milton polecił, bym dostarczył je pod ten adres.

Eleanor nie wiedziała, czy miał na myśli Lucasa, czy jego ojca, ale w tej chwili nie miało to znaczenia.

– To wszystko. Powinienem już wracać do pracy. Miłego dnia, panno... – Zamilkł, sprawiając, że Eleanor obdarzyła go spojrzeniem. – Przepraszam.

Wyglądało na to, że już wszyscy wiedzieli o tym, co zaszło poprzedniego wieczoru.

W milczeniu patrzyła, jak mężczyzna posyła jej kolejny blade uśmiech, po czym odwraca się i odchodzi w stronę zaparkowanego na chodniku czarnego samochodu, stawiając kroki o wiele szybciej, niż miał w zwyczaju.

Jeszcze długo po jego odjeździe Eleanor stała w wejściu do mieszkania, pustym wzrokiem patrząc na walizki i zastanawiając się, jakim cudem w niespełna dwadzieścia cztery godziny jej życie aż tak się

posypało.



## Rozdział 6

Eleanor dotarła do Milton Company przed południem, zaskakując tym wszystkich, którzy nie omieszkali posyłać dziewczynie pełnych niedowierzania spojrzeń, schodząc jej z drogi.

Byli zaskoczeni tym, że miała w sobie tyle odwagi, aby pojawić się w firmie, czy może zdumieni faktem, że nie doszukali się na jej twarzy cienia porażki, który starali się tam ujrzeć? Na twarzy Eleanor malowała się bowiem jedynie determinacja. I może odrobina goryczy.

Wyglądała jednak o wiele lepiej niż godzinę wcześniej – zdążyła wziąć prysznic i zmienić sukienkę na czarne spodnie i bluzę ze spranym logiem Golden State Warriors<sup>5</sup>, na którą narzuciła szary płaszcz. Były to jedyne czyste rzeczy, które udało jej się wygrzebać ze starej szafy w swojej dawnej – i od dziś także obecnej – sypialni.

Szła pewnie przed siebie, czując, jak z każdym krokiem przybliżającym ją do drzwi windy jej umysł mocniej przesiąkał złością. Nie zważała przy tym na spojrzenia mijanych ludzi. Nie myślała o tym, czy jej żalowali, czy może cieszyli się z faktu, że mieli przed sobą kogoś w znacznie gorszej sytuacji niż ich własna. Żadna z tych kwestii nie miała znaczenia.

Teraz liczył się tylko pieprzony Lucas Milton i wszystkie gorzkie i nieprzyjemne słowa, które Eleanor zamierzała wyrzyczyć mu w twarz. Po tym, co przeszła, zasługiwała przecież na coś więcej niż wyrzucenie za drzwi jej ubrań.

Winda zawiozła ją na czterdzieste szóste piętro ogromnego biurowca, a gdy jej drzwi rozsunęły się z charakterystycznym krótkim dźwiękiem, siedząca za biurkiem asystentka nieznacznie uniosła wzrok znad ekranu komputera. Jasne oczy kobiety otworzyły się odrobinę szerzej w oznace bezgłośnego zaskoczenia, ale jej drobne ciało nawet nie drgnęło. Nie podniosła się, by promiennym uśmiechem przywitać nowo przybyłego gościa, jak wymagały tego przypisane do jej stanowiska zasady.

Eleanor popchnęła drzwi z ciemnego drewna, opatrzone nazwiskiem Lucasa Milтона. Zanim zdołała przekroczyć próg, z jej ust wyrwało się przypominające jadowite syknięcie słowo:

– Ty... – Zamilkła zaledwie ułamek sekundy później, gdy zamiast Lucasa dostrzegła... jego ojca.

Roger Milton stał przed rzędem szerokich okien, zza których rozciągał się widok na tętniące życiem serce Nowego Orleanu. Miał na sobie jeden z tych nienagannych szarych garniturów, które zwykł nosić w firmie i poza nią. Ze skrzyżowanymi za plecami dużymi dłońmi, w milczeniu wpatrywał się we wszystko, co leżało u jego stóp.

Eleanor drgnęła, gdy drzwi zamknęły się za nią z cichym kliknięciem. Nagle złość i pewność siebie, które godzinę wcześniej dodały jej wystarczająco sił, by się tu zjawić, gdzieś uleciały, pozostawiając po sobie namiastkę wściekłości tłącej się w jej sercu.

– Muszę przyznać, że długo kazałaś mi na siebie czekać, Eleanor – powiedział z subtelnym westchnieniem. Następnie odwrócił się, zerknął na zegarek na nadgarstku i dodał: – Dochodzi południe.

– Przyszłam do Lucasa. – Zdołała coś z siebie wydusić, choć jej głos przypominał niemrawe, pozbawione mocy mruknięcie. Cichy, żaloszny bełkot.

– Tak, wiem, ale widzisz... – Zmrużył powieki i lekko się uśmiechnął. Był to uśmiech człowieka mającego na sumieniu przewinienia o wiele gorsze, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. – Wspólnie uznaliśmy, że lepiej będzie, jeżeli sam się tym zajmę.



*Tym? Po wszystkich tych latach byłam tylko „tym“?*

Eleanor wiedziała, że w słowniku Rogera Milтона „wspólnie” znaczyło tyle samo, co „podjąłem decyzję za nas obu”. Lucas właściwie nigdy nie sprzeciwiał się woli ojca. Teraz widziała to wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Potrafisz grać w szachy? – Zmienił temat rozmowy tak niespodziewanie, a jednocześnie tak płynnie i naturalnie, jakby męczenie ludziom w głowach miał we krwi. Potem ruszył w stronę biurka. Odgłos stawianych przez niego kroków odbijał się od szarych ścian gabinetu.

Dopiero wtedy dziewczyna dostrzegła szklaną szachownicę. Stała na dębowym blacie i o wiele bardziej przypominała elegancką ozdobę wnętrza niż rzeczywistą grę. Nie pasowała do otoczenia.

Nie odpowiedziała. Po prostu patrzyła, jak Roger Milton siada za biurkiem, które należało do jego syna, opiera łokcie na jego krawędzi, znów splata palce, a w następnej chwili obdarza ją ciężarem spojrzenia. Przeszywającym i w pewien sposób zatrważającym.

Właśnie taki był Roger Milton – bez względu na to, co robił lub mówił, nawet najmniejszym drgnięciem ciała nieustannie dawał do zrozumienia, że miał wszystko pod kontrolą.

Eleanor przez ostatnie lata pragnęła wierzyć, że nie bała się tego człowieka, ale o władniętą świadomością, że Lucas już nie mógł jej ochronić, zrozumiała, jak bardzo się myliła.

– Usiądź – polecił.

Głos rozsądku kazał Eleanor uciekać. Być może powinna go posłuchać, była jednak ciekawa tego, co Milton miał do powiedzenia.

Mięśnie dziewczyny spięły się w proteście, gdy powoli ruszyła przed siebie, jakby umysł resztką sił próbował dać jej do zrozumienia, że decyzja, którą podjęła, nie mogła prowadzić do niczego dobrego. Usiadła w jednym z miękkich skórzanych foteli.

Przez cały ten czas Milton nie spuszczał z niej wzroku.

– Jak zapewne wiesz, nie jestem człowiekiem lubującym się w półśłówkach, dlatego pozwolę sobie od razu przejść do rzeczy. Nie chcę, żebyś kontaktowała się z moim synem. Nie chcę, żebyś próbowała coś z nim wyjaśnić. Wasza bajka była piękna, nieco naiwna i wyjątkowo krótka. I właśnie dobiegła końca.

– To pańskie słowa czy jego? – wtrąciła, starając się zrobić wszystko, by jej głos nie zadrżał.

Roger nieznacznie się uśmiechnął, a Eleanor zrozumiała, że bez względu na to, jakiej odpowiedzi by udzielił, nie miała ona żadnego znaczenia.

Lucas ją oszukał i nie miał w sobie nawet tyle odwagi, by spojrzeć jej w oczy.

– Tak będzie lepiej – dodał. – Dla niego i dla ciebie, Eleanor. – Wziął głęboki wdech. – Gdy stąd wyjdiesz, asystentka Lucasa wręczy ci wypowiedzenie i moją osobistą rekomendację. Z nią bez problemu znajdziesz nową pracę.

*Cóż za wspaniałomyślność, przebiegło jej przez myśl.*

– Nie – odparła.

Milton uniół jedną z siwych brwi, nie kryjąc zdumienia. Zapewne niezwykle rzadko słyszał podobne słowa.

– Nie? – powtórzył.

– Nie ma pan prawa mnie zwolnić.

*I odebrać mi ostatniej rzeczy, jaka mi została.*

Nie chciała brzmieć jak desperatka, która chwyta się każdego sposobu, aby wszystkiego nie stracić, ale nie potrafiła zapanować nad drżącym głosem.

– Pracuję w tej firmie od pięciu lat. Przez cały ten czas nie wzięłam ani jednego dnia wolnego. Pracowałam po godzinach, w weekendy, nawet wtedy, kiedy byłam chora. Zasłużyłam na to

stanowisko.

Mężczyzna westchnął.

– Jak wielu innych ludzi, których już tu nie ma, Eleanor – przyznał, po czym spojrzał na blat biurka i szklaną szachownicę. – Wiesz, dlaczego kazałem ją tutaj postawić? Bo byłem pewien, że się pojawisz. Tacy jak ty zawsze się zjawiają, pchani złością, emocjami, nad którymi nie potrafią zapanować. Żałośni i słabi.

Eleanor poczuła, że palce wbrew jej woli coraz mocniej wbijały się w podłokietniki fotela.

– Nie ma pan prawa...

– Rzecz w tym, że owszem, mam. – Nie pozwolił jej dokończyć. – Spójrz tylko. – Palcami prawej ręki dotknął jednej z czarnych figur po swojej stronie szachownicy. – To król. Jako jedyny na szachownicy nie ma sobie równych. Reszta jest właściwie tylko po to, by go chronić. To pewnego rodzaju hierarchia, dzięki której gra jest spójna. Rozumiesz, co mam przez to na myśli?

Eleanor patrzyła, jak palce Milтона dotykają po kolei każdej z figur.

– Hetman, wieże, gońce i w końcu... – Zatrzymał się na jednej z najmniejszych figur i odnalazł niepewny wzrok dziewczyny. – Ty. Skoczek. Odpada na samym początku i istnieje właściwie tylko po to, aby wypełnić puste miejsce na szachownicy.

Milton powoli przesunął figurę na środek szachownicy.

Eleanor patrzyła na nią z ciężko bijącym sercem.

– Zależność polega na tym, że nieważne, jak blisko skoczek zdoła stanąć obok króla, hetmana czy jednego z gońców, nigdy nie będzie im równy. Bo jest tylko skoczkiem i prędzej czy później ktoś zrzuci go z szachownicy.

Szklany skoczek przewrócił się pod wpływem delikatnego pchnięcia i z cichym trzaskiem uderzył o pole gry. Potem sturlał się z niego i roztrzaskał na blacie biurka. Żałosny i słaby.

W oczy rzucał się jednak fakt, że gdy wróciło się spojrzeniem do szachownicy, trudno było dostrzec brak jednej figury.

Roger Milton musiał właściwie odczytać wyraz twarzy Eleanor, ponieważ zapytał:

– Oboje od początku o tym wiedzieliśmy, prawda? Tylko Lucas, niczym głupiec, wciąż się łudził, że pewnego dnia zostaniesz jedną z nas. Nie powinnaś winić go za to, że wreszcie zrozumiał, że to się nigdy nie stanie.

Eleanor uniosła wzrok, walcząc ze łzami, które nagle zgromadziły się pod jej powiekami – nieznośnie ciężkie i boleśnie dokuczliwe.

– Dlaczego mówi pan o tym wszystkim tak, jakby to była moja wina?

Mężczyzna spojrzał na nią w inny sposób niż dotychczas. Niemal jak troskliwy ojciec.

– Bo nie ma niczego bardziej winnego niż człowiek, który latami karmi swoją naiwność pięknym złudzeniem. Niż skoczek, który uparcie wierzy, że zdoła wytrwać na szachownicy do końca gry. Więc, proszę, nie udawaj zaskoczonej. Czy od samego początku w głębi swojego naiwnego serca nie wiedziałaś, że ta bajka nie ma prawa do szczęśliwego zakończenia?

Słowa, szczególnie te zawierające w sobie tak wiele prawdy, przed którą zasłaniał się oczy, ranią o wiele głębiej niż cokolwiek innego. Być może właśnie dlatego Eleanor Cullen poczuła ból znacznie gorszy od tego, który zaatakował jej serce na widok dłoni Lucasa na ciele innej kobiety?

Wiedziała, że Roger Milton miał rację. I nienawidziła go za to jeszcze bardziej.

Najgorszy był jednak fakt, że nie mogła nic z tym zrobić, ponieważ została strącona z szachownicy.

Nawet jeżeli istniały jakieś słowa, które mogłaby w tej chwili wypowiedzieć, nie dostała takiej szansy. Drzwi za jej plecami cicho się otworzyły, a do gabinetu wpadł głos sekretarki:

– Dyrektorowie działów czekają na pana w sali konferencyjnej.

Milton, nie odrywając wzroku od Eleanor, odpowiedział:

– Przekaż im, że niebawem do nich dołączę.

Gdy znów zostali we dwoje, mężczyzna zwrócił się do niej tymi słowami:

– Świat, w którym Lucas będzie musiał żyć, jest wyjątkowo brutalny. Mój syn musi mieć przy sobie silną kobietę. Spójrz na siebie. Nie jesteś nią.

Eleanor powoli uniosła wzrok. Wiedziała, że powinna coś powiedzieć, ale miała wrażenie, iż w jednej sekundzie uleciały z niej wszystkie siły. Po co walczyć z kimś, z kim nie można wygrać?

Milton wstał, zapinając szarą marynarkę.

– Czas na mnie. Znasz drogę do wyjścia, prawda?

Eleanor przeniosła spojrzenie na szachownicę. Patrzyła na nią, słuchając cichnących kroków mężczyzny. Po chwili została sama w pustym gabinecie. Nie miała pojęcia, ile właściwie minęło czasu, zanim oderwała wzrok od szklanych figur.

Gdy wyszła z gabinetu, na biurku asystentki czekało na nią wypowiedzenie. Trzymając je w dłoniach, wsiadła do windy. Nie miała odwagi przyjrzeć się własnemu odbiciu. Chciała po prostu się stąd wydostać. Nie wiedziała, jak długo jeszcze zdoła utrzymać w ryzach emocje.

Zaledwie kilka kroków przed drzwiami oddzielającymi ją od zatłoczonej ulicy i czekającej na nią wolności zatrzymał ją do bólu znajomy głos:

– Panno Cullen.

Eleanor przystanęła z wypowiedzeniem w drżących dłoniach i z ciężarem bezsilności osadzającym się na ramionach. Kiedy odwróciła się chwilę później, na twarzy Johnny'ego Milтона widniał ten rodzaju uśmiechu, który widuje się na twarzach ludzi przekonanych o swoim zwycięstwie.

Najpierw zmierzył dziewczynę spojrzeniem, a potem powiedział na tyle głośno, by jego słowa usłyszała każda osoba przebywająca w głównym holu:

– Zanim pani wyjdzie, proszę zwrócić kartę wstępu do firmy i identyfikator.

Eleanor przełknęła z trudem. Upokorzenie miało wyjątkowo cierpki smak.

Powinna niczego nie czuć. Po wszystkim, co przeszła w ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin, to, co zrobił Johnny Milton, nie powinno jej dotknąć. Dlaczego jednak miała wrażenie, że wszystko bolało ją o wiele bardziej?

Ruszyła przed siebie, po drodze wyjęła z kieszeni płaszcza identyfikator ze swoim zdjęciem i nazwiskiem oraz kartę wstępu, dzięki której przez ostatnie lata mogła przekraczać próg Milton Company.

Oddała je Miltonowi i spojrzała na niego w tej samej chwili, w której z błyskiem satysfakcji w oczach oznajmił:

– Brzydkie kaczątko nie mogą pływać wśród łabędzi, nawet jeżeli uparcie wierzą, że ich skrzydła też kiedyś staną się białe. To prawo natury, Eleanor.



## Rozdział 7

W drodze powrotnej Eleanor kupiła butelkę czerwonego wina i jeszcze zanim dotarła do mieszkania, pożałowała, że nie zdecydowała się na dwie.

Nawet jeżeli w głębi duszy wiedziała, że zapijanie smutków nie było najrozsądniejszym wyjściem – powinna raczej dokładnie przemyśleć swoją przyszłość, która malowała się w czarnych barwach – niewiele ją to obchodziło.

Wręczyła kierowcy taksówki pięciodolarowy banknot i z butelką wina wepchniętą do wewnętrznej kieszeni płaszcza wysiadła na chodnik. Nie ruszyła się jednak z miejsca, nawet gdy samochód odjechał.

Wszystko przez to cholerne wypowiedzenie, które wciąż tkwiło na dnie jej kieszeni. Dołączono do niego list polecający. Składał się z kilku niespecjalnie ambitnych zdań, które ostatecznie nie miały znaczenia. Liczył się tylko widniejący pod nimi podpis Rogera Milтона.

Eleanor wyjęła list z kieszeni. Biała kartka zagięła się w prawym górnym rogu. Papier prezentował się mało atrakcyjnie, jak pośpiesznie wyrwana ze starego zeszytu strona.

Wielu młodych ludzi oddałoby duszę, aby móc trzymać coś podobnego w dłoniach. List polecający opatrzony nazwiskiem właściciela imperium Miltonów otwierał wiele dróg i dawał mnóstwo możliwości. Dla Eleanor był jednak niczym cień boleśnie przypominający o sobie przy każdym oddechu. Nie chciała niczego zawdzięczać temu człowiekowi.

Jej palce nieznacznie zadrżały, jeszcze dotkliwiej gniotąc papier. Kilka chwil później list wylądował w stojącym nieopodal koszu na śmieci, gdzie miał doczekać końca swojego istnienia.

Dziewczyna wspięła się w górę kamiennych schodów, stanęła przed drzwiami, a następnie wydobyła z kieszeni klucz. Zmarszczyła brwi, gdy po wsunięciu go do zamka nie napotkała oporu. Ostrożnie położyła dłoń na klamce, która ustąpiła z zadziwiająco lekkością.

– Co do... – urwała, zaglądając do wąskiego korytarzyka.

Wewnątrz mieszkania panowała niczym niezmacona cisza. Jediną anomalią był słaby snop żółtego światła, który subtelnie wydobywał się z salonu.

Drewniane deski zaskrzypiały złowieszczo pod ciężarem dziewczyny, gdy zdecydowała się wejść do środka. Odruchowo zapagnęła chwycić coś, czym w razie konieczności mogłaby się obronić. Nie mając jednak pod ręką niczego podobnego, objęła palcami szyjkę butelki i wyjęła wino z płaszcza.

*Lepsza taka broń niż żadna, prawda?*

Eleanor zajrzała do salonu i po raz drugi zmarszczyła brwi, nie dostrzegłszy tam niczego odbiegającego od normy. Może po prostu zapomniała zamknąć drzwi? Wybiegła z mieszkania w pośpiechu, myśląc tylko o tym, by jak najszybciej dotrzeć do budynku Milton Company i dać upust złości.

Z westchnieniem odwróciła się w stronę małej kuchni. Ręka, w której trzymała butelkę, opadła wzdłuż jej ciała, a barki przygniótł ciężar zmęczenia. Na dodatek teraz, gdy emocje zaczynały wygasać, zdała sobie sprawę z tego, jak była głodna. Dochodziła siódma wieczorem, co oznaczało, że minęła ponad doba, odkąd po raz ostatni miała coś w ustach. Nie licząc butelki wina, którą wypijała w barze.

*Dwadzieścia cztery godziny od chwili, kiedy zaczął się cały ten koszmar, pomyślała.*

Zamknęła oczy. Jakiś skrawek jej serca wciąż pragnął wierzyć, że to wszystko było tylko złym snem i – jak złe sny miewały w zwyczajcu – niebawem minie, sprowadzając ją do rzeczywistości, w której nie straciła narzeczonego, pracy i nie została tak upokorzona.

Niespodziewanie rozbrzmiał głos, który wyrwał z gardła dziewczyny pisk zaskoczenia i boleśnie jej przypomniał, jak naiwna była.

– Witaj, Eleanor.

Odwróciła się odruchowo, zapominając o tym, że trzymała w dłoni wino. Butelka wyleciała z jej ręki, po czym z trzaskiem rozbiła się na podłodze. Krwista czerwień zalała buty Eleanor i poplamiała jej spodnie.

Oddychając tak spazmatycznie, że płuca paliły ją żywym ogniem, dziewczyna spojrzała na stojący przy oknie fotel i na człowieka, który w nim siedział. Białowłosy złodziej trzymał w smukłych palcach stary egzemplarz *Opowieści o dwóch miastach*<sup>6</sup> należący niegdyś do jej mamy. Na jasnej okładce wciąż widniały plamy po czarnej kawie.

Mężczyzna odsunął książkę sprzed twarzy, uniósł jasną brew, a następnie spojrzał na rozlane wino.

– Wybacz.

Był ubrany tak samo jak kilka godzin wcześniej, choć czarną marynarkę zmienił na płaszcz w identycznym kolorze. To właśnie przez niego Eleanor nie zdołała wcześniej zauważyć Vincenta – wtopił się w panujący w salonie półmrok, jakby stanowił jego nieodłączną część.

– Z dobrych wieści – zamknął książkę, po czym odłożył ją na stolik, z którego po chwili wziął białą filiżankę z herbatą – kupiłem cukier.

Zachowywał się nadzwyczaj swobodnie, jakby był we własnym domu i zasiadał we własnym fotelu, popijając herbatę z własnej filiżanki.

Eleanor wypuściła z płuc drżący oddech i, stojąc w kałuży wina, zdołała wydobyć z siebie pytanie:

– Jak się tu dostałeś?

Vincent nie śpieszył się z odpowiedzią. Upił łyk herbaty, a potem zajrzał do środka filiżanki, przez kilka sekund rozkoszując się słodyczą napoju. Dopiero wtedy zerknął na dziewczynę i przyznał:

– Stara doniczka obok drzwi to raczej marna kryjówka na klucze, Eleanor.

Lucas zawsze powtarzał jej to samo.

– Dlaczego wróciłeś? – zapytała.

Vincent odstawił filiżankę na stolik, tuż obok zabytkowej lampki.

– Wiesz dlaczego.

El pokręciła głową.

– Już mówiłam, że nie mam pierścionka. Oddałam go... – Słowa ugrzęzły jej w gardle. Zrozumiała, że nie była w stanie wypowiedzieć jego imienia. – Oddałam go jemu.

Złodziej zacmokał, a następnie wstał, strzepując przy tym kurz z rękawów długiego płaszcza. Każdy jego ruch wydawał się w niewytłumaczalny sposób nienaturalny. Nie poruszał się do końca jak normalny człowiek. Robił to niemal bezszelestnie, co czyniło jego wizerunek jeszcze bardziej zatrważającym i nieodgadnionym.

– Muszę przyznać, że taki obrót spraw odrobinę wszystko skomplikował, ale w oczy wyraźnie rzuca się pewna zależność między tym, czego oboje pragniemy.

– Pragniemy? – powtórzyła.

– Tak, Eleanor.

Dziewczyna zrozumiała, że nie lubiła sposobu, w jaki wypowiadał jej imię – jakby było czymś ładnym i... słodkim zarazem. Kładł nacisk na ostatnią literę, sprawiając, że brzmiało mocno i pewnie.

Zupełnie jakby nie należało do niej.

– Widzisz... – Zmrużył oczy. – Ja chcę zdobyć pierścionek, a ty pragniesz się zemścić.

Eleanor słabo się uśmiechnęła, choć właściwie przypominało to niemrawy grymas.

– Nie chcę się zemścić – zaprzeczyła. W momencie, w którym wypowiedziała te słowa, pojęła, jak wiele kłamstwa w sobie zawierały. Na samą tę myśl poczuła mdłości.

– Nie? – Mężczyzna wydawał się zdumiony.

– Nie – powtórzyła o wiele mniej pewnie niż wcześniej.

W tej samej chwili zrozumiała cel wizyty Vincenta. Nie wrócił tu po to, aby upewnić się, że wcześniej go nie okłamała. Wrócił, by złożyć jej propozycję. Wyjątkowo kuszącą i zachęcającą. I w równym stopniu niedorzeczną.

– Nie jestem złodziejką – powiedziała.

– I kłamca także z ciebie marny.

Eleanor przełknęła z trudem ślinę, gdy Vincent spojrzał jej w oczy i dosadnie westchnął, jakby z rozczarowaniem. Przechylił głowę odrobinę w prawo, a kosmyk białych włosów osunął się na jego jasne czoło, niemal się z nim zlewając.

Dziewczyna z zaskoczeniem odkryła, że czuła o wiele większy strach, siedząc naprzeciw Rogera Milтона niż teraz, gdy w jej domu stał obcy mężczyzna, który na domiar złego był złodziejem.

Gdyby nieco ponad dwadzieścia cztery godziny wcześniej ktoś powiedział jej, że niebawem skończy ze złamanym sercem w odziedziczonym po matce mieszkaniu, gdzie będzie ucinając sobie pogawędkę ze złodziejem, zapewne by się roześmiała. Los potrafił jednak zaskakiwać w najokrutniejszy sposób. W ciągu ostatniej doby Eleanor dobitnie się o tym przekonała.

– Przykro mi. Nie jestem w stanie ci pomóc, a ty nie możesz pomóc mnie.

Vincent uniósł nieznacznie podbródek. Mięśnie w jego szczęce lekko się napięły, co nie sprawiło, że jego oblicze stało się bardziej surowe. Niezwykle trudno było wyczytać coś z jego twarzy. Był zły, rozczarowany, a może zawiedziony odmową?

– Powiedz mi... jak on smakuje? – zapytał niespodziewanie.

– Co?

– Wstyd, Eleanor. Jak długo będziesz w stanie znosić jego smak?

Coś w niej pękło. Być może były to resztki samokontroli, dzięki którym jakimś cudem nad sobą panowała. Może odpowiedź, którą w głowie udzieliła na zadane przez niego pytanie. A może była po prostu cholernie zmęczona.

Cokolwiek to było, spowodowało do jej głosu dawkę goryczy, która wybrzmiała donośnie pośród ciszy, gdy dziewczyna powiedziała:

– Wyjdź z mojego mieszkania.

Vincent nie wydawał się zbyt zaskoczony ani tym bardziej urażony jej słowami. W milczeniu poprawił poły płaszcza i ruszył w stronę Eleanor, która stała w wejściu do salonu.

– Zaczekaj – zatrzymała go. – Zanim wyjdiesz, oddaj klucze, które ukradłeś. – Wyciągnęła przed siebie rękę.

Zrobił to, o co poprosiła. Sięgnął smukłą dłonią do głębokiej kieszeni płaszcza i wydobyl z niej klucze z zawieszka w kształcie Statuy Wolności ze złamaną w połowie płonąca pochodnią. Brelok był pamiątką po wycieczce, na którą Eleanor zabrała mama. Dziewczyna miała wówczas siedem lat i wydała piętnaście dolarów na ten głupi breloczek.

Złodziej niemal bezszelestnie położył klucze na jej dłoni, nawet na sekundę nie odrywając spojrzenia od jej twarzy. Kiedy patrzył jej w oczy ze śmiałością, do której Eleanor nie przywykła, zapagnęła odwrócić wzrok.

W jego ciemnych tęczęwkach kryło się coś, co w niewytłumaczalny sposób zdołało ją onieśmielić. Może pewność siebie, a może dziwaczny błysk, który wydawał się w równym stopniu czarujący, co złowieszczy?

– Nie masz pojęcia – przyznał. – Więc pozwól, że ci powiem. – Nieznacznie się ku niej pochylił.

Eleanor zapragnęła się cofnąć, ale odniosła wrażenie, jakby podeszwy butów zlepily się z podłogą. Nie drgnęła więc, patrząc w oczy człowieka, który zatrzymał się zaledwie cal od jej twarzy. Był tak blisko, że znów miała możliwość poczuć jego zapach – mieszankę drewna i czegoś nienaturalnie słodkiego. A może było to tylko wino, w którym stała?

– Wstyd to najgorsza trucizna, ponieważ sprawia, że odwracamy się od jedynej osoby, która nigdy nas nie opuści... od samych siebie. Więc zapewniam – zniżył wzrok, którym dotknął czubka nosa dziewczyny, a potem wyraźnie zarysowanego łuku kupidyna nad pełnymi ustami – że to nie potrwa zbyt długo.

Vincent wrócił spojrzeniem do oczu Eleanor w tej samej chwili, w której napłynęły do nich pierwsze gorzkie łzy.

– Wyjdź – poleciła głosem niewiele głośniejszym od ciszy. – Proszę.

Złodziej powoli cofnął głowę. Skrzyżował ręce za plecami, po czym zerknął na kałużę czerwieni u stóp dziewczyny. Potem znów skupił uwagę na jej niewyraźnym spojrzeniu.

– Jeszcze raz przepraszam za wino – stwierdził. – Chyba było ci potrzebne, prawda?

Kiedy odszedł, nie oczekując odpowiedzi, Eleanor jeszcze przez dłuższy czas pustym wzrokiem wpatrywała się w miejsce, w którym stał. Gdy została sama w opustoszałym mieszkaniu, z jej gardła uciekło drżące westchnienie, a po policzku spłynęła ledwie dostrzegalna łza.

Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej żałowała, że nie kupiła dwóch butelek wina.





## Rozdział 8

Vincent nigdy nie przepuszczał nadarzających się okazji.

Eleanor Cullen stanowiła właśnie taką okazję, bo choć właściwie jej nie potrzebował, trzymanie jej pod ręką mogło uprościć kilka spraw. Nikt nie znał rodziny Miltonów równie dobrze jak ona. Postanowił więc skorzystać z niefortunnego przypadku, nawet jeżeli wymagało to odrobiny czasu.

Vincent wiedział, że Eleanor go potrzebowała. Był także pewien tego, że ostatecznie podejmie słuszną decyzję. Nie istniało bowiem nic bardziej gorliwego niż nienasycone pragnienie zemsty, które z każdą chwilą coraz mocniej domaga się nakarmienia.

Wówczas przekonanie o własnej szlachetności schodziło na dalszy plan. O wiele łatwiej z dobrego człowieka uczynić nikczemnika niż z nikczemnika dobrego człowieka.

Do tego jednak czasu Vincent miał chwilę, by nieco się zabawić. Jak się okazało, Nowy Orlean miał do zaoferowania o wiele więcej, niż złodziej mógłby przypuszczać.

Kilka mil na zachód od centrum mieścił się ekskluzywny klub bilardowy, w którym deszczowe wieczory takie jak ten lubili spędzać eleganccy panowie w drogich garniturach i jeszcze droższych samochodach.

Na tej samej ulicy spotkać można było także inny, o wiele smutniejszy obraz Nowego Orleanu – przed opuszczonymi budynkami stały kobiety w krótkich spódniczkach i błyszczących topach. Co jakiś czas udawało im się upolować bogatego klienta.

Nieco dalej na kamiennym chodniku, ubrany w grubą kurtkę, siedział wiekowy mężczyzna. Sprzedawał stare, bezwartościowe rzeczy. Każdą z nich starannie ułożył na leżącym przed sobą podartym kocu.

To właśnie od niego Vincent kupił czarny kapelusz, pod którym ukrył białe włosy. Choć karteczka z ceną wskazywała siedem dolarów, mężczyzna na widok pięciodolarówki bez sprzeciwu oddał złodziejowi swoją własność.

– Niech dobrze panu służy! – zawołał radośnie.

Vincent włożył kapelusz i nieśpiesznie ruszył w stronę klubu.

Na chodniku przed wysokim budynkiem stało kilku młodych mężczyzn w czarnych garniturach. Głowę każdego z nich zdobił kapelusz podobny do tego, który przykrywał teraz głowę złodzieja. Byli zbyt zajęci własnymi sprawami, by zauważyć, jak Vincent zajmuje miejsce jednego z nich i odbiera kluczyki do błyszczącego mercedesa.

Właściciel auta – wysoki, szpakowaty mężczyzna w granatowym garniturze, poprawił marynarkę, po czym sprawnym ruchem wyjął z jej kieszeni dziesięciodolarówkę i wręczył ją złodziejowi:

– Zaopiekuj się nim.

Vincent skinął głową, przez co rondo kapelusza rzuciło cień na jego jasną twarz, zakrywając tańczący na ustach ledwie dostrzegalny uśmiech.

Niezwykle łatwo było wzbudzić czyjeś zaufanie. Zazwyczaj nie trzeba było niczego więcej niż eleganckie ubranie, odpowiedni dobór słów lub – jak w tym przypadku – stanie się na moment kimś, kim nie warto było zaprzętać sobie głowy.

Vincent odprowadził właściciela pojazdu spojrzeniem, a gdy ten zniknął w mroku klubu, z odrobinę szerszym uśmiechem zerknął na jego samochód. Wsunął dziesięciodolarówkę do kieszeni

płaszcz, po czym wsiadł do wnętrza pojazdu, odpalił silnik i odjechał, we wstecznym lusterku obserwując, jak ulica zostaje coraz dalej za nim.

Jadąc przez zalane ulewą ulice Nowego Orleanu, pomyślał o Eleanor Cullen.

Chyba dał jej już wystarczająco dużo czasu.



## Rozdział 9

Eleanor nie rozumiała kobiet, które nie potrafiły pogodzić się z rozstaniem do tego stopnia, że zmieniały się w zdesperowane wariatki posuwające się do rzeczy, o jakich w normalnych okolicznościach nie ośmieliłyby się pomyśleć. Przynajmniej do czasu, aż stała się jedną z nich.

Nie była pewna, dlaczego przyjechała pod mieszkanie Lucasa. Desperacja, bezsilność czy może złość i gniew – która z tych emocji ją tu przywiodła i sprawiła, że dziewczyna nie ruszyła się z miejsca, nawet gdy z nieba zaczęły spadać pierwsze krople chłodnego deszczu?

W oknach mieszkania na ostatnim piętrze apartamentowca nie paliło się światło. Nie było tutaj Lucasa. Eleanor wiedziała, że powinna wracać do domu, zanim kompletnie przemoknie. Nie mogła jednak drgnąć, jakby coś trzymało ją w mroku opustoszałego chodnika.

Owym „czymś” była naiwność – zdumiewająco silna i nieprawdopodobnie głupia.

Niekiedy, by zaakceptować prawdę, zwłaszcza tę, która zraniła nas najdotkliwiej, musimy ujrzeć ją na własne oczy. Stając z nią twarzą w twarz, przyjrzeć jej się uważniej niż dotychczas. Zadać sobie tyle samo bólu i ponownie ją przeżyć. Może właśnie to przyprowadziło tu Eleanor? Być może w głębi serca wiedziała, że to się nie skończy, dopóki ich nie zobaczy?

Jakby okrutny los potrafił odczytać jej najgłębiej skrywane myśli, na chodniku przed wejściem do apartamentowca wzniesionego z czarnego kamienia zatrzymał się srebrny samochód. Z jego wnętrza jako pierwszy wysiadł Lucas. Miał na sobie szary płaszcz, który tak bardzo lubił, i jasny golf. Chroniąc głowę przed deszczem, podbiegł do drzwi od strony pasażera. Otworzył je tak samo, jak otwierał je niegdyś dla Eleanor, i pomógł wysiąść kobiecie w długiej czerwonej sukience.

Carla wyglądała olśniewająco nawet z włosami mokrymi od deszczu i z narzuconą na ramiona za dużą, męską marynarką. *Jego marynarką.*

Eleanor nie odwróciła wzroku, kiedy Lucas objął Carlę i pozwolił jej schować się w swoim płaszczu. Trzymał ją blisko siebie, chroniąc przed deszczem, podczas gdy El stała w jego strugach, niezauważona przez nikogo.

Nie zważała na to, że jej ubranie było przemoczone, a ciemne włosy przykleiły się do mokrych policzków. Nie czuła nawet zimna. Cholera, nie czuła już absolutnie niczego oprócz obezwładniającej bezsilności.

W zaledwie dobę straciła wszystko: narzeczonego, idealnie zaplanowaną przyszłość, najlepszą przyjaciółkę i pracę... I właśnie ujrzała to wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej.

Dotychczas jeszcze tliła się w niej marna resztką nadziei, że to wszystko było tylko złym snem, z którego uda jej się wybudzić, jednak nadzieja zgasła w momencie, w którym Eleanor dostrzegła uśmiech na twarzy Lucasa. Uśmiechał się tak, jak jeszcze do niedawna uśmiechał się przy niej.

Gorące łzy mieszały się z zimnymi kroplami deszczu spływającymi po policzkach dziewczyny.

Minęło kilka minut, zanim Eleanor zorientowała się, że deszcz już na nią nie padał. Gdy nieznacznie uniosła głowę, dostrzegła nad sobą czarny parasol. Nie musiała odwracać spojrzenia, by wiedzieć, do kogo należał. Bez trudu rozpoznała słodki, otumaniający zapach.

Jej wargi zdrząły, gdy jeszcze raz zerknęła w stronę Lucasa i Carli, szepcząc niemrawo:

– Nie jestem złodziejką.

*I nie pragnę zemsty.*

Te słowa nie były skierowane do Vincenta. Nie w pełni. Eleanor przywołała je głównie po to, aby dowiedzieć się, jak wiele kryło się w nich prawdy. Odpowiedź okazała się druzgocąca.

– Kim więc jesteś, Eleanor? – zapytał ze spokojem, który wydał jej się przedziwnie kojący.

Zdecydowała się spojrzeć na mężczyznę.

Vincent stał tuż obok, spowity w czerń mroczniejszą nawet od otaczającej ich ciemności. Nowością był elegancki kapelusz, który zdobił jego głowę. Spod jego runda na blade czoło wydostało się kilka kosmyków białych włosów.

Złodziej patrzył na Eleanor z góry, ponieważ był wyższy od niej o kilka cali. W lewej dłoni trzymał parasol, którym osłaniał ich przed ulewą, prawą natomiast skrył w kieszeni płaszcza. Jego oczy nie zdradzały emocji. Były oceanem pustki, bezmiarem tajemnic i sekretów.

– Kim byłaś, zanim powiedzieli ci, kim masz się stać?

To pytanie, choć z pozoru proste i nic nie znaczące, sprowadziło ciężar, który osadził się na sercu Eleanor.

Dziewczyna przełknęła z trudem, czując uścisk wokół gardła. W następnej sekundzie oderwała uwagę od Vincenta i znów spojrzała na Lucasa. Patrzyła, jak obejmuje kobietę, która nie była nią. Wiedziała, że tak nie zachowują się ludzie, którzy przeżyli ze sobą coś jednorazowego i ulotnego. To trwało zapewne o wiele dłużej, niż sądziła. Przez cały ten czas była ślepa, ale nie o to miała do siebie największy żal.

Kochała go, a on potłukł jej serce... Zamiast zmienić tę miłość w nienawiść, kochała go nadal. Wszystkimi pieprzonymi kawałeczkami.

– Nie jestem... – zamilkła, bo słowa ugrzęzły jej w gardle, niezdolne wydostać się na powierzchnię.

Był to pierwszy raz w dwudziestosześcioletnim życiu Eleanor Cullen, kiedy ktoś złamał jej serce.

Miltonowie odebrali jej wszystko, nieświadomie oddając jej tym samym największą przysługę – nie miała już bowiem nic do stracenia... nawet najmarniejszej resztki skruchy, dobrego imienia czy honoru.

W rozpaczliwej ciszy Eleanor nagle pojęła, na ile sposobów człowiek może umrzeć i jednocześnie wciąż żyć.

– Zrobię to – szepnęła, zamykając oczy.

Kiedy uniosła powieki kilka sekund później, Lucas i Carla zniknęli za szklanymi drzwiami apartamentowca. Nie mieli pojęcia, że w tym samym momencie pewien złodziej i kobieta o złamanym sercu przypieczętowali ich los.

Eleanor spojrzała na Vincenta.

Prawy kącik jego ust nieznacznie drgnął ku górze, gdy dodała odrobinę pewniejszym głosem:

– Pomogę ci ukraść diament.

*I zniszczyć całą pieprzoną rodzinę Miltonów.*

## Część Druga

*Jesteśmy bielą i czernią, światłem i ciemnością.  
Koszmarem, przed którym należy uciekać, i pięknym snem,  
w którym można się schronić.*  
– Dorotea de Spirito





## Rozdział 10

Nawet mimo złości i rozgoryczenia Eleanor wciąż nie była pewna, czy postępowała właściwie, przyjmując propozycję Vincenta. Z drugiej jednak strony nie była w stanie zmienić zdania i się z tego wycofać.

Nie przez fakt, że nie mogłaby tego zrobić. W końcu nie zaoferowała mu niczego prócz słownej deklaracji. Chodziło o niewyjaśnioną pustkę, która doskwierała dziewczynie tak rozpaczliwie, że ilekroć próbowała czymś ją zapełnić, ta zdawała się jedynie wzbierać na sile. Eleanor Cullen nie miała już w życiu niczego, na co musiałaby zważać.

Wczesnym rankiem zjawiła się w miejskim parku, zgodnie z tym, o co przed zniknięciem poprosił Vincent. Zostawił dziewczynę z tymi słowami i z czarną parasolką w dłoni, a sam odszedł w mrok i deszcz.

Eleanor jeszcze długo po tym stała przed mieszkaniem Lucasa, choć dostała już wszystko, po co tam przysłała – ostateczny, namacalny i boleśnie prawdziwy dowód na to, że człowiek, któremu poświęciła serce i ostatnie cztery lata życia, był skończonym kutasem.

Kiedy wreszcie wróciła do domu, przemoknięta i zmarznięta, nie potrafiła zmrużyć oka. Ale mimo męczących ją wątpliwości, była teraz tutaj – w małym parku w centrum Nowego Orleanu, na starej drewnianej ławce ustawionej pod jeszcze starszym drzewem. Czekąca, choć nie bardzo wiedziała, na co.

W milczeniu obserwowała mijających ją ludzi. Większość z nich śpieszyła się do pracy, jak Eleanor wnioskowała po ich eleganckich ubraniach. Inni z kolei korzystali z ostatnich dni słonecznej pogody i nieśpiesznie spacerowali pomiędzy drzewami razem z dziećmi lub psami.

Nieco dalej, na jednej z szerokich ścieżek, starsza kobieta sprzedawała owoce z drewnianego wózka. Jej radosny głos mieszał się z dobiegającym z ulicy szumem.

– Dziękuję, miłego dnia!

Eleanor zamknęła oczy.

Chłodny powiew porannego wiatru przywiódł za sobą cichy śmiech dziecka oraz głos, który nieoczekiwanie rozbrzmiał po jej prawej:

– Idealny poranek na rozkoszowanie się piękną pogodą, prawda?

Po ciele dziewczyny przebiegł dreszcz, gdy gwałtownie uniosła powieki i odwróciła głowę.

Vincent siedział tuż obok niej na ławce. Ubrany był podobnie jak poprzedniego dnia – czarne spodnie, czarny golf oraz czarny płaszcz. Tym razem jego dłonie zdobiły jednak skórzane rękawiczki przypominające te, które miał na sobie na przyjęciu w posiadłości Miltonów.

Jakim cudem nie zdołała go usłyszeć?

– Spóźniłeś się – zauważyła.

– Złodzieje się nie spóźniają – odparł. – Potrafimy kraść czas równie skutecznie jak pieniądze. – Odwrócił ku niej bladą twarz.

Przez dłuższy moment po prostu się jej przyglądał – badawczo, dociekliwie i z dozą spokoju, który sprawił, że Eleanor odchrząknęła.

– Ja...

– Jestem zaskoczony, że się zjawiłaś – przyznał.

– Bałeś się, że zmienię zdanie?

Kącik ust mężczyzny drgnął w lekkim rozbawieniu.

– Nie, Eleanor.

– Niech zgadnę... Złodzieje niczego się nie boją? – zasugerowała, wywołując w nim podobną reakcję jak chwilę wcześniej.

Znów ten sam uśmiech. Uśmiech, który zapewne byłby w stanie zwalić z nóg niejedną kobietę. Uśmiech złodzieja, nikczemnika i oszusta, zatrważający i czarujący zarazem. Był jak ciche ostrzeżenie: *Uważaj, Eleanor. I nigdy nie zapominaj, kim tak naprawdę jest człowiek, na którego propozycję zdecydowałaś się przystać.*

– Zrobię to – powtórzyła te same słowa, które opuściły jej usta poprzedniego wieczoru. – Ale chcę postawić swoje warunki.

– Muszę przyznać, że czułbym się rozczarowany, gdyby było inaczej – przyznał.

Eleanor usłyszała w jego głosie subtelną nutę rozbawienia.

– Więc... – zaczął, lustrując wzrokiem każdy cal jej twarzy. – Jak one brzmią?

Czując dotyk wzroku Vincenta na ustach, dziewczyna na ułamek sekundy nie dłuższy niż uderzenie serca straciła rezon.

– Hm?

– Twoje warunki, Eleanor. – Znów spojrzał jej prosto w oczy. – Jak one brzmią?

Potrząsnęła głową, wyrzucając z umysłu wszystko to, co nie pozwalało jej się skupić.

– Po pierwsze... chcę mieć pewność, że jeśli coś pójdzie nie tak, nie zostawisz mnie na pastwę...

– Eleanor – wtrącił łagodnie. – My, złodzieje, nie mamy zbyt wielu zasad, ale jest jedna, której nigdy nie łamiemy. Partnerzy zawsze trzymają się razem.

*Partnerzy*, powtórzyła w myślach.

Cóż, słowna obietnica musiała wystarczyć. Przynajmniej na razie.

– Po drugie... Gdy to wszystko dobiegnie końca, nasze drogi się rozejdą. Nie chcę stać się...

– Kimś takim jak ja? – dokończył, unosząc jasną brew. – Jeżeli takie jest twoje życzenie, zniknę z twojego życia i obiecuję, że nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Czy to ci odpowiada?

Eleanor po raz kolejny uświadomiła sobie, jak absurdalnie to brzmiało. Nie była złodziejką i nie zamierzała się nią stać. Nie licząc tego jednego razu.

– Tak – odpowiedziała.

– Czy to już wszystko?

– Tak. Chyba... – Odetchnęła głęboko. – Chyba tak.

Vincent niespodziewanie pochylił się ku dziewczynie, jakby wyczuł jej zawahanie, i oparł rękę na oparciu ławki tuż za jej plecami.

Jego bliskość była w niewyjaśniony sposób kłopotliwa i przyprawiła Eleanor o dziwny ucisk w żołądku.

– Obiecuję, że zadbam o to, byś choć przez moment nie żałowała tej decyzji. – Nie odsunął się, nawet gdy Eleanor zdecydowała się odwzajemnić jego spojrzenie. Ich twarze dzieliły tylko cale, więc miała wrażenie, że poczuła na ustach każde z jego słów, kiedy dodał z entuzjazmem: – A teraz czas zacząć zabawę!

– Co?

Odsunął się, po czym powiódł wzrokiem po otaczającej ich przestrzeni. Po chwili zawiesił na czymś spojrzenie i zapytał:

– Widzisz tamtą kobietę?

Eleanor odnalazła punkt, w który się wpatrywał. Był to drewniany wózek staruszki, której głos słyszała wcześniej, kiedy siedziała jeszcze sama na ławce.

– Tak.

– Okradnij ją.

– Co? – Popatrzyła na niego, nie kryjąc zaskoczenia i oburzenia.

– Weź jedno z jabłek, które sprzedaje. To najpiękniejsze i największe.

– Myślałam, że...

– Że okradamy tylko bogatych i złych? – dokończył, odwzajemniając jej spojrzenie. – Twoja naiwność niekiedy bywa doprawdy rozczulająca. Nie jestem Robin Hoodem, Eleanor. Nie mam w sobie krzty dobra, empatii i współczucia. Wszystko jest we mnie do cna nikczemne, zepsute i pozbawione skrupułów. Im szybciej to pojmiesz, tym łatwiej będzie przebiegać nasza współpraca.

– Nie zrobię tego – odparła stanowczo.

– Więc jak inaczej mam sprawdzić, jak beznadziejna w tym jesteś? – zapytał. Założył nogę na nogę i splótł dłonie, a następnie zacmokał. – Jeżeli nie jesteś w stanie ukraść jednego owocu, jakim cudem chcesz okraść Miltonów?

Eleanor zacisnęła wargi.

Vincent dał jej pięć sekund.

– Decyzja zawsze należy do ciebie.

*Jeden.*

*Dwa.*

*Trzy.*

*Zaczął wstawać.*

*Cztery.*

*P...*

– Zaczekaj – zatrzymała go.

Złodziej zapragnął się uśmiechnąć. Ludzie byli niezwykle prości do odgadnięcia. Eleanor Cullen nie rozczarowała go pod tym względem. Ponownie zajął miejsce na ławce, podczas gdy dziewczyna przełknęła z trudem i się podniosła.

*To tylko jedno jabłko, pomyślała. Nie jest cenne ani wartościowe.*

Spokojnym krokiem przeszła przez trawnik, a kiedy wkroczyła na szeroką ścieżkę i podeszła do straganu, jego właścicielka powitała ją promiennym uśmiechem.

– Co dla ciebie, moje dziecko?

– Tylko się rozglądam – odparła, przesuwając wzrokiem po drewnianych koszach z owocami. Szukała tego najpiękniejszego.

W tym samym czasie Vincent, skryty w cieniu rzucanym na ławkę przez koronę ogromnego drzewa, bacznie przyglądał się Eleanor. Jej nieporadności, wyraźnemu zagubieniu i niemal namacalnej niepewności. Tak wiele jeszcze brakowało, aby stała się złodziejką.

Nie miała w sobie odrobiny elegancji, każdy krok stawiała niczym słoń w składzie porcelany i zbyt łatwo pozwalała, by emocje przejmowały nad nią kontrolę. Miała jednak także kilka atutów, które ostatecznie skłoniły go do wzięcia jej pod skrzydła. Eleanor Cullen była silniejsza, niż wydawała się na pierwszy rzut oka. Przetrwiała przecież tak długo w środowisku pełnym krwiożerczych piranii i wygłodniałych wilków, które tylko czekały na jej potknięcie. Najbardziej zachęcającą cechą Eleanor było jednak jej serce – załamane i zdeptane, rozgoryczone, pełne gniewu i żalu.

Nie istniało nic bardziej niebezpiecznego niż człowiek, który nie miał już nic do stracenia. Nie istniało nic bardziej godnego zachodu niż to, co Eleanor byłaby w stanie zrobić, aby dokonać zemsty.

Vincent nawet na ułamek sekundy nie spuścił z niej wzroku. Obserwował, jak uśmiecha się kącikiem ust, robiąc coś, z czego zapewne nie zdawała sobie sprawy. Wzbudzała powierzchowne

zaufanie – pierwszy krok do uczynienia kogoś ślepym.

Wiedział, że nie zdoła ukraść jabłka. Jeszcze nie teraz. Lecz pewnego dnia, jeżeli tylko powierzy swój gniew w jego chciwe złodziejskie ręce, miała szansę stać się niezniszczalna. Niesamowita. Idealna. Do tego czasu musiał po prostu pilnować, by nie narobiła sobie niepotrzebnych kłopotów.

Przesunął czubkiem języka po dolnej wardze, patrząc, jak Eleanor walczyła z własną naturą – przesunęła się delikatnie w bok, aby znaleźć się poza zasięgiem kobiety. Pierwszy i jakże fatalny błąd.

Ktoś, kto każdego dnia sprzedawał owoce w centrum zdradzieckiego Nowego Orleanu, z pewnością miał oczy dookoła głowy.

Podczas gdy Vincent uważnie śledził jej zmagania, Eleanor starała się zignorować nieprzyjemne ciepło, które rozlało się w jej żołądku. Strach i adrenalina tworzyły doprawdy wybuchową mieszankę.

Unosząc wzrok, upewniła się, że staruszka poświęciła uwagę innemu klientowi. Następnie dziewczyna znów spojrzała na drewniane kosze pełne świeżych, błyszczących owoców, i wreszcie wybrała jedno z jabłek. Gdy już miała je chwycić, na jej nadgarstku zacisnęła się pomarszczona dłoń.

*Cholera.*

Drżąc ze strachu, uniosła głowę.

Staruszka patrzyła na nią gniewnie.

– Z daleka umiem rozpoznać złodziejkę – napomknęła.

Eleanor rozchyliła usta, lecz nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Panika przejęła nad nią całkowitą kontrolę.

– Ja... – wydukała po chwili słabo.

– Proszę wybaczyć. – Tuż za jej plecami rozbrzmiał aksamitny głos. Vincent pojawił się obok bezszelestnie, jak przywieziony przez wiatr szept. – Moja siostra cierpi na pewne zaburzenie psychiczne i bierze do rąk wszystko, co tylko rzuci jej się w oczy. – Zanurzył bladą dłoń w wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął z niej banknot. Następnie wręczył go kobiecie, mówiąc uprzejmie: – Przepraszam za kłopot.

– Nie szkodzi. – Puściła rękę Eleanor, która pośpiesznie ją cofnęła, wciąż trzymając czerwone jabłko w drżących palcach. – Niech pan lepiej jej pilnuje.

– Taki mam zamiar. – Niespodziewanie chwycił dłoń dziewczyny, wywołując tym samym kolejny dreszcz, który przeszył jej ciało. Potem obdarzył ją pełnym troski i wyrozumiałości uśmiechem. – Chodźmy.

Kiedy odeszli nieco dalej, Eleanor powtórzyła z irytacją:

– Pewne zaburzenie psychiczne?

– Masz doprawdy dziwny sposób na okazywanie wdzięczności.

Na dźwięk tych słów wyrwała dłoń z jego uścisku, wciąż odnosiła jednak wrażenie, że jego zimne palce nadal dotykały jej skóry.

– Byłam pewna, że na mnie nie patrzyła – mruknęła, krzywiąc się, jakby wzięła do ust coś gorzkiego.

– Nie sztuką jest coś ukraść, gdy nikt nie patrzy. – Wyjął z kieszeni płaszcza czerwone jabłko. Uniósł je, pozwalając, aby na owoc padły promienie porannego słońca. – Sztuką jest coś ukraść tuż przed ich nosa.

– Jakim cudem...

– To nie cud, Eleanor – zapewnił, wycierając jabłko o materiał płaszcza, a po chwili schował je z powrotem do kieszeni. – To sztuka. Właśnie tego zamierzam cię nauczyć. – Wyciągnął ku niej dłoń. – Więc jak? Wchodzisz w to?

Eleanor utkwiała spojrzenie w jego ręce, zaciskając drżące palce na owocu, którego nie udało jej się ukraść. Wiedziała, że jeśli chciała wycofać się z tej absurdalnej farsy, była to ostatnia szansa, by się na to zdobyć. Być może taka decyzja byłaby najrozsądniejsza, zważywszy na fakt, że nie zdołała ukraść nawet cholernego jabłka.

Coś nie pozwoliło jej jednak odmówić. Może pustka, o której myślała wcześniej, a może świadomość, że Lucas Milton i jego ojciec powinni dostać to, na co zasłużyli? Ona zamierzała im to dać i – czy tego pragnęła, czy też nie – musiała przyznać, że Vincent był jej potrzebny. Tak samo jak ona była potrzebna jemu.

– Tak. – Chwyciła jego dłoń.

I tak oto Eleanor i Vincent zostali partnerami. Na dobre i na złe. A zarówno jednych, jak i drugich chwil mieli przeżyć razem naprawdę sporo.



## Rozdział 11

Eleanor nie była pewna, co tak naprawdę spędzało jej sen z powiek – pół kubka kawy, którą wypila godzinę przed położeniem się do łóżka, czy wyrzuty sumienia, jakie przykleiły się do jej duszy i za żadne skarby świata nie chciały zmaleć ani tym bardziej zniknąć.

W tym momencie bardziej niż czegokolwiek pragnęła wyzbyć się resztek człowieczeństwa, bo to one były powodem nieprzyjemnego kurczowego ucisku, który oplatał jej żołądek.

Choć doskonale wiedziała, że Lucas i jego ojciec zasłużyli na wszystko, co niebawem miało ich spotkać, fakt, iż bez wahania zgodziła się dokonać zemsty na człowieku, z którym tak niedawno planowała wspólną przyszłość, napawał ją nie tyle smutkiem i żalem, co dziwnym rodzajem bezsilności.

Kiedy po raz kolejny przeczołgała się na drugą stronę łóżka i z westchnieniem uniosła powieki, zegarek na nocnej szafce wskazywał trzecią w nocy. Przez otwarte okno do małej sypialni ukradkiem wkradało się zimne powietrze.

Eleanor usiadła na brzegu materaca i odgarnęła ciemne włosy, które pasmami opadły jej na policzki. Wiedziała, że nie zdoła zasnąć, dlatego mimo ciężącego jej zmęczenia, zdecydowała się opuścić ciepłe łóżko. Potrzebowała kubka mocnej kawy albo lampki czerwonego wina. Wychodząc na korytarz, nie była pewna, na którą opcję się zdecyduje.

Bez zapalania światła ruszyła w stronę kuchni. Gdy już miała przekroczyć jej próg, dostrzegła w salonie bladą postać. Zdołała zdusić krzyk, kiedy zdała sobie sprawę, że jej mieszkania nie nawiedziła zjawa czy upiór, a pewien białowłosy złodziej.

Vincent siedział w starym fotelu. W jednej dłoni trzymał książkę, którą zaczął czytać dzień wcześniej, w drugiej natomiast filiżankę z czarną herbatą, jak przypuszczała Eleanor.

– Musisz przestać się tu włamywać – przerwała ciszę. – I musisz przestać kraść moją herbatę.

Złodziej nie oderwał wzroku od książki.

– Ja również się za tobą stęskniłem, najdroższa Eleanor.

Dziewczyna westchnęła i już miała zapytać, jakim cudem dostał się do mieszkania, skoro oddał jej skradzione klucze, lecz nagle przypomniała sobie, kim tak właściwie był.

– Od jak dawna... – Zamilkła. Czy naprawdę chciała poznać odpowiedź na to pytanie? Niekiedy niewiedza była znacznie przyjemniejsza od świadomości. – Od jak dawna tutaj siedzisz?

– Która jest godzina?

– Trzecia.

– A niech mnie! – Zamknął książkę, po czym podciągnął rękaw czarnego płaszcza i rzucił okiem na zegarek. – Czas na nas! – Wstał na równe nogi i po raz pierwszy spojrzął na Eleanor. – Noc jeszcze młoda, a przed nami tyle do zrobienia!

– Ale... – Zmarszczyła brwi. – Jest trzecia w nocy.

– Pięć punktów za spostrzegawczość dla Eleanor! – Poprawił swój płaszcz. – Przebierz się w coś cieplejszego. Poczekam na ciebie w aucie.

– Ale...

Zniknął, zanim zdążyła zapytać o coś więcej. Zostawił ją w mroku wąskiego korytarza, ze wzrokiem utkwionym w drzwiach, które za sobą zamknął.

Eleanor wiedziała, że tej nocy nie dane będzie jej już zasnąć, dlatego – nawet jeżeli wyjście z domu było ostatnim, czego pragnęła – zrobiła to, o co poprosił. Zmieniła piżamę na czarny dres, narzuciła na siebie puchową kurtkę, a następnie wyszła z mieszkania.

Była gotowa zrobić naprawdę wiele, aby nie zostać sama z dręczącymi ją myślami.

Vincent, tak jak obiecał, czekał w zaparkowanym na ulicy czarnym samochodzie. Ignorując chłód nocy, El zajęła miejsce pasażera i zapięła pas bezpieczeństwa.

– Dokąd jedziemy? – zapytała, gdy ruszyli opustoszałą drogą.

Odwróciwszy głowę, dostrzegła, że kącik ust mężczyzny drgnął ku górze w tajemniczym uśmiechu.

– Potraktuj to jako niespodziankę. – Nie zdradził nic więcej.

Eleanor westchnęła i wyjrzała przez boczną szybę.

– Nie lubię niespodzianek – szepnęła pod nosem, po czym zamknęła oczy.

Był środek nocy, a ona zamiast leżeć w ciepłym łóżku i zajądać smutki ulubionymi lodami, jechała w nieznaną ze złodziejem, z którym zawarła układ.

Czy był to szósty, dotąd nienazwany, etap żałoby po złamanym sercu?

*Zaprzeczenie, gniew, targowanie się, depresja, akceptacja i... zemsta.*

Eleanor otworzyła oczy, gdy poczuła, że samochód się zatrzymał. Przez boczną szybę dostrzegła oświetlony budynek. Jakimś cudem zdołała domyślić się, że nie był to jedynie przystanek do właściwego celu.

– Stacja benzynowa? – Spojrzała na Vincenta w tej samej chwili, w której zgasił silnik. – To jest ta niespodzianka?

– Wiedziałem, że ci się spodoba – rzucił. – To twoja druga próba, Eleanor.

– Mam... – Uśmiechnęła się z rozbawieniem, nie chcąc uwierzyć, że mówił poważnie. – Okraść stację benzynową?

Vincent odpowiedział krótkim skinieniem głowy. Ku przerażeniu Eleanor, bynajmniej nie wyglądał, jakby żartował.

– Nie... – Pokręciła głowę. – Ja... – Opuściła ramiona, a jej wzrok powędrował w kierunku ogromnych okien, z których w mrok wylewało się żółte światło.

Po raz kolejny tej nocy Eleanor Cullen poczuła rozpierającą bezsilność.

Czego tak właściwie się obawiała? Tego, że jej się nie uda? Że zostanie złapana? Czy może najbardziej obawiała się tego, że gdy to zrobi, nie będzie już tą samą Eleanor, którą była jeszcze trzy dni temu?

Po raz pierwszy w pełni pojęła, że Eleanor, którą wszyscy znali, i tak niebawem miała bezpowrotnie zniknąć. Bez względu na fakt, jak trudne to miało się dla niej okazać, musiała się z tym pogodzić.

Vincent musiał właściwie odczytać wyraz twarzy dziewczyny, ponieważ przerwał ciszę:

– Na tylnym siedzeniu leży torba. Znajdziesz w niej wszystko, co będzie ci potrzebne. Zaczekam na ciebie na zewnątrz. – Wysiadł z samochodu.

Eleanor wzięła głęboki wdech, po czym niewidzialnym murem odgradziła dręczące ją myśli i postanowiła skupić się na chwili obecnej. Przecisnęła się przez szczelinę między przednimi siedzeniami, odnalazła czarną torbę, a w niej wszystko to, co miało pomóc jej zmienić wygląd – krótką spódniczkę z czarnej skóry, obcisły top, wysokie szpilki i skąpą kurtkę. Tuż pod ubraniami natrafiła na szminkę w krwistym czerwonym odcieniu.

W normalnych okolicznościach nie zdecydowałyby się założyć czegoś takiego, więc Vincent spał się idealnie.



Upewniwszy się, że złodziej stał na tyle daleko, by nie mógł jej dostrzec, zmieniła dres na przygotowane przez niego ubrania. Gdy wyszła z auta pięć minut później, niemal potknęła się na nierównym asfalcie. Szpilki były co najmniej o rozmiar za duże, więc musiała mocno się postarać, aby nie przypominać dziewczynki, która postanowiła przymierzyć buty mamy.

Kiedy Vincent się ku niej odwrócił, poczuła ukłucie wstydu. Fakt, że co najmniej dwie trzecie jej ciała pozostawało odsłonięte, w niczym nie pomagał.

– Wyglądam...

– Idealnie – stwierdził.

Pochwyciła jego spojrzenie, starając się doszukać w nim choć krzty rozbawienia, ale wyglądało na to, że i tym razem nie żartował.

– Więc... Co mam zrobić? – zapytała.

– Żadnych podpowiedzi. – Minął ją i podszedł do samochodu.

– Ale...

– Za kasą, tuż obok toalet, znajduje się mały korytarz. Na jego końcu zobaczysz drzwi. Po wszystkim będę czekał na ciebie tuż za nimi. Gdy sprzedawca wyjdzie na zewnątrz, będziesz miała dokładnie minutę i czternaście sekund. Ani chwili dłużej, rozumiesz?

– Tak.

*Chyba tak.*

Vincent po raz ostatni zmierzył ją spojrzeniem.

– Wyśmienicie. – Sięgnął do klamki. – Do dzieła, Eleanor.

– Ale... – Zanim zdołała dokończyć, mężczyzna wszedł do samochodu i odjechał w ciemność. – Co mam ukraść? – wyszeptała do siebie. – Niech to szlag – jęknęła.

Odwróciła się w kierunku budynku stacji benzynowej, zaczerpnęła duży haust powietrza, po czym ruszyła przed siebie, zważając na każdy krok.

Dochodziła czwarta, więc wewnątrz stacji świeciło pustkami, nie licząc tęgiego sprzedawcy w zielonej bejsbolówce. Mężczyzna leniwie uniósł wzrok znad czytanego komiksu, gdy Eleanor weszła do środka. Ułamek sekundy później wrócił jednak do śledzenia dalszych losów Batmana, nie zaprzatając sobie głowy dziewczyną.

Weszła między regały z artykułami spożywczymi i akcesoriami samochodowymi. Za wszelką cenę starała się nie wyglądać na spiętą czy zestresowaną, lecz wszystkie mięśnie wręcz ją bolały. Nie potrafiła się rozluźnić, choć wiedziała, że sprzedawca nawet na nią nie patrzył. Na domiar złego do jej umysłu niepostrzeżenie wkradła się myśl, którą długo starała się trzymać jak najdalej od siebie – co pomyślałby Lucas, gdyby ją teraz zobaczył?

Zmarszczyła brwi, czując nagłe ukłucie złości. Czy Lucas w ogóle o niej myślał, gdy pieprzył się z Carlą?

Eleanor nieznacznie uniosła głowę, kiedy dostrzegła w mroku światła samochodowych reflektorów. Czarny mercedes zatrzymał się przy jednym z dystrybutorów paliwa. To była jej szansa. Mogła dobrze ją wykorzystać albo wciąż rozpamiętywać życie, które już nie należało do niej.

Chwyciła opakowanie miętowych gum i podeszła do kasy.

Sprzedawca o imieniu Ralph – jak głosiła plakietka przyczepiona do jego koszulki – niechętnie odłożył komiks.

– To wszystko? – zapytał, wstukując na kasie kod, który sprawił, że szuflada z gotówką wysunęła się z cichym szczękiem metalu.

Zanim Eleanor zdołała odpowiedzieć, rozległ się donośny dźwięk samochodowego klaksonu.

– Cholera, kolejny niecierpliwy dupek – mruknął pod nosem chłopak, po czym niedbale popchnął szufladę i sięgnął po kamizelkę odblaskową, która wisiała na oparciu krzesła. Narzuciwszy ją na ramiona, skierował się w stronę wyjścia. – Zaraz wrócę.

Tymczasem Eleanor utkwiała spojrzenie w niedomkniętej szufladzie kasy i przełknęła z trudem ślinę. Wiedziała, że nie był to najlepszy czas, by emocje wzięły nad nią górę, niemniej nie była w stanie się ruszyć.

*Minuta i czternaście sekund*, przypomniała sobie.

Jej palce zdrząły, gdy uniosła dłoń, za wszelką cenę starając się uciszyć myśli.

*Minuta i czternaście sekund.*

*Minuta i...*

Usłyszała głos sprzedawcy i w przypiływie czegoś, co dopiero później miała nazwać adrenaliną, zanurzyła rękę w kasie. Wyciągnęła dłoń zaledwie piętnaście sekund przed tym, jak Ralph wrócił do pomieszczenia.

Kiedy to zrobił, dziewczyny już nie było. Zniknęła, zostawiając po sobie tylko paczkę gum miętowych.

– Co do... – Niespodziewanie rozległ się trzask drzwi znajdujących się na końcu długiego korytarza.

Ralph ostatecznie wzruszył tylko ramionami, zajął miejsce na starym krześle i wrócił do czytania ulubionego komiksu.

Tymczasem Eleanor wydostała się przez drzwi, oddychając tak ciężko, jakby w pogoń za nią ruszyły trzy jednostki policji. Wpadła do samochodu i drżącym z emocji głosem nakazała:

– Ruszaj! Szybko!

Vincent bez słowa wykonał polecenie.

Kiedy opuścili teren stacji i znaleźli się na opustoszałej szosie, dziewczyna zerknęła przez tylną szybę. Spazmatyczny oddech niemal miażdżył jej płuca, a w żyłach wciąż krążyła adrenalina.

Gdy po przejechaniu kilku mil upewniła się, że nikt nie podążył ich śladem, poczuła ciężar w dłoni. Oderwała więc wzrok od szyby, a potem spojrzała na rękę. Tak mocno zacisnęła palce, że aż pobieleły jej knykcie.

Powoli otwierając dłoń, czuła coraz szybciej bijące serce.

Istniały trzy rzeczy, których Eleanor Cullen dotąd nie zrobiła i co do których była absolutnie pewna, że nigdy ich nie zrobi. Nigdy nie przeczytała książki historycznej, nie spróbowała owoców morza i... nigdy niczego nie ukradła. Aż do tego dziwnego wieczoru, kiedy pchana bezsennością i zmęczeniem, przystała na absurdalny plan pewnego złodzieja.

Gdy spojrzała na banknoty, poczuła suchość w gardle, a jej barki przygniótł ciężar rezygnacji.

W tym samym czasie Vincent oderwał wzrok od drogi.

– Trzy dolary i siedem centów – skomentował. – Lepsze to niż nic, nieprawdaż?

Eleanor westchnęła. Czy naprawdę zdołała ukraść tylko tyle?

Pozwoliła, aby jej powieki opadły. Serce wciąż biło nienaturalnie szybko w piersi dziewczyny, przyspieszony oddech boleśnie oplatął jej płuca, a uporczywe ciepło nie chciało dać jej spokoju. To wszystko wydawało się tak samo dręczące, co w jakiś nieodgadniony sposób przyjemne.

Kiedy Vincent zauważył wkradający się na twarz współniczki cień uśmiechu, sam również się uśmiechnął.

Niebawem Eleanor Cullen miała polubić to dziwne uczucie, z którym jeszcze próbowała walczyć. A pewnego dnia pokocha je bardziej niż cokolwiek innego. Stanie się słodkim, odurzającym uzależnieniem, które coraz mocniej będzie domagało się nakarmienia.

– Eleanor? – zapytał, przerywając trwającą od dłuższej chwili ciszę.

– Tak?

– Potrafisz pływać?

– Co? – Dziewczyna zmarszczyła brwi.

W chwili, w której uniosła powieki, było już właściwie za późno. W rozciągającym się tuż przed nimi mroku dostrzegła błyszczącą w świetle księżyca taflę jeziora.



## Rozdział 12

Sekundę przed tym, jak samochód uderzył w taflę jeziora, Eleanor – jak niemal każdy człowiek w obliczu nieuchronnej śmierci – starała się przypomnieć sobie wszystkie ważne momenty swojego życia. Z rozczarowaniem odkryła, jak niewiele przeżyła chwil, które miały jakiegokolwiek znaczenie.

Cholera, czy przez całe dwadzieścia sześć lat naprawdę nie przeżyła niczego, co mogłaby z zalem wspominać?

Zamknęła oczy. Siła uderzenia szarpnęła jej ciałem z taką siłą, że pas bezpieczeństwa boleśnie wbił się w klatkę piersiową. Uderzenie serca później poczuła przeszywający ból, a tuż po nim nastąpiła cisza. Kojąca i tak dogłębna, że Eleanor przyjęła ją z nieopisaną ulgą.

Jeżeli śmierć wyglądała właśnie w ten sposób, to może nie należało aż tak się jej obawiać?

– Koniec wycieczki, dobrnęliśmy do ostatniej stacji!

Na dźwięk głosu Vincenta Eleanor rozchyliła dotąd zaciśnięte powieki i wzięła pierwszy drżący oddech. Zdecydowała się odwrócić głowę i posłać mężczyźnie pełne wściekłości spojrzenie. Złość nie chciała jednak wydostać się przez gardło, wciąż ściśnięte strachem i wizją śmierci, która ostatecznie nie nadeszła.

Dziewczyna powoli spojrzała w dół – woda sięgała już niemal do kolan.

– Czas na nas – rzucił z nienaturalną swobodą Vincent, a następnie otworzył drzwi, wpuszczając do wnętrza pojazdu jeszcze więcej wody.

Eleanor drgnęła, by w końcu uczynić to samo – najpierw drżącą dłonią odpięła pas wbijający się w skórę, a potem sięgnęła do klamki. Gdy wysiadła z auta, wpadła do wody niemal po brodę.

Oddychając ciężko, zdołała wydostać się na kamienisty brzeg, gdzie Vincent, jak gdyby nigdy nic, strzepywał wodę z przemoczonego płaszcza.

Eleanor upadła na twardy piasek, kurczowo ściskając w prawej dłoni trzy dolary i siedem centów, jakby ta drobna kwota była tak samo warta ocalenia jak jej własne życie.

Próbując uspokoić kołatające serce, patrzyła, jak czarny mercedes tonie w odmętach jeziora. Gdy samochód całkowicie zniknął, z trudem przełknęła ślinę.

Ciszę przerwał dopiero Vincent:

– Cóż, to by było na tyle.

Eleanor zmarszczyła brwi, podnosząc się z wysiłkiem, a następnie gniewnie na niego spojrzała.

– Ty... – Zdołała wydukać drżącym głosem. Lewą ręką wskazała na jezioro. – Samochód...

– Ach, był kradziony. I tak musiałem się go pozbyć. – Machnął niedbale dłonią, po czym rozejrzał się dookoła.

Znajdowali się w lesie, a otaczające ich wysokie drzewa wraz z wiszącym na niebie księżycem w pełni nadawały krajobrazowi złowieszczy klimat.

– Nie mogłeś pozbyć się samochodu... bez nas w środku?!

– Miałbym odebrać nam taką wyśmienitą zabawę? Nie bądź niemądra, Eleanor. – Pokręcił głową.

Z ust El uciekł dźwięk z pogranicza śmiechu, westchnienia i żalosnego jęku.

Odgarniając kosmyki, które przykleiły się do jej mokrych policzków, jeszcze raz spojrzała na jezioro. Czarna tafla pozostawała niewzruszona. Samochód zniknął, podobnie jak jej ubrania i kurtka, którą mogłaby ochronić się przed zimnem nocy.

Zaśmiała się praktycznie niesłyszalnie. Z rozpaczy i zmęczenia. Istniały chwile takie jak ta, gdy śmiech wydawał się jedyną odpowiednią reakcją.

– Nie wierzę... – Pokręciła głową. – Jesteś walnięty.

– To tylko jeden z moich atutów.

Jego głos wydał się Eleanor odrobinę cichszy niż dotychczas. Kiedy odwróciła głowę, dostrzegła, że Vincent ruszył zarośniętą ścieżką.

– Hej! – zawołała za nim. – Dokąd idziesz?!

Gdy mimo wysokich szpilek udało jej się go dogonić, złodziej zerknął na nią przez ramię i odpowiedział, jakby była to najbardziej oczywista rzecz na świecie:

– Zamierzam bezpiecznie odprowadzić cię do domu. Nie wypada zostawiać damy zupełnie samej w środku lasu, prawda?

*Cholera, pomyślała. On naprawdę jest wariatem.*

– Ale...

– Czyż to nie idealna noc na spacer, Eleanor? – wtrącił, sprawiając, że jej ramiona opadły z rezygnacją.

Kroczyła kilka kroków za nim, czując, jak z każdą chwilą adrenalina gaśnie, ustępując miejsca złości. Miała ochotę czymś w niego rzucić. Kamieniem lub choćby patykiem. Czymkolwiek.

Po kilku minutach wędrówki i obserwowania otaczającej ich przestrzeni Eleanor utkwiła spojrzenie w złodzieju. Jego czarny płaszcz, podobnie jak jej ubranie, był całkowicie przemoknięty.

Czy naprawdę powierzyła swój los w ręce tego szaleńca?

Objęła drżącymi dłońmi nagie ramiona. Z każdym krokiem, gdy emocje coraz bardziej ulatywały, było jej coraz zimniej.

– Czy mógłbyś... dać mi swój płaszcz? – zapytała nagle.

Vincent spojrzał na nią przez ramię.

– Słucham?

– Jest mi zimno, bo postanowiłeś utopić moje ubrania i kurtkę. Gdybyś był dżentelmenem...

– Nie jestem dżentelmenem, tylko złodziejem – wtrącił. – Na dodatek, gdy oddam ci swój płaszcz, to mnie będzie wówczas zimno. Możesz chwycić mnie za rękę, jeżeli chcesz. Podobno kontakt fizyczny działa rozgrzewająco...

– Dupek – mruknęła pod nosem.

– W twoich ustach, najdroższa Eleanor, brzmi to niczym komplement.

– Niewychowany dupek – dodała.

– Jesteś rozkoszna.

– Przestań – prychnęła.

– Jak sobie życzysz.

Eleanor skrzyżowała ramiona na piersi i utkwiła w plecach złodzieja pełne nienawiści spojrzenie. Gdyby wzrok mógł zabijać, Vincent padłby martwy na ziemię, ale niestety zamiast tego szedł spokojnie przed siebie, nie wyglądając jak ktoś, kto kilkanaście minut wcześniej wjechał samochodem do jeziora.

Dziewczyna była tak zajęta zabijaniem go spojrzeniem, że nie zauważyła wystającego z ziemi korzenia. Zahaczyła o niego nogą, a przez niebotycznie wysokie szpilki nie zdołała w porę złapać stabilnej pozycji. Z przekleństwem wyrrywającym się z ust runęła na ziemię.

Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej zapragnęła się rozplakać. Siedziała na brudnej glebie, w środku lasu, z dala od domu, na dodatek kompletnie przemoczona i zmarznięta. W prawej dłoni wciąż ścisnęła trzy dolary i siedem centów, nie chcąc ich zgubić za żadne skarby świata. Pociągnęła

nosem, czując gromadzące się pod powiekami łzy, gdy niespodziewanie ujrzała przed sobą bladą rękę Vincenta.

Kiedy napotkała spojrzenie jego ciemnych oczu, znalazła się na cienkiej granicy między byciem na tyle silną, by nie uronić łzy, a kompletnym rozklejeniem się.

– Przez ciebie jestem cała mokra – szepnęła.

– To zdanie może mieć dwa znaczenia. W jakim kontekście powinienem je odebrać? – Uniósł brew.

– Czy mówiłam ci już, jak wielkim jesteś dupkiem? – zapytała.

– A czy ja mówiłem ci już, jak bardzo jesteś rozkoszna?

Eleanor nie zdołała zapanować nad lekkim uśmiechem bezsilności i rozbawienia.

– Wracajmy do domu, Eleanor – zaproponował.

Dziewczyna spojrzała na jego dłoń, a w następnej chwili zdecydowała się ją chwycić. Z pomocą złodzieja udało jej się wstać na równe nogi. Kiedy już miała wydostać rękę z jego uścisku, Vincent jej na to nie pozwolił, bez słowa ruszając w dalszą drogę.

Pragnęła zaprotestować, niemniej zanim odnalazła w sobie na to dość sił, poczuła przyjemne ciepło jego skóry, które w tej pełnej zimna chwili było niemal zbawienne. Bez słowa ruszyła więc za nim, pozwalając, by przez całą drogę ich ręce pozostawały złączone.

Kiedy krótko po szóstej rano dotarli do mieszkania, Vincent wydobył z kieszeni płaszcza klucze do drzwi.

– Skąd je masz? – zapytała dziewczyna, wchodząc do ciepłego wnętrza.

– Wyjąłem je z kieszeni twojej kurtki.

– I ani przez moment nie pomyślałeś o tym, żeby zabrać też kurtkę? – zapytała z westchnieniem.

– Nieważne. Jestem zmęczona. Pójdę do łóżka.

– Wyśmienicie. Ja w tym czasie dokończę książkę.

Eleanor przystanęła nieopodal wejścia do salonu, w którym zniknął Vincent. Zaczerpnęła głęboko powietrza, po czym odwróciła się i oznajmiła:

– Miałam na myśli, że ja pójdę do łóżka, a ty stąd wyjdiesz.

Vincent obdarzył ją spojrzeniem.

– No tak. Oczywiście. – Odłożył książkę na stolik nieopodal fotela.

– I, proszę, oddaj mi klucze. Tym razem na dobre.

Na twarzy złodzieja błysnął grymas.

– Obawiam się, że nie mogę tego zrobić, Eleanor.

– Dlaczego nie?

– Nie uważasz, że to zbyt proste? – Wzruszył ramionami. – Sama mi je zabierz.

– Mam...

– Mnie okraść – dokończył.

Eleanor słabo się uśmiechnęła.

– Nie da się okraść złodzieja.

– Nie będę się starał – obiecał, zamykając oczy. – Nie będę nawet patrzył. Klucze znajdują się w wewnętrznej kieszeni mojego płaszcza. Po prostu je zabierz.

Dziewczyna znów głęboko odetchnęła, po czym powoli ruszyła z miejsca. Przeszła z korytarza do salonu i zatrzymała się tuż przed Vincentem. Gdy przybliżyła się o kolejny krok, deski podłogi zaskrzypiały pod jej bosymi stopami.

– Lewa kieszeń – poleciał.

Musiała się pochylić, aby wsunąć dłoń pod czarny wciąż nieprzyjemnie mokry materiał. Wtedy poczuła jego zapach i znów, choć bardzo pragnęła to zrobić, nie potrafiła jednoznacznie określić, co przypominał. Ta świadomość niespodziewanie ją zirytowała.

Gdy usłyszała, że wziął głębszy wdech, spojrzała na jego twarz z odległości bliższej niż kiedykolwiek wcześniej.

W mroku wypełniającym małe mieszkanie Vincent przypominał upiora. Wciąż mokre kosmyki jasnych włosów przykleiły się do jego skroni. Długie białe rzęsy niemal dotykały policzków. Wargi natomiast pozostawały lekko rozchylone.

Eleanor przełknęła z trudem, nieznacznie unosząc głowę. Poczuła jego miarowy oddech na zmarzniętej skórze. Poczuła także bijące od niego ciepło, do którego jej ciało lgnęło w nienaturalny, wręcz niewytłumaczalny sposób.

Wstrzymała oddech, gdy Vincent powoli uniół powieki. Pierwszym, na co spojrzał, ku rozpaczy Eleanor, były jej usta. Dotknął ich spojrzeniem ciemnych oczu. Bezwstydnie i badawczo.

– Nic tam nie ma – wyszeptła. – W twojej kieszeni niczego nie ma.

Kącik warg Vincenta niemal niezauważalnie drgnął. Teraz mężczyzna skupił się na jej oczach.

– Pierwsza zasada, najdroższa Eleanor, nigdy nie ufaj złodziejowi. Urodzeni z nas kłamcy i manipulatorzy.

Poczuła w ustach smak złości i rozdrażniania, jednak zamiast się cofnąć, wsunęła dłoń do prawej kieszeni jego płaszcz. I ona okazała się zupełnie pusta.

– Oszukałeś mnie – powiedziała z wyrzutem.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Zapagnęła cofnąć się o krok, ale miała wrażenie, że nogi przykleiły jej się do podłogi.

– W porządku – szepnęła. – Weź sobie te cholerne klucze. Nie chcę ich.

– Czego więc chcesz, Eleanor Cullen?

Zmęczenie osiadło na jej ramionach. Było nieznośnie ciężkie i razem ze wszystkim, co miało miejsce tej nocy, odebrało jej resztki sił. Gdy rozchyliła wargi, z jej gardła wyrwał się drżący oddech.

– Dwa dni temu miałam dobrą pracę i planowałam ślub z mężczyzną, w którego miłość wierzyłam bardziej niż w cokolwiek innego. – Głos jej się załamał. Był pełen smutku, żalu i bólu. – A teraz... – Pokręciła głową, czując ciężar łez w oczach. – Stoję w starym mieszkaniu matki, kompletnie mokra i zmarznięta, i cieszę się z cholernych trzech dolarów i pieprzonych siedmiu centów, jakby było to moje największe życiowe osiągnięcie.

Vincent omiół wzrokiem jej twarz.

– Pytasz, czego chcę? – powtórzyła. – Chcę w końcu obudzić się z tego koszmaru. Chcę tylko się obudzić.

– Och, Eleanor. – W głosie mężczyzny pobrzmiwała troska. Smukłymi palcami odgarnął z policzka El mokre kosmyki. – Ten koszmar to twoje życie. – Oplótł czarne pasmo wokół palca, przyjrzał mu się uważnie, po czym odwzajemnił spojrzenie dziewczyny. – I wbrew temu, czego pragniesz nawet całym złamanym sercem, nie zdołasz się z niego obudzić.

Po jej policzku spłynęła pierwsza łza.

– Ale nie martw się. – Powoli się ku niej pochylił. Był blisko. Zbyt blisko. Eleanor zamknęła oczy, gdy jego szept rozległ się tuż obok jej ucha: – Złość, którą teraz czujesz, będzie twoim największym sprzymierzeńcem i pomoże ci sprawić, że ludzie, którzy zgotowali ci ten koszmar, w końcu za to zapłacą. Musisz się w niej rozsmakować, najdroższa Eleanor. Musisz uczynić ją swoją najwierniejszą przyjaciółką. Musisz jej zaufać.



Eleanor rozchyliła powieki, kiedy oddech Vincenta omiół jej policzek. Pierwszym, co ujrzała, była czerń jego oczu. Miała wrażenie, że zdołała dostrzec w niej własne odbicie.

– Chcesz poznać drugą zasadę? – zapytał z błyskiem w oku.

– Tak.

– Zawsze pilnuj własnych kieszeni. Zwłaszcza w obecności złodzieja.

Eleanor zmarszczyła brwi zaledwie kilka sekund przed tym, jak od ścian jej mieszkania odbiło się echo dzwonka.

– Powinnaś otworzyć – zachęcił Vincent, powoli się odsuwając.

Dziewczyna zerknęła w kierunku korytarza, a następnie ruszyła w stronę drzwi. Tuż za nimi zauważyła mężczyznę w eleganckim garniturze, z ogromnym białym pudłem w dłoniach.

– Pani Eleanor Cullen?

– Tak, to ja.

Podsunał jej potwierdzenie odbioru.

– Proszę podpisać.

Złożyła szybki podpis, a potem odebrała od mężczyzny pudło oraz rachunek. Gdy wróciła do środka, ostrożnie położyła przesyłkę na stoliku ustawionym przed lustrem i zerknęła na fakturę opiewającą na prawie dwadzieścia tysięcy dolarów. Skrzywiła się na widok zawrotnej sumy, a potem jeszcze raz spojrzała na pudło.

Choć wiedziała, co znajduje się w środku – poświęciła wiele godzin, aby ją wybrać – uniosła wieko, by na własne oczy zobaczyć sukienkę, której już nigdy miała nie założyć.

Dotknęła opuszkami palców miękkiego materiału, po czym zamknęła pudło i jeszcze raz spojrzała na rachunek.

Podczas planowania ślubu Lucas nalegał, by to on pokrył wszystkie koszty. Ostatecznie po wielu namowach zgodził się, żeby Eleanor zapłaciła połowę wartości sukni ślubnej. Ale to było zanim ich wspólna przyszłość stała się tylko mglistym i przykrym wspomnieniem.

Cholera, skąd miała wziąć tyle pieniędzy? Postanowiła jednak w tym momencie się tym nie martwić. Schowała rachunek do pudła, po czym wróciła do salonu, który, ku jej zaskoczeniu, okazał się zupełnie pusty. Vincent zniknął, nie pozostawiając po sobie niczego prócz kilku mokrych plam na drewnianej podłodze.

– Mógłby chociaż się pożegnać – westchnęła, odwracając się w stronę sypialni.

Właśnie wtedy przypomniała sobie słowa złodzieja. Wsunęła dłoń do kieszeni cienkiej skórzanej kurtki i na jej dnie odnalazła klucze do mieszkania. Na ich widok kącik jej ust nieznacznie drgnął.

Po raz kolejny pomyślała o tym, że powierzyła swój los w ręce kompletnego szaleńca, co w całym tym nieszczęściu wydawało się jej najmniejszym zmartwieniem.



## Rozdział 13

Z okładki biznesowego magazynu na Eleanor patrzył Roger Milton. W szarym eleganckim garniturze, ze skrupulatnie wypracowanym uśmiechem na nieco wyretuszowanej twarzy, wyglądał na kogoś godnego zaufania. Kompletnie nie przypominał przy tym człowieka, jakim był w rzeczywistości.

– Blokuję pani kolejkę.

Eleanor oderwała wzrok od sekcji z gazetami i przeniosła go na zniecierpliwioną kasjerkę, zdobywając się na pełen zakłopotania uśmiech.

– Przepraszam.

– To wszystko? – zapytała kobieta.

– Tak.

– Razem będzie trzynaście dolarów i pięćdziesiąt centów.

Dziewczyna sięgnęła po portfel i znów zamarła, kiedy odnalazła w nim trzy dolary i siedem centów, które włożyła tam kilka godzin wcześniej. Na ich widok poczuła ucisk w żołądku. Po raz pierwszy od przebudzenia wróciła wspomnieniami do ubiegłej nocy.

Kasjerka wymownie odchrząknęła.

Eleanor potrząsnęła głową i z lekkim uśmiechem powiedziała:

– Zapłacę kartą.

Uregulowała rachunek, po czym zgarnęła z lady torbę z zakupami i wyszła na chłodne, nowoorleańskie powietrze. Dochodziła piąta, więc miasto znajdowało się w kulminacyjnym momencie popołudniowego szczytu, co oznaczało, że znalezienie miejsca siedzącego w metrze graniczyło z cudem.

Kiedy po ponad trzech kwadransach Eleanor udało się dotrzeć do mieszkania, jedynym, o czym marzyła, było zakopanie się w ciepłej pościeli i udawanie, że problemy, przez które w nocy nie potrafiła zmrużyć oka, przestały istnieć. Choćby na kilka godzin.

W chwili, w której włożyła klucz do zamka, przytrzymując torbę z zakupami biodrem, wizja spokojnego popołudnia prysnęła niczym mydlana bańka. Tuż za dziewczyną rozbrzmiał znajomy piskliwy głos pani Dawson:

– Eleanor?

El zamknęła oczy i przeklęła w duchu Boga, wszechświat i wszystko, co mogło przyczynić się do nieszczęścia, które jej się przytrafiło.

Pani Dawson była wyjątkowo drobną, elegancką starszą kobietą, która wynajmowała mieszkanie tuż nad mieszkaniem Eleanor od... Cóż, wydawać by się mogło, że od zawsze. Choć na pierwszy rzut oka nie sprawiała wrażenia groźnej czy też niemilej, była idealnym przykładem tego, że nie należy oceniać książki po okładce i staruszki po kolorowym sweterku z radosnym napisem.

Kiedy dziewczyna wreszcie się ku niej odwróciła, naciągając na twarz wymuszony uśmiech, oczy pani Dawson otworzyły się nieco szerzej.

– Och, a więc wcale mi się nie zdawało, gdy dwa dni temu widziałam, jak wchodzisz do mieszkania! – Machnęła niedbale dłonią. – W tym wieku podobne przewidzenia to norma, sama rozumiesz.

Eleanor nie wiedziała, w jakim wieku była pani Dawson, ale niekiedy sprawiała wrażenie, że pamiętała jeszcze czasy Williama Tafta<sup>7</sup>.

– Wróciłaś na dłużej? – zapytała.

– Coś w tym rodzaju – odparła, poprawiając zakupy, które zsunęły się jej z ramion.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę! Koniecznie wpadnij do mnie na herbatę, gdy znajdziesz czas.

Kolejny wymuszony uśmiech.

– Oczywiście.

Kiedy z kieszeni jej płaszcza dobiegł dźwięk telefonu, Eleanor niemal odetchnęła z ulgą.

– Przepraszam, ale muszę odebrać...

– Miło znów cię widzieć – wtrąciła staruszka, dotykając jej ręki własną, pomarszczoną i nienaturalnie zimną.

Chwilę później pani Dawson w kolorowym swetrze oddaliła się schodami prowadzącymi na pierwsze piętro. Wówczas Eleanor popchnęła drzwi i weszła do mieszkania, przytrzymując telefon ramieniem.

W komórce rozbrzmiał kobiecy głos:

– Rozmawiałam z właścicielką salonu, tak jak pani prosiła, ale obawiam się, że nie możemy nic zrobić. Suknia była wykonywana na zamówienie, część materiałów została specjalnie sprowadzona z Francji. W tym wypadku zwrot niestety nie wchodzi w grę.

– Oczywiście, rozumiem. Przepraszam za kłopot.

Oparła plecy o drzwi, odsunęła telefon od policzka, a następnie zamknęła oczy. Bezsilność, która ogarnęła dziewczynę chwilę później, wyrwała z jej gardła żalosny jęk. Choć nie należała do osób, które uginają się pod wpływem przeciwności, była już tak bardzo zmęczona tym, że wszystko spadło na nią w jednym momencie.

*Weź się w garść, El,* nakazała sobie w duchu.

Rozchyliła powieki, odepchnęła się od drzwi i odstawiła na szafkę pod lustrem torbę z zakupami, z której wyjęła wino. Następnie z butelką w dłoni przeszła do sypialni, gdzie na drzwiach szafy wisiała ostatnia pamiątka po niedoszłym ślubie.

Suknia była piękna – właśnie taka, o jakiej Eleanor zawsze marzyła, jednak dziewczyna nie potrafiła patrzeć na nią bez narastającego obrzydzenia, choć ten kawałek materiału nie był niczemu winien.

W momencie, w którym już miała otworzyć wino, dostrzegła coś czarnego na białej pościeli. Podchodząc do łóżka, chwyciła karteczkę, którą ktoś nadzwyczaj równo położył tuż obok sukienki.

*Uznałem, że będzie pasować idealnie do Twoich oczu.*

*Liczę, że nie masz żadnych planów na wieczór.*

*Wpadnę po Ciebie o ósmej.*

*– Vincent*

*Ps. Nie jest kradziona.*

Na widok ostatnich słów wiadomości kącik ust Eleanor drgnął w nieznacznym, uśmiechu.

– Na jaki szalony pomysł wpadłeś tym razem? – szepnęła pod nosem.

Jeszcze raz zerknęła w kierunku białej sukni, a potem napełniła kieliszek czerwonym winem. Rozkoszując się jego słodkim smakiem, spędziła ponad pół godziny w gorącej kąpeli. Kiedy wyszła z łazienki, ubrana jedynie w czarną bieliznę, zegar na nocnej szafce wskazywał kwadrans po siódmej. Pokój zalewał mrok, który przepędzał tylko blask ulicznych lamp wdzierający się do pomieszczenia przez szpary w żaluzjach.

Nie zapalając światła, Eleanor włożyła sukienkę, po czym stanęła przed lustrem i zmierzyła się z własnym odbiciem. Czarny materiał przylegał do ciała niczym druga skóra. Pasował idealnie.

Choć sukienka z pewnością nie należała do skromnych – odsłaniała znaczną część pleców – dzięki zabudowanym ramionom i długim rękawom dziewczyna czuła się w niej komfortowo.

El odetchnęła głęboko, kiedy odbicie w zwierciadle obdarzyło ją grymasem. Przypominała chodzące nieszczęście i smutek.

Zamknęła oczy, by po raz drugi nakazać sobie stanowczo: *Weź się w garść.*

Wówczas ciszę przerwał aksamitny głos:

– Nie myliłem się. Czerni to zdecydowanie twój kolor.

Kiedy Eleanor uniosła powieki, w lustrze dostrzegła odbicie Vincenta. Stał w progu sypialni, ubrany w elegancki czarny garnitur. Wyglądał niemal tak jak tego dnia, kiedy spotkali się po raz pierwszy, z tą jednak różnicą, że teraz jego dłoni nie zakrywały rękawiczki.

Chciała coś powiedzieć, ale sposób, w jaki na nią patrzył, na moment odebrał jej zdolność do przekształcenia myśli w słowa.

Przesunął spojrzeniem ciemnych oczu po jej sylwetce, powoli dotykając wzrokiem każdego cala jej ciała. Robił to tak nieznośnie powoli i dokładnie, że Eleanor na dłuższą chwilę wstrzymała oddech.

Czując, jak zimny dreszcz przebiega wzdłuż jej kręgosłupa, odwróciła wzrok i skupiła się na własnym odbiciu.

– Wolalabym, żebyś pukał – powiedziała.

– Złodziej, który zapowiada swoją wizytę, to raczej kiepski złodziej.

Usłyszała, a może bardziej poczuła, że zaczął iść w jej stronę. Deski podłogi sypialni wydały charakterystyczny ledwie słyszalny dźwięk. Vincent poruszał się cicho, stawiając każdy krok niemal bezszelestnie, niczym kot skradający się do zdobyczy.

Eleanor nie uniosła wzroku, nawet gdy stanął tuż za nią. Mocny zapach jego perfum był zbyt dobrze wyczuwalny, aby mogła się co do tego pomylić.

– Gdy ją zobaczyłem... – zaczął, sięgając do zamka sukienki. Zapiął go powoli, kończąc wcześniej rozpoczętą myśl: – Uznałem, że jest idealna na dzisiejszy wieczór.

Gdy ciepłe opuszki jego palców zahaczyły o skórę pleców Eleanor, dziewczyna przełknęła z trudem. Wbrew temu, co obiecała sobie kilka chwil wcześniej, pochwyciła jego wzrok.

Stojąc tak blisko siebie, ubrani w czerni i otoczeni czernią, przypominali dwa spletające się ze sobą cienie.

– Jaką mam pewność, że jej nie ukradłeś? – zapytała cicho.

Vincent się uśmiechnął, a uśmiech ten zawierał tyle samo rozbawienia, co przebiegłości. Połączony z subtelnym błyskiem w spojrzeniu, sprawiał wrażenie upiornego i złowieszczonego.

Złodziej pochylił się i pieszcząc łagodnym oddechem skórę szyi El, szepnął tuż obok jej ucha. Nie wiedzieć czemu, również uznał, że nie należało zakłócać panującej w pomieszczeniu ciszy.

– Ufasz mi, Eleanor?

Dziewczyna nie odrywała wzroku od jego odbicia.

Vincent zawisł nad jej ramieniem niczym zły duch szepczący do ucha i mącący w myślach.

– Tobie? – Jej głos nieznacznie zadrżał. – Za żadne skarby świata.

Na twarzy mężczyzny zagościł ten sam uśmiech, co kilka sekund wcześniej. Tym razem zawierał także odrobinę zadowolenia, jakby odpowiedź, która padła, w pełni go zadowoliła.

– W takim razie... – Pochylił się o kolejne cale. – Pozwól, że bez wyrzutów znów skłamię i powiem, że sukienka, w której wyglądasz doprawdy obłędnie, najdroższa Eleanor, była warta każdego centa, który na nią wydałem.

Odnalazł jej spojrzenie i przechylił głowę odrobinę w prawo, przez co kosmyki białych włosów osunęły mu się na czoło. Przez moment wyglądał mniej upiornie, przynajmniej dopóki uśmiech stopniowo nie przygasł na bladej twarzy.

Było w nim coś, czego Eleanor nie potrafiła nazwać. Może chodziło o sposób, w jaki się poruszał? A może jej umysł próbował za wszelką cenę doszukać się w tym mężczyźnie czegoś ludzkiego? Czegoś, co w jej oczach uczyniłoby go wartym zaufania, którym zdecydowała się go obdarzyć.

Wciąż nie była pewna, czy powierzając mu swoją zemstę, nie popełniła jednego z największych błędów w życiu. Za każdym jednak razem, gdy o tym myślała, uświadamiała sobie, że nie istniało nic bardziej godnego pogardy niż oddanie serca człowiekowi, który nie był go godzien.

Nie sądziła, by mogło spotkać ją coś gorszego.

– Więc... – Zdecydowała się przerwać ciszę. – Dokąd zabierzesz mnie tym razem?

Uśmiech, który zagościł na twarzy Vincenta, był wystarczającą odpowiedzią.

– Niech zgadnę... – Odetchnęła głęboko. – To niespodzianka?

– Zapewniam, że ci się spodoba.



## Rozdział 14

*The Black Room* było miejscem, o którym mówiło wielu, jednak nieliczni z nich kiedykolwiek przekroczyli jego próg. Aby dostąpić tego zaszczytu – jak uważała znaczna część tych, którzy nigdy go nie zaznali – należało być posiadaczem czarnej karty. Tej z kolei nie można było ani kupić, ani z łatwością zdobyć.

Istniały dwa sposoby, by wejść w jej posiadanie: uzyskać wstawiennictwo jednego z członków lub – jak miało to miejsce w przypadku Vincenta – ukraść ją. Nie okazało się to wyczynem zbyt trudnym czy też wymagającym.

*The Black Room* szczyliło się brakiem zasad, prócz jednej, jakże jednak istotnej – wchodząc do tego miejsca, człowiek stawał się nikim. Nie miał imienia ani nazwiska. Nie miał znajomych, rodziny i tożsamości. I przede wszystkim nie miał twarzy.

Przed wejściem Vincent bez wyjaśnienia wręczył Eleanor elegancką maskę z czarnego jedwabiu, nakazując:

– Nie mów nic, dopóki nie dostaniemy się do środka. Nie uśmiechaj się i nie patrz nikomu w oczy.

Choć polecenie wydawało się banalnie proste, Eleanor z trudem zdołała przełknąć cisnące się na usta pytania.

Kiedy z każdej strony otoczyły ich czarne ściany, nawet ciekawość nie była już aż tak dużym problemem. O wiele trudniej było nie zgubić się we wszechobecnym mroku, który zdawał się przywierać do skóry niczym brud.

Eleanor drgnęła, gdy nagle poczuła, jak smukłe palce złodzieja delikatnie ujmują jej dłoń. Starła się nie zrobić tego zbyt szybko i rozpaczliwie, ale już po chwili odwzajemniła uścisk, wypuszczając spomiędzy warg coś, co przypominało westchnienie ulgi.

Milczała, tak jak o to poprosił, skupiając się jedynie na tym, by nie upaść i nie puścić ręki Vincenta. Ostatnim, czego pragnęła, było zgubienie się w ciągnącym się bez końca ciemnym korytarzu.

Ale jak wszystko, także i on wreszcie doczekał się zwieńczenia. Na jego końcu czekało na nich to, co kryło się pod tajemniczą nazwą *The Black Room*.

Być może większość tych, którzy marzyli o dostąpieniu zaszczytu odwiedzin tego miejsca, poczułaby rozczarowanie na widok wnętrza nieróżniącego się od innych lokali, na które można było trafić w Nowym Orleanie.

Ostatecznie piękno *The Black Room* nie kryło się w jego wystroju ani także w wysiłku, który trzeba było podjąć, aby dostać się do środka. Chodziło o niewyjaśnione i niewątpliwie trudne do nazwania uczucie, które zawładnęło każdym – w tym Eleanor – kto miał okazję choć na moment stać się częścią tej mrocznej tajemnicy. Była to mieszanka niepokoju, ekscytacji i podniecenia.

Przez sześć lat działalności *The Black Room* był świadkiem niezliczonej ilości zdrad, romansów, spisków i nielegalnych interesów. Żaden z tych sekretów nigdy jednak nie wydostał się poza mury tego budynku. Nikt, kto popełniał tu jakiegokolwiek grzech, nie miał imienia ani nazwiska, które byłoby można obarczyć konsekwencjami. W tym właśnie kryło się całe piękno tego miejsca.

Gdyby sam Diabeł postanowił zstąpić na ziemię, z pewnością świetnie by się tu odnalazł.

Kiedy Eleanor odważyła się wziąć głębszy wdech, poczuła mocny zapach whisky i dymu papierosowego. Ten drugi unosił się między czarnymi ścianami, tworząc subtelną mgłę, przez którą z trudem można było coś dostrzec. Ciężar mroku osadził się na ramionach dziewczyny. Czowała go tak



dotkliwie, że każdy krok kosztował ją wiele wysiłku. Patrzyła na ludzi, których mijali. Z twarzami zasłoniętymi eleganckimi maskami, wszyscy wyglądali niemal tak samo. Bardziej przypominali upiory niż żywe stworzenia. Nawet ich głosy, dziwnie ściszone, jakby cokolwiek głośniejszego od szeptu było zakazane, nie wydawały się w pełni naturalne.

Eleanor nieświadomie mocniej ścisnęła dłoń Vincenta. Bała się, że jeżeli go puści, to dziwne uczucie, którego nie potrafiła nazwać, w zupełności ją pochłonie.

Nie wiedziała, dokąd idą. Z każdym krokiem ciemność wydawała się coraz gęstsza, a dym papierosowy coraz bardziej drażniący i nieprzyjemny. W tle, między dźwiękami muzyki nieokreślonego gatunku, można było dosłyszeć kobiecy śpiew – smętny i powściągliwy, a jednocześnie tak głęboki, że nawet jego niewyraźne echo przyprawiało o niepokój.

Wszystko tutaj takie było – przerażające i otumaniające zarazem.

Eleanor tak bardzo skupiła się na tym, co ją otaczało, że nie spostrzegła, w której chwili Vincent się zatrzymał. Gdy to się stało, nie zdążyła o nic zapytać, ponieważ złodziej odwrócił się ku niej i, z twarzą skrytą pod czarną maską, poprosił:

– Zatańcz ze mną, Eleanor.

– Nie potrafię tańczyć.

Vincent obdarzył ją uśmiechem i wyciągnął ku niej dłoń o smukłych palcach.

– Wygląda więc na to, że jest nas dwoje.

Po raz kolejny pragnęła zadać któreś z pytań domagających się odpowiedzi, lecz zamiast tego zdobyła się tylko na lekkie skinienie głową.

Kiedy znaleźli się na parkiecie, głos śpiewaczki stał się tylko niewyraźnym szeptem pośród ciszy. Przypominał melodię ze starej płyty winylowej – lekko zdarty, zachrypnięty i nie do końca rzeczywisty.

Eleanor rozejrzała się, pragnąc znaleźć coś, na czym mogłaby skupić uwagę, kiedy dłoń Vincenta spoczęła u dołu jej pleców. Stanowczym, lecz delikatnym ruchem zmniejszył dzielącą ich odległość do zaledwie marnych cali.

Z drżeniem zacerpnęła tchu, kiedy jego twardy tors naparł na jej piersi. Pośród panującego wokół zimna bijące od Vincenta ciepło wydawało się niemal rozkoszne.

Czując na sobie ciężar jego spojrzenia, Eleanor zadarła podbródek. Nie myliła się – patrzył na nią z wręcz niedorzeczną bezwstydną.

– Czy teraz.... – zaczęła głosem niewiele głośniejszym od szeptu. – Możesz powiedzieć mi, co tutaj robimy?

– Bądź cierpliwa – polecił spokojnie, przesuwając dłoń odrobinę wyżej, niebezpiecznie blisko miejsca, w którym jej skóry nie zakrywała sukienka.

Eleanor wiedziała, że nie pojawili się tu bez powodu. Nic, co robił Vincent, nie wydawało się bezcelowe i przypadkowe.

Zaczęli sunąć po parkiecie – nieśpiesznie, wręcz leniwie, nie zważając na melodię, której i tak właściwie nie słyszeli.

Vincent powiódł spojrzeniem ponad głowę dziewczyny. Szukał kogoś lub czegoś, lecz najwyraźniej nie udało mu się tego znaleźć, ponieważ kąciki jego ust zdrząły w słabym grymasie.

– Wczorajsza noc... – Urwała, gdy głos na ułamek sekundy odmówił jej posłuszeństwa. – Co miała tak naprawdę na celu?

Złodziej znów na nią spojrzął, po czym uniósł jasną brew.

Zdołała dostrzec to nawet mimo maski, za którą skrywała się jego twarz.

– Dlaczego miałam okraść stację benzynową? Czy to nie zbyt...

– Pospolite? – dokończył, na co z lekkim zawahaniem zdecydowała się odpowiedzieć skinieniem głowy.

– Tak – szepnęła. – Ale to bez znaczenia. I tak nie ukradłam zbyt wiele...

– Ukradłaś więcej, niż sądziłem, że zdołasz. Sam fakt, że w ogóle ci się udało, był dla mnie zaskakujący – przyznał.

– To tylko trzy dolary... – zamilkła, kiedy Vincent niespodziewanie się ku niej pochylił. Zrobił to tak nagle i płynnie, że nie zdołała w porę się cofnąć, przez co ich twarze zawisły tak blisko siebie, że ich oddechy w ułamku sekundy się zmieszały.

Pachniał winem. Eleanor była tego bardziej niż pewna.

– To nieistotne – przyznał, omiatając wzrokiem jej twarz. – Bo to, co czułaś, trzymając je w dłoniach, zawsze będzie smakować tak samo. Nieważne, czy w twojej dłoni będą leżeć trzy dolary, czy najdroższy diament świata.

Eleanor rozchyliła wargi, które tylko nieznacznie zadrżały, nie wypuszczając na zewnątrz żadnego słowa. Pamiętała uczucie, które narodziło się tak niespodziewanie, gdy siedząc w samochodzie, z mocno bijącym sercem patrzyła na trzy dolary i siedem centów. I to, które trwało jeszcze długo potem, kiedy ściskając zdobycz w dłoni, nie chciała jej puścić za żadne skarby świata.

– Pewnego dnia... – zaczął, na powrót przyciągając jej uwagę. Spojrzała mu w oczy w tej samej chwili, w której dokończył: – Polubisz to uczucie, a potem przy odrobinie nieszczęścia kompletnie się w nim zakochasz. Bez reszty. Bez opamiętania. I właśnie wtedy, najdroższa Eleanor, już nigdy nie poczujesz nawet najdrobniejszego ukłucia tego, co nie pozwoliło ci ukraść jabłka. To będzie dzień, w którym przestaniesz być człowiekiem i staniesz się złodziejem.

Eleanor przełknęła z trudem, kiedy ciepła dłoń Vincenta ze śmiałością przesunęła się ku górze, w kierunku jej nagiej, drżącej skóry.

– Nie chcę się nim stać.

– Nikt nigdy nie chce być tym złym. To wyjątkowo niewdzięczna rola, ale bez względu na to, jak bardzo ludzie by nas nienawidzili, jesteśmy światu potrzebni. Bez nas nie byłoby tych, których tak bardzo kochają.

Vincent dotknął spojrzeniem jej skroni, potem policzków, linii szczęki, aż wreszcie zahaczył o wciąż lekko rozchylone usta i powrócił do jej oczu.

– Nie są niebieskie – stwierdził nagle.

– Co?

– Twoje oczy – wyjaśnił. – Wiedziałaś o tym, że w mroku wyglądają zupełnie inaczej? Przypominają... – Zawiesił głos. – Nie jestem pewien. Wciąż szukam odpowiedniego określenia. To doprawdy frustrujące.

Niekiedy słowa dotykają o wiele mocniej niż spojrzenie czy czyny. A te konkretne, na dodatek wypowiedziane ustami złodzieja, dotknęły Eleanor o wiele bardziej, niż śmiałyby to przyznać. Być może w tym szaleństwie, którym z powodzeniem mogłaby określić swoje obecne życie, powoli zaczynała tracić zmysły?

Zanim zdołała zdobyć się na reakcję, Vincent uniósł głowę. Na widok czegoś, co ujrzał tuż za dziewczyną, jego oczy niepokojąco błysnęły.

– A oto i jest... – Odsunął się, aby spojrzeć na nią z góry. – Twoja niespodzianka.

Eleanor zerknęła dyskretnie przez ramię w stronę oddalonego o kilkanaście kroków baru. Nawet pomimo maski zdobiącej twarz siedzącego przy kontuarze mężczyzny udało jej się go rozpoznać.

Istnieli bowiem ludzie, których poznałaby nawet z zamkniętymi oczami, zaledwie czując narastający w niej przez ich obecność niepokój.

Johnny Milton natomiast z pewnością jej nie widział. Była przecież tylko jednym z bezimiennych upiórów w czerni.

Na ułamek sekundy przed tym, jak obok ucha Eleanor rozległ się szept, jej policzek omiółt łagodny oddech Vincenta.

– Potraktuj to jako prezent – oznajmił, sprawiając, że zwróciła ku niemu twarz.

– Prezent? – powtórzyła. Dopiero w następnej chwili pojęła, co miał na myśli. – Mam... – Pokręciła głową. – Nie mogę go okraść.

– Czy ten człowiek kiedykolwiek okazał ci tyle litości, ile w tym momencie pragniesz mu ofiarować?

Na dźwięk tych słów Eleanor znów spojrzała na Johnny'ego Milтона. Przypomniała sobie historię o brzydkim kaczątku. Przypomniała sobie to, jak się wówczas poczuła. Odpowiedź była oczywista.

Wzięła w płuca drżący oddech, nie pozwalając, by łzy zgromadziły się w jej oczach. Poprzysięgła sobie, że już nigdy nie zapłacze przez nikogo, kto nosił nazwisko Milton.

– Decyzja należy tylko do ciebie, Eleanor. Możemy wyjść, jeśli tego właśnie chcesz. Albo...

– Co mam zrobić? – wtrąciła.

Vincent uśmiechnął się, po czym wyciągnął ku niej dłoń. Eleanor chwyciła jego rękę bez wahania i pozwoliła mu się poprowadzić. Zeszli z parkietu i znaleźli się w opustoszałym, ciemnym i zimnym korytarzu. Właśnie tam w ręce dziewczyny trafiła fiolka z przezroczystym płynem.

– Dolej to do jego whisky – polecił. – Od momentu, w którym to wypije, będziesz miała nieco ponad dwie minuty, żeby zabrać go do miejsca, gdzie będziecie sami. Przy odrobinie szczęścia zaproponuje ci, byście udali się do jednego z pokoi na górze.

– To... nie robi mu krzywdy, prawda? – zapytała.

– Jesteśmy złodziejami, Eleanor. Nie mordercami.

Choć nie była to odpowiedź na zadane pytanie, tych kilka słów musiało w zupełności wystarczyć.

– Co jeżeli mnie rozpozna?

– To raczej mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę, że od początku wieczoru wlał w siebie zapewne połowę butelki whisky.

Dziewczyna głęboko odetchnęła i ponad ramieniem złodzieja jeszcze raz spojrzała na Johnny'ego Milтона. Delikatnie pochylony nad w połowie pustą szklanką, wpatrywał się w zawartość naczynia nieodgadnionym wzrokiem.

Eleanor wsunęła fiolkę w rękaw sukienki, gotowa zrobić to, co wydawało się tak nieprawdopodobnie kuszące, choć nie było słuszne ani w żaden sposób moralne.

Zdołała postawić zaledwie marny krok, nim ciepła dłoń złodzieja zacisnęła się na jej nadgarstku. Znów uczynił to samo, co kilka chwil wcześniej na parkiecie – przyciągnął Eleanor ku sobie w sposób łagodny i stanowczy zarazem. Następnie przycisnął jej drobne ciało do zimnej ściany, wrywając z gardła dziewczyny pełne zaskoczenia zduszone westchnienie.

– Co... – Zamilkła, gdy poczuła na skórze dotyk jego chciwych dłoni.

Poderwała podbródek i w okalającym ich mroku odnalazła jego oczy, gdy subtelnym ruchem podciągnął materiał jej sukienki. W tamtej chwili mocniej niż kiedykolwiek wcześniej utwierdziła się w tym, co wcześniej wydawało się tak niewyraźne – oszałała. Bo jak inaczej mogłaby wyjaśnić otepiałe, nienasycone ciepło, które pod wpływem jego dotyku i bliskości się w niej narodziło?

Zadrżała, kiedy przesunął opuszkami palców po zewnętrznej i wewnętrznej stronie jej prawego uda. Chryste, wiedziała, że on to poczuł, ponieważ odwzajemnił jej spojrzenie. Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że kąciki jego ust zadrżały, jakby cholernie mocno pragnął się uśmiechnąć.

– Kłamałeś – wyznała nagle. – Tańczysz o wiele lepiej niż ja.

– Będziesz musiała do tego przywyknąć.

– Do tego, że jesteś kłamcą? – zapytała.

– Do tego, że jestem w stanie posunąć się do kłamstwa, by zedrzeć z ciebie nieco nieśmiałości, która, choć momentami bywa urzekająca, potwornie do ciebie nie pasuje. Nie dzisiaj, Eleanor. Już nie.

Palce Vincenta zamarły, a jej skórę musnęło coś nieprzyjemnie zimnego i gładkiego. Kiedy spojrzała w dół, zauważyła srebrne ostrze o rękojeści z czarnej skóry. Złodziej przymocował je do jej uda dwoma paskami, więc było niemal niewidoczne pod sukienką.

– To na wszelki wypadek – oznajmił, przyciągając jej uwagę. – Gdyby coś poszło nie tak.

– Gdyby coś poszło nie tak? – powtórzyła.

– Chyba nie myślałaś, że puszcze cię samą w ręce pijanego mężczyzny, na dodatek bez żadnego zabezpieczenia? – Uniósł brew. – Nie zgub go. – Odsunął się, po raz ostatni zerkając na ostrze. – I pamiętaj, że masz tylko dwie minuty.

– Tak, wiem.

Eleanor poprawiła materiał sukienki, jednak gdy już miała wyjść z korytarza, złodziej ponownie ją zatrzymał:

– Eleanor.

– Tak? – Popatrzyła na niego przez ramię.

– Bądź ostrożna.

Na jej twarzy zagościł lekki uśmiech.

– Uważaj, bo jeszcze pomyślę, że się martwisz.

– Istnieje wiele paskudnych i niegodziwych rzeczy, jakie można mi zarzucić, ale troska jest ostatnią z nich – odparł, sprawiając, że uśmiech dziewczyny stał się odrobinę szerszy.

Kiedy wróciła do głównej sali, Johnny Milton wciąż siedział przy barze. Tylko nieznacznie oderwał wzrok od szklanki, gdy Eleanor zajęła miejsce nieopodal niego i rzuciła w kierunku barmana:

– Raz wódka z colą.

– I jedną whisky z lodem – wtrącił. – Na mój koszt.

Eleanor poczuła ukłucie strachu. Kiedy powoli odwróciła wzrok i napotkała spojrzenie Johnny'ego Milтона, odkryła, że jej nie rozpoznał. Obdarzył ją paskudnym i obrzydliwym uśmiechem, a ona – choć bardzo nie chciała tego zrobić – zdecydowała się odwzajemnić ten gest.

– Nie potrzebuję sponsora – stwierdziła, pilnując, by jej głos nie zadrżał.

– Wyglądasz na kobietę, która doskonale radzi sobie bez mężczyzny – przyznał nieco bełkotliwie, odbierając od barmana dwie szklanki. Następnie przysunął się ku Eleanor i wręczył jej jedną z nich. – Jestem po prostu dżentelmenem, skarbie, i chcę postawić drinka pięknej kobiecie.

*Boże, on naprawdę nie ma pojęcia, kim jestem, pomyślała.*

Kolejny uśmiech kosztował ją wiele wysiłku. Sięgnęła po wódkę z colą i wzniosła toast, podobnie jak Milton. Unosząc szklankę do ust, czuła na sobie palący wzrok mężczyzny. Przyglądał jej się uważnie, ale bez podejrzliwości czy próby doszukania się w niej kogoś więcej niż nieznajoma skrywająca twarz za maską.

Czy rzeczywiście był aż tak pijany, że jej nie poznał, czy może *The Black Room* i panująca tu atmosfera czyniły ludzi kimś innym, niż byli w rzeczywistości?

Eleanor nie była pewna, ale sama nie czuła się do końca sobą, co w tym momencie bardzo jej odpowiadało. Odrobina alkoholu pozwoliła jej się rozluźnić, więc gdy Johnny po chwili odrobinę się pochylał, zmniejszając dzielącą ich odległość do tego stopnia, że dziewczyna poczuła duszący zapach whisky i woń cygara, udało jej się nie wzdygnać.

– Jesteś tutaj sama? – zapytał.

Wzruszyła niedbale ramionami, wiodąc opuszką palca po krawędzi szklanki.

– Jak widać.

– Taka piękna kobieta bez towarzystwa? – Udał zdziwionego.

– Jestem tutaj, żeby jakies znaleźć – odparła zaczepnie i po raz pierwszy odważyła się dłużej spojrzeć mu w oczy.

Johnny Milton był odpychający w każdym znaczeniu tego słowa. Nie chodziło tylko o przykrości, jakich Eleanor doświadczyła z jego strony. Niektórzy ludzie byli po prostu tak bardzo zepsuci i przesiąknięci złem, że nawet wypowiedane przez nich słowa zdawały się plugawe, obrzydliwe i niesmaczne. Zupełnie jakby w ich żyłach nie płynęła już nawet ani jedna kropla dobra.

– Więc chyba jesteśmy tu z tego samego powodu – wyznał.

– Doprawdy?

– Mhm... – wymruczał, jeszcze bardziej się ku niej pochylając.

Eleanor wykorzystała ten moment, przytrzymując jego wzrok i pozwalając, aby na jej twarz wpłynął leniwy uśmiech. W tym samym czasie dyskretnie przesunęła dłoń nad szklankę z whisky i wlała do niej zawartość fiolki, którą następnie wsunęła z powrotem w rękaw sukienki.

Milton zerknął na wargi dziewczyny, oblizując przy tym własne usta.

– Zdejmij maskę, skarbie – polecił.

– Nie tutaj. – Pokręciła lekko głową.

– Mam pokój – zdradził. – Bylibyśmy tam – zawiesił na moment głos i spojrzał jej prosto w oczy – zupełnie sami.

*Niczego więcej mi nie potrzeba*, pomyślała.

– W takim razie nie traćmy czasu.

Mężczyzna wstał, po czym wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki banknot i położył go na barze. Następnie chwycił szklankę z whisky i opróżnił ją do dna.

*Dwie minuty.*

Eleanor niechętnie przyjęła dłoń, którą jej zaoferował.

*Minuta i trzydzieści sekund*, pomyślała, kiedy dotarli do windy.

*Minuta*, zdała sobie sprawę, gdy winda zawiozła ich na trzecie piętro.

Wyłożony szarą wykładziną korytarz ciągnął się bez końca w obie strony. Zawieszane na suficie podłużne lampy trzeszczały i złowrogo migotały. Ten dziwaczny wystrój przypominał klatkę z niskobudżetowego horroru.

– Kurwa – wybełkotał pod nosem Milton, usiłując odnaleźć kartę do drzwi opatrzonych numerem siedemnaście.

*Czterdzieści pięć sekund*, pomyślała Eleanor, kiedy weszli do środka.

Pokój był skromny. Oprócz łóżka, dwóch stolików i ogromnych okien, częściowo zasłoniętych przez czerwone zasłony, trudno było czegokolwiek się tu doszukać.

– Więc... Czy teraz zechcesz pokazać mi swoją śliczną buźkę i powiedzieć, jak ci na imię, skarbie?

– zapytał, szarpnięciem zdejmując czarny krawat. Postawił przy tym chwiejny krok w tył. Nie miał już na sobie maski.

*Trzydzieści sekund.*

Eleanor uniosła dłonie i sięgnęła do satynowej wstążeczki, dzięki której maska trzymała się na jej twarzy.

Johnny nie odrywał od niej wzroku, śliniąc się niczym głodny pies, gdy powoli ku niemu ruszyła. Odgłos jej szpilek odbił się od ścian niewielkiego pomieszczenia.

*Dwadzieścia sekund.*

Zdjęła maskę, odsłaniając twarz.

*Dziesięć sekund.*

Uśmiech spłynął z ust mężczyzny. Gwałtownie postawił krok w tył i wylądował na łóżku, które głośno skrzypnęło pod ciężarem jego przysadzistego ciała. Chciał zerwać się na równe nogi, ale nie był w stanie. Już nie. Jego czas właśnie minął.

– Co, do kurwy?! – sapnął.

Strużka potu spłynęła mu po czole. Oddychał spazmatycznie, szeroko otwartymi oczami patrząc, jak Eleanor idzie ku niemu z uśmiechem godnym kogoś, przed kim należało drzeć ze strachu.

– Chyba nie muszę ci mówić, jak brzmi moje imię, prawda? – zapytała, pochylając się i omiatając wzrokiem jego twarz. – Wiem, że doskonale je pamiętasz. I obiecuję, że przez bardzo długi czas nie zdołasz go zapomnieć. – Sięgnęła do wewnętrznej kieszeni marynarki mężczyzny.

– Ty mała... – urwał, niezdolny zapanować nad ustami ani nad tym, co się z nich wydobywało. Znów sapnął, widocznie walcząc z sennością.

Eleanor odnalazła w jego portfelu tysiąc dolarów. Zwinęła banknoty, po czym wsunęła je w biustonosz, a potem spojrzała w oczy Milтона, nie czując odrobiny skruchy czy współczucia.

Po raz pierwszy to on znalazł się w pozycji, w której ona tkwiła przez tak wiele lat. Był bezbronny, bezradny i słaby. Był tylko brzydkim, małym, żalonym kaczątkiem.

Drgnęła, gdy drzwi za jej plecami cicho się otworzyły, niemniej na widok Vincenta odetchnęła z ulgą.

– Wystraszyłeś mnie.

– Znalazłaś walizkę? – zapytał.

– Co?

– Walizka, Eleanor. Poszukaj jej.

Zerknęła na Milтона. Ten jednak przegrał już walkę z sennością i odpłynął.

– Mamy mało czasu – przypomniał Vincent.

El potrzęsnęła głową i zrobiła to, co nakazał złodziej – zaczęła rozglądać się za walizką, o której mówił. Znalazła ją dopiero po chwili, wepchniętą między okno a zasłonę. Wewnątrz odkryła związane gumkami pliki banknotów. Na oko czterdzieści lub pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– O cholera... – wyrwało się jej.

Vincent zamknął walizkę i polecił:

– Załóż maskę.

Gdy Eleanor zakryła twarz czarną satyną, bez słowa chwycił jej rękę i pociągnął ją w stronę drzwi. Nie dał dziewczynie szansy obejrzeć się za siebie i po raz ostatni spojrzeć na Johny'ego Milтона.

Pokonali korytarz, minęli windę i znaleźli się na zewnątrz. Dzięki metalowym schodom udało im się niemal niezauważenie wydostać z *The Black Room*. Zwolnili dopiero w wąskiej uliczce.

Eleanor głęboko odetchnęła, czując, jak płuca paliły ją ogniem. Wciąż nie puszczać dłoni Vincenta, oparła plecy o zimną ścianę budynku, zamknęła oczy i wciągnęła przez nos nocne powietrze.

Gdzieś w oddali można było usłyszeć odgłosy karetki, klaksony samochodów i ściszone dźwięki muzyki.

Kiedy dziewczyna rozchyliła powieki i zorientowała się, że ich dłonie wciąż były złączone, wyswobodziła rękę z uścisku Vincenta, wyprostowała się, po czym znów głęboko odetchnęła.

– Dlaczego mi się przyglądasz? – zapytała, czując na sobie jego spojrzenie.

Vincent bez słowa pokonał dzielącą ich odległość, zamknął Eleanor w potrzasku swojej bliskości, a następnie wolną dłonią rozwiązał satynową wstążkę. Maskę zsunęła się z twarzy dziewczyny.

– Pozwól mi to zobaczyć – szepnął.

– Co?

– Zwycięstwo – wyjaśnił. – Cholernie ci z nim do twarzy.

Sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że kącki jej ust zdrząły w mimowolnym uśmiechu.

– Powiedz mi... jakie to uczucie? Dać ludziom dokładnie to, co oni ofiarowali tobie? – zapytał. – Jak ono smakuje?

Eleanor pochwyciła jego wzrok i bez zwłoki odpowiedziała:

– Obawiam się, że nigdy nie czułam czegoś równie – zawahała się, kiedy złodziej przybliżył się o kolejny krok – uzależniającego.

Vincent uśmiechnął się, a Eleanor mimowolnie pomyślała o tym, jak bardzo ten uśmiech różnił się od uśmiechu Johnny'ego Milтона, choć należał do złodzieja. Było w nim coś ciepłego i boleśnie szczerego. Coś, co sprawiło, że i ona zapragnęła się uśmiechnąć. I zrobiła to, pierwszy raz od wielu dni czując ciepło radości w sercu.

– Kiedy powiedziałaś, że nie jestem w stanie ci pomóc... – nawiązał do jednej z rozmów, podczas których Eleanor odrzuciła jego propozycję. – Nie masz pojęcia, jak bardzo się wówczas myliłaś. –

Omiótł wzrokiem jej twarz. – Mógłbym uleczyć twoje biedne serce, najdroższa Eleanor. Poskładać je z tych drobnych kawałków, w które się rozsypało. Potem uczyniłbym je tak twardym, że nie znalazłby się na tym świecie nikt zdolny do tego, by znów je złamać.

Uśmiech, który tak nagle i niekontrolowanie wypłynął na jej twarz, gwałtownie przygasł, pozostawiając po sobie tylko marny cień.

– I zrobię to – dodał.

– To obietnica, Vincencie?

– Tak – zapewnił, a ona z dziwaczną łatwością uwierzyła w to słowo, nawet jeżeli zostało wypowiedziane ustami kłamcy.

Niekiedy nie istnieje bowiem nic bardziej ludzkiego niż wiara w to, co wydaje nam się najbardziej niedorzeczne. Jak łatwo byłoby oszaleć w tym pełnym szaleńców świecie, gdybyśmy uporczywie trzymali się tylko tego, co realne.

Eleanor drgnęła, gdy złodziej znów chwycił jej dłoń.

– Czas na nas.

I odeszli, jak przystało na złoczyńców, ani razu nie oglądając się za siebie.

\*\*\*

Noc zdawała się sprzyjać złym uczynom – księżyc w pełni wisił wysoko na ciemnym niebie, złowrogo przepędzając mrok i rzucając na opustoszałe ulice Nowego Orleanu bladą poświatę, w której dwa czarne cienie sunęły po chodniku.

Vincent odprowadził Eleanor bezpiecznie przed same drzwi jej mieszkania i kiedy nadszedł czas pożegnania, wręczył jej walizkę z pieniędzmi.

– Są twoje – oznajmił, widząc malujące się na twarzy dziewczyny zaskoczenie. – Zapłać nimi za sukienkę.

El poderwała głowę.

– Skąd...

– Nie istnieje zbyt wiele rzeczy, które zdołasz przede mną ukryć – wtrącił. – Do tego też będziesz musiała przywyknąć.

Eleanor spojrzała na walizkę i ostrożnie ją chwyciła.

– Skąd wiedziałeś, że będzie miał przy sobie pieniądze? – zaciekała się.

– W miejscach takich jak *The Black Room* ludzie pokroju Milтона zjawiają się tylko w jednym celu: by dobić targu.

– Więc to brudne pieniądze – stwierdziła, unosząc wzrok.

– Zapewniam cię, że nie znajdziesz na tym świecie ani jednego centa, który nie byłby świadkiem jakiejś tragedii. Nie istnieje nic brudniejszego niż pieniądze. Można za nie kupić wszystko. – Zerknął na walizkę. – I wszystko dla nich zaprzepaścić. – Odetchnął głęboko. – Odpocznij, Eleanor. To była długa noc.

Patrzyła na niego, gdy odwrócił się i ruszył w dół kamiennymi schodami. Kiedy dotarł do ich połowy, o czymś sobie przypomniała.

– Poczekaj! – zawołała, a następnie pokonała kilka schodków i się z nim zrównała.

Podciągnęła czarną sukienkę, po czym sięgnęła po srebrny nożyk. Po chwili oddała go złodziejowi.

– Pilnowałam go jak oka w głowie, choć na szczęście nie okazał się potrzebny.

Vincent niemal z czułością przesunął spojrzeniem po ostrzu.

– Jest dla ciebie cenny, prawda? – zapytała, sprawiając, że przeniósł na nią uwagę.

– Nie zwykłem przywiązywać się do ludzi ani tym bardziej do rzeczy – odparł. – To zupełnie tak, jakby dobrowolnie przywiązać do swojej nogi ciężką kulę. Tylko głupcy pozwalają sobie na coś podobnego.

Eleanor odniosła wrażenie, że w tych słowach kryło się o wiele więcej kłamstwa niż rzeczywistej prawdy. A może po prostu nie chciała mu wierzyć?

Vincent wsunął sztylet do wewnętrznej kieszeni czarnej marynarki, wcześniej opuszkami palców muskając błyszczące ostrze.

– Vincencie?

– Tak?

– Gdy następnym razem zapragniesz do mnie wpaść, po prostu zapukaj, okej? – Objęła walizkę ramionami.

– To nie w moim stylu – przyznał.

– Kto wie, może ty nauczysz mnie, jak kraść, a ja nauczę cię odrobiny manier? – zaproponowała.

– Chcesz uczynić ze złodzieja dżentelmena? – Uniósł brew.

Eleanor wzruszyła ramionami.

– Chcę spróbować.

– Obawiam się, że nie czeka cię nic prócz bolesnego rozczarowania.

– Brzmi jak wyzwanie.

Vincent obdarzył ją lekkim uśmiechem, na który odpowiedziała podobnym gestem.

– Dobranoc, Vincencie.

– Słodkich koszmarów, najdroższa Eleanor.

Eleanor patrzyła, jak białowłosy złodziej pokonuje ostatnie stopnie schodów, a potem odchodzi, znikając w blasku księżycy i w mroku, który tej nocy spowijał ulicę. Uśmiech nie zniknął z jej twarzy, nawet gdy weszła już do mieszkania, trzymając w rękach walizkę pełną pieniędzy. Położyła ją na stoliku w korytarzu i wbrew temu, czego tak się obawiała, nie czuła wyrzutów sumienia ani tego nieprzyjemnego ucisku w żołądku, który dręczył ją po tym, jak wyciągnęła kilka dolarów z kasy na stacji benzynowej.

Wiedziała, że Johnny Milton na to zasłużył. Na to i na rzeczy o wiele gorsze.

Z ulgą pozbyła się wysokich szpilek, związała włosy w wysoki, niedbały kok, a następnie ruszyła w kierunku kuchni. Zdołała postawić zaledwie kilka kroków, gdy w jej mieszkaniu rozległo się pukanie



do drzwi.

Na ten dźwięk cicho się zaśmiała.

Czy Vincent naprawdę wziął sobie do serca jej prośbę?

Kiedy otworzyła drzwi, z rozczarowaniem odkryła, jak bardzo się pomyliła. Bo to nie złodziej stał przed jej mieszkaniem.

Tej nocy nawiedził ją ktoś znacznie gorszy.



## Rozdział 15

Kiedy tamtej nieprzyjemnie zimnej nocy Carla Tanner stanęła przed drzwiami jej mieszkania, Eleanor pomyślała o tym, że nawet w najpiękniejszych chwilach życie i tak miało w sobie coś paskudnego. Jakiś gorzkawy, niemożliwy do pozbycia się posmak dawnych porażek, wracający w najmniej odpowiednich momentach.

– Mogę wejść? – zapytała z nienaturalną wręcz pokorą.

Eleanor w przypiływie nagłej złości odrobinę mocniej zacisnęła dłoń na klamce. Wiedziała, że powinna zatrzaskać drzwi tuż przed idealnym nosem Carli, nie poświęcając jej już choćby sekundy ze swojego życia, ale nie była w stanie tego zrobić. Być może przez zwykłą ciekawość, a może jakaś jej część chciała usłyszeć to cholernie żałosne i nic nieznaczące: „Przepraszam”. Bez słowa wpuściła Carlę do środka i zaprowadziła ją do salonu, gdzie po raz pierwszy zdecydowała się przerwać ciszę:

– Nie licz, że zaproponuję ci coś do picia. – Przystanęła w progu i skrzyżowała ramiona na piersi.

Carla odwróciła się ku niej z niepewnym uśmiechem na pięknej twarzy. Była ubrana tak jak zwykle – w ciemne spodnie, skórzane botki i jasny elegancki płaszcz. W dłoniach trzymała małą torebkę z logiem światowej sławy projektanta. Nie pasowała do małego, zagraconego salonu, w którym właśnie stała. Z zatrzważającą pewnością zdawała się jednak pasować do rodziny Miltonów. Eleanor nie miała pojęcia, dlaczego nigdy wcześniej nie przyszło jej to do głowy.

Jak wiele istniało jeszcze rzeczy, które – choć wydawały się tak boleśnie oczywiste – były przez nią tak długo i sumiennie ignorowane, tylko po to, by poczuła się lepiej?

– Jestem zaskoczona, że w ogóle otworzyłeś mi drzwi – wyznała Carla.

*Tak, ja też,* pomyślała Eleanor.

Carla głęboko odetchnęła. Wyglądała na zdenerwowaną. Cholera, powinna taka być, stojąc przed kimś, komu nie tak dawno wbiła nóż w plecy.

– Przyszłam tutaj, żeby...

– Przeprosić? – wtrąciła El.

Ich spojrzenia się spotkały. Po raz pierwszy tej nocy i także po raz pierwszy od wieczoru, kiedy życie Eleanor Cullen legło w gruzach.

– Ja... – Carla zamilkła. – El, posłuchaj, ja...

– Od jak dawna? – Nie pozwoliła jej dokończyć. – Od jak dawna to trwało?

Była to jedna z kwestii, które nie chciały dać jej spokoju. Nieustannie tliła się gdzieś między jej myślami, co jakiś czas wracając, by o sobie przypomnieć.

Eleanor chciała po prostu wiedzieć, nawet jeżeli ta wiedza i tak nie miała niczego zmienić.

Dziedziczka rodu Tannerów zawahała się przez moment, zanim w końcu cicho odpowiedziała:

– Od pięciu miesięcy.

Eleanor zacisnęła powieki.

– Przyszłam do waszego mieszkania, żeby pożyczyć od ciebie czerwoną sukienkę z odsłoniętymi ramionami. No wiesz, tę, na której kupno tak długo cię namawiałam. Ale zastałam tylko Lucasa. Od razu zobaczyłam, że był pijany. Nie mogłam zostawić go samego w takim stanie, więc pomogłam mu dojść do łóżka...

– I postanowiłeś zostać tam razem z nim? – Eleanor nie potrafiła zapanować nad prześmiewczym tonem głosu.

– To nic nie znaczyło – zapewniła.

– Pięć miesięcy nic nie znaczyło? Byłaś moją najlepszą przyjaciółką...

– Wiem, El...

– Wiesz? – Głos jej zadrżał. – I wiedziałaś o tym też wtedy, kiedy pieprzyłaś się z Lucasem za moimi plecami? Gdzie wtedy, do cholery, była nasza przyjaźń?

Carla odwróciła wzrok. Z bólem wymalowanym na nieskazitelnej twarzy wyglądała żałośnie. Eleanor nie była w stanie dłużej na nią patrzeć. Na jej widok czuła tak druzgocące obrzydzenie, że z trudem potrafiła ustać w miejscu. Resztkami sił trzymała strzępki emocji na wodzy.

– Czy choć przez moment któreś z was pomyślało o tym, jak wiele musiałam poświęcić dla tej miłości? Jak wiele musiałam znieść upokorzenia, jak wiele łez wylałam, godząc się na to, jak mnie traktowali, bo kochałam Lucasa bardziej niż cokolwiek innego? Wiedziałaś o tym. Wiedziałaś o wszystkim.

Carla pokręciła głową.

– Nie chciałam...

– Skończ pieprzyć – przerwała jej twardo.

– To był błąd, El. Chciałam go naprawić.

– Zdrada nie jest błędem. Jest wyborem. – Poczowała suchość w gardle, musiała więc na moment zawiesić głos, by wziąć w płuca drżący wdech. – I ty, i Lucas świadomie go podjęliście.

Po śniadym policzku Carli spłynęła pierwsza łza. Jej wargi zadrżały, gdy szepnęła:

– Zamierzaliśmy przestać. Wtedy, na przyjęciu, to miał być ostatni raz.

– Masz pojęcie, jak żałośnie to brzmi? – zapytała. – Jeśli przyszłaś tutaj, żeby mnie przeprosić, lepiej będzie, jeżeli już pójdziesz.

Eleanor się odwróciła, lecz zanim zdołała postawić krok, zatrzymało ją kilka boleśnie rzeczywistych słów:

– Muszę za niego wyjść, Eleanor.

Dziewczyna przystanęła.

– Za trzy tygodnie.

Każdy nerw w ciele El zadrżał, a mięśnie spięły się tak mocno, że minęła dłuższa chwila, zanim udało jej się w końcu nabrać głębiej powietrza. Właśnie wtedy poczuła ból, jakiego jeszcze nigdy nie dane było jej doświadczyć. Przeszył ją na wskroś, przemknął przez żyły, dotknął każdej komórki, aż wreszcie uderzył w serce, pozostawione samotnie na pastwę jego niszczycielskiej siły.

– Nasi ojcowie uznali, że tak będzie najrozsądniej. Nie dali nam wyboru...

– I oczekujesz, że będę ci współczuła? – zapytała, zerkając na nią przez ramię.

Carla pokręciła powoli głową.

– Nie. Chciałam tylko, żebyś dowiedziała się tego ode mnie, a nie z gazet.

*Cóż za wspaniałomyślność*, zadrwiła.

– Wyjdź z mojego domu – nakazała.

– El, daj mi...

– Wyjdź i nigdy więcej nie pokazuj mi się na oczy – wtrąciła.

Po policzku Carli spłynęła kolejna łza. Nawet jeżeli pragnęła coś powiedzieć, ostatecznie skinęła tylko w milczeniu głową i ze spuszczonego wzrokiem wyszła z salonu.

Eleanor zamknęła oczy, w ciszy słuchając dźwięku kroków byłej przyjaciółki, a potem trzasku drzwi. Kiedy została sama, odważyła się po raz pierwszy pozwolić, aby ból odznaczył się na jej twarzy, zdobiąc ją słabym grymasem.

*Tak, życie zdecydowanie miało w sobie coś paskudnego.*

\*\*\*

Zegarek nad starym telewizorem wskazywał drugą w nocy, kiedy butelka czerwonego wina była już niemal w połowie pusta. Z każdym kolejnym łykiem to nużące zmęczenie wzbierało jednak na sile, coraz bardziej dręcząc Eleanor.

Dziewczyna siedziała w starym fotelu, w mroku salonu i z kieliszkiem w dłoni pustym wzrokiem patrzyła w okno. Wciąż była ubrana w sukienkę. Nie miała siły jej z siebie ściągnąć.

Nawet nie drgnęła, kiedy z korytarza dobiegł odgłos kroków. Wiedziała, do kogo należały. Istniała bowiem tylko jedna osoba, która nawiedzała ją każdej nocy.

Zamiast unieść wzrok, dziewczyna w milczeniu przybliżyła szkło do ust i upiła spory łyk. Słodki smak wina zmieszał się z gorzkim smakiem rzeczywistości, tworząc dziwną mieszankę.

Złodziej przystanął przy stoliku, objął smukłymi palcami szyjkę butelki i rzucił okiem na okalającą ją etykietę.

– Rocznik sześćdziesiąty siódmy.

– Podobno smakuje wybornie ze smutkiem i rozpaczą – mruknęła leniwie.

Vincent obdarzył Eleanor badawczym spojrzeniem. Postanowił zatrzymać dla siebie myśl, która zakiełkowała w jego złodziejskim umyśle. Podszedł do barku i wyjął z niego kieliszek, zachowując się tak swobodnie, jakby przebywał we własnym domu. Następnie napełnił szkło winem i zajął miejsce na drugim fotelu.

Przez chwilę siedzieli w towarzystwie słodkiego wina i odrobiny smutku, w ciemności oraz ciszy.

Eleanor zdecydowała się ją przerwać:

– Biorą ślub – szepnęła, jakby bała się wypowiedzieć te słowa na głos. Jakby były zakazane. – Tego samego dnia, w którym ja miałam go poślubić. Zabrała mi nawet to.

– W takim razie my także powinnyśmy jej coś odebrać – stwierdził, przyciągając uwagę dziewczyny.

Spojrzała na niego i pomyślała o tym, że ten człowiek był zarazem jej największym nieszczęściem i najlepszym, co mogło jej się przytrafić.

– Tak – zgodziła się.

Vincent wzniosł toast.

– Za wrogów. Oby karma okazała się względem nich litościwa, bo my nie będziemy.

Lewy kącik ust El delikatnie zadrżał pod wpływem uśmiechu lub grymasu. Sama nie była pewna.

– Vincencie? – szepnęła.

Kiedy przeniósł na nią ciemne, bystre oczy, Eleanor po raz pierwszy poczuła wdzięczność za to, że tu był. Nawet jeśli to, co ich łączyło, było tylko kilkoma obietnicami i nikczemnym planem.

– Tak?

– Zamierzam zrobić coś złego – wyznała szczerze. – I chyba przydałoby mi się towarzystwo.

Na bladej twarzy złodzieja odznaczył się uśmiech. W tym z pozoru normalnym geście odnaleźć można było odrobinę szaleństwa, która, ku zaskoczeniu Eleanor, nie przerażała jej już aż tak bardzo.

– To najbardziej kusząca propozycja, jaką mogłaś mi złożyć – przyznał, odstawiając kieliszek na stolik. Następnie wstał i wyciągnął ku dziewczynie dłoń o smukłych palcach.

– Na jaki szalony plan wpadłaś, najdroższa Eleanor? – zapytał zachęcająco.

Chwytnąjąc jego rękę, odpowiedziała:

– Nadszedł czas, bym raz na zawsze pogrzebała resztki mojego dawnego życia.



## Rozdział 16

Eleanor nie zapytała, skąd Vincent miał samochód. W tamtej chwili nie obchodziło jej, czy auto zostało skradzione, choć z pewnością tak właśnie było.

Gdy dojechali na miejsce, księżyc wciąż wisiał wysoko na czarnym niebie. Rzucił na leśny parking poświatę, która nieśmiało przepędzała ciemność i umożliwiała na tyle swobodne poruszanie się pomiędzy drzewami, że Eleanor udało się odnaleźć miejsce, o jakim pomyślała, kiedy do jej głowy wpadł ten pomysł.

Jak wszystkie dzieciaki z okolicznych szkół, także i ona spędzała tu każdy początek i koniec wakacji między kolejnymi klasami liceum. W tej części Nowego Orleanu była to pewnego rodzaju tradycja, a o urządzanych w lesie ogniskach krążyły legendy, zazwyczaj zawierające w sobie o wiele więcej niedorzecznych wymysłów niż prawdy.

Teraz, w środku jesieni, to miejsce przypominało martwe, porzucone pustkowie – kilka starych, drewnianych ławek i niewielki wyłożony kamieniami dół, idealny do rozpalenia ognia.

Eleanor nie podejrzewała, że kiedykolwiek tu powróci. Nie w takich okolicznościach i nie z takiego powodu.

Przystanęła między ławkami, a następnie spojrzała na białe pudło, które przez całą drogę trzymała w rękach. Zdjęła jego górną część, po raz ostatni dotknęła białego materiału, po czym położyła karton na przysypanej liśćmi ziemi.

Kiedy się wyprostowała, poczuła, że Vincent stanął tuż obok niej. Z kieszeni czarnego płaszcza wyjął paczkę zapalek i wręczył ją Eleanor.

– Czyń honory – zachęcił.

Odebrała od niego zapaliki, po czym wyjęła jedną z nich z opakowania i... znów to poczuła. Tę obezwładniającą, oplatającą serce nostalgię. Tym razem zdawała się jednak tak silna, że dłoń dziewczyny zadrżała.

Vincent, widząc to, zapytał:

– Chcesz, żebym ja to zrobił?

Eleanor pokręciła głową.

– Nie, chcę tylko... – Urwała i głęboko odetchnęła. – Gdyby miesiąc temu ktoś powiedział mi, że za trzydzieści dni znajdę się w środku lasu, chcąc spalić moją wymarzoną suknię ślubną, i na dodatek będzie mi w tym towarzyszył złodziej, zapewne nazwałabym go głupcem.

Jej szczupłe ramiona zadrżały, przygniecione ciężarem tych myśli, a na twarzy odznaczył się słaby grymas, który był zaledwie marnym załączkiem tłących się w niej uczuć.

Kiedy po raz drugi postanowiła się odezwać, jej głos przypominał zduszony szept:

– To po prostu dziwne, jak krótki termin ważności ma to, co wydawało nam się wieczne. Dziwne i cholernie smutne.

– Pewna starsza kobieta kiedyś powiedziała mi, że przynajmniej raz w życiu trzeba się zakochać. W innym wypadku człowiek będzie tkwił w zgubnym przekonaniu, że miłość jest piękna. Chwilę później ukradłem jej złoty naszyjnik, ale chyba miała rację.

Eleanor spojrzała na Vincenta z boku, nie potrafiąc zapanować nad uśmiechem, który wepchnął się na jej oblicze. Nagle zapragnęła się roześmiać. Tak po prostu, jakby była to najbardziej

odpowiednia reakcja. Zamiast tego zapaliła jednak zapałkę, przeniosła wzrok na sukienkę i pozwoliła, aby biały materiał zajął się ogniem.

Potem w milczeniu patrzyła, jak wszystko, czego pragnęła, pochłania ogień. Ostatnia pamiątka, jaka została jej po dawnym życiu, miała doczekać swojego końca właśnie tu, w sercu mrocznego lasu, z dala od świata, który jeszcze tak niedawno był światem Eleanor. Razem z suknią odeszło także wszystko inne – tęsknota, ból i miłość. Ta ostatnia szczególnie ciążyła dziewczynie przez ostatnie dni.

Jak proste byłoby życie, gdybyśmy z łatwością potrafili przestać kochać tych, którzy nas skrzywdzili? Jednak niekiedy nienawiść nie przychodzi nawet wtedy, gdy tak bardzo pragniemy ją poczuć.

Eleanor teraz z pewnością mogła powiedzieć, że nie istniało nic gorszego niż kochanie kogoś, kto na tę miłość nie zasługiwał. To było niczym więzienie, w które sami dobrowolnie się wpakowaliśmy.

Ogień powoli trawił biały materiał, zmieniając go w popiół, a ona, choć z jednej strony tak bardzo pragnęła odwrócić wzrok, nie potrafiła przestać na to patrzeć.

Minęła dłuższa chwila, zanim w końcu zdecydowała się przerwać ciszę:

– Właśnie spaliłam sukienkę wartą dwadzieścia tysięcy dolarów.

Chłodny powiew wiatru unióś strzępki spalonego materiału.

El odwróciła głowę i odkryła, że Vincent postanowił spojrzeć na nią w tym samym momencie, w którym ona zerknęła na niego.

– Czy to oznacza, że kompletnie oszalałam? – zapytała cicho, jakby nie była pewna, czy chciała usłyszeć odpowiedź.

Nie miała pojęcia, że złodziej tak naprawdę nawet na moment nie oderwał od niej wzroku. Patrzył, jak w milczeniu obserwowała spalający się tren. Blask ognia rzucał subtelną poświatę na jej twarz, podkreślając ledwie widoczne piegi na bladych policzkach.

Mężczyzna nie potrafił oderwać od niej wzroku. Podobnie jak ona chwilę wcześniej nie była w stanie przestać wpatrywać się w sukienkę. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, Eleanor Cullen wydawała mu się niemal nierzeczywiście piękna.

Czy istniało coś piękniejszego niż silna, niezależna kobieta, która właśnie pojęła, że nie potrzebowała żadnego mężczyzny, by mieć cały ten zepsuty świat u swych stóp?

– Tak – odpowiedział. – Obawiam się, że tak.

Usta Eleanor zdrząły w lekkim uśmiechu. W następnej chwili spojrzała na wiszący nad ich głowami księżyc i zaczerpnęła zimnego powietrza.

– Wracajmy – zaproponowała.

To była nieznośnie długa noc, a ona marzyła tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć się w ciepłym łóżku.

Kiedy ruszyli w drogę powrotną, panujące między nimi milczenie nie wydawało się niezręczne ani kłopotliwe. Było czymś naturalnym, jakby oboje uznali, że cisza miała być w tej chwili ich najwierniejszym kompanem.

Vincent szedł kilka kroków przed Eleanor, a w mroku jego wysoka sylwetka wydawała się niemal nieludzko chuda.

– Historia o starszej kobiecie była prawdziwa? – zapytała dziewczyna, nawet nie próbując walczyć z ciekawością. – Czy tylko starałeś się mnie pocieszyć?

Złodziej zerknął na nią przez ramię.

– Pocieszenie nie leży w mojej naturze.

– No tak – westchnęła. – Czasami zapominam, jak nieczułe masz serce.

Kącik ust Vincenta drgnął w mimowolnym uśmiechu.



– Miałem wtedy trzynaście lat – wyznał niespodziewanie, choć nie był przesadnym zwolennikiem zdradzania szczegółów ze swojego życia.

Okres, w którym był dzieckiem, nie był wart wspomnienia. Te czasy już dawno minęły. Tak dawno, że Vincent czasami miał wrażenie, jakby nigdy tak naprawdę się nie wydarzyły. Jakby były tylko filmem, którego fragmenty z biegiem czasu uciekły mu z pamięci.

– Trzynaście? – powtórzyła, nie kryjąc zaskoczenia. – Od jak dawna...

– Kradnę? – dokończył, przystając przy samochodzie.

– Tak.

– Odkąd pamiętam – wyznał szczerze.

– I nigdy... – Zamilkła, marszcząc brwi. – Nigdy nie zostałeś złapany?

– Nie, Eleanor.

– Jakim cudem... – urwała, gdy złodziej otworzył dla niej drzwi.

Nie chciał, by zapytała o coś więcej. Przeszłość nie była czymś, do czego lubił wracać. Kiedyś zostawił to wszystko za sobą, poprzysięgając sobie, że ani razu się nie odwróci, ani nie zerknie przez ramię. I chciał, aby tak pozostało.

– Już ci mówiłem. To nie cud. To sztuka.

\*\*\*

Tak samo jak kilka godzin wcześniej Vincent odprowadził Eleanor aż przed drzwi jej mieszkania. Nie bardzo wiedział, dlaczego czuł potrzebę, aby na własne oczy zobaczyć, jak bezpiecznie wchodzi do środka. Ale bynajmniej nie traktował tego poważnie. I nie zamierzał z tym walczyć.

Kiedy zatrzymali się przed drzwiami, przerwał ciszę:

– Cóż, muszę przyznać, że...

Nagle wydarzyło się coś, czego nawet on nie był w stanie przewidzieć, choć nie miał sobie równych w rozpoznawaniu najskrzytszych ludzkich pragnień i zamiarów.

Eleanor w dwóch krokach pokonała dzielącą ich odległość, która już była znikoma, stanęła na palcach i dotknęła ciepłymi ustami jego zimnego policzka.

W tych kilku niespodziewanych sekundach Vincent po raz pierwszy w całym dwudziestodwuletnim życiu stracił grunt pod nogami. Po raz pierwszy nie przewidział biegu wydarzeń i zupełnie zgubił kontrolę nad sytuacją.

Wstrzymał oddech, co także nigdy wcześniej mu się nie przytrafiło, i zniżył wzrok w tej samej chwili, w której Eleanor powoli się od niego odsunęła. Kiedy napotkał jej oczy, pierwszym, o czym pomyślał, był ich kolor. Wciąż nie potrafił go nazwać. I wciąż nieznośnie go to irytowało.

Przypomniał sobie o tym, że powinien oddychać. Ze spokojem nabrał w płuca powietrza, rozchylił nieznacznie wargi i właśnie wtedy pojął, że nie wiedział, co właściwie chciał powiedzieć.

Była to kolejna rzecz, której wcześniej nie doświadczył. Niemożność zapanowania nad myślami, a potem ubrania ich w słowa wydawała mu się równie irytująca, co fakt, że nie potrafił określić, jaki kolor miały oczy Eleanor Cullen. Spojrzał na jej usta. Te same, które kilkanaście sekund wcześniej dotykały jego skóry.

– Dziękuję – szepnęła, na powrót sprowadzając go do chwili obecnej.

Vincent uniósł podbródek.

Eleanor obdarzyła go lekkim uśmiechem.

– Za to, że dzięki tobie mam pieniądze, żeby zapłacić za tę nieszczęsną sukienkę. Za to, że dzisiaj pojechałeś ze mną do lasu. Za wszystko. – Cofnęła się o krok. – Wiem, że nigdy tego nie mówiłam, ale po prostu dziękuję.

Była to kolejna nowość, ponieważ nikt wcześniej za nic mu nie dziękował. Być może dlatego, że nie miał na koncie zbyt wielu dobrych uczynków.

– Eleanor...

– Chcę tylko powiedzieć, że zrobię wszystko, żeby pomóc ci ukraść ten pierścionek. Wiem, że nie jestem w tym najlepsza, ale zrobię wszystko.

– To obietnica? – zapytał.

– Tak – odparła bez zawahania. – To obietnica, Vincencie. I zamierzam za wszelką cenę jej dotrzymać.

Na dźwięk tych słów złodziej lekko się uśmiechnął. Zastanawiał się tylko, które z nich jako pierwsze złamie dane słowo. Nie miał wątpliwości, że to się wydarzy. Ich historia, bądź co bądź, nie mogła doczekać się innego zakończenia.

Stawiając kolejny krok w tył, Eleanor oznajmiła:

– Powinam się już położyć.

– Dobranoc, Eleanor.

– Słodkich koszmarów, Vincencie – odpowiedziała, znów wywołując uśmiech na jego twarzy.

Kiedy zniknęła za drzwiami, Vincent jeszcze przez moment nie ruszył się z miejsca. Kąciki jego ust powoli opadły, kiedy zorientował się, że wciąż czuł jej dotyk na skórze i unoszący się w powietrzu słodki zapach kobiecych perfum.

Odwróciwszy się, mimowolnie znów pomyślał o jej oczach.

*Jaki, do cholery, miały kolor?*



## Rozdział 17

W piątkowy poranek na wycieraczce przed drzwiami mieszkania Eleanor wylądowało najnowsze wydanie gazety. Na stronie tytułowej widniało zdjęcie uśmiechniętej pary, pod którym lubiąca plotki redaktorka napisała tłustym drukiem, aby nikt, kto miał wziąć gazetę w ręce, przypadkiem nie pominął artykułu, nad którym tak się natrudziła:

### **Kim jest kobieta, która skradła serce dziedzica fortuny Miltonów?**

Artykuł liczył nieco ponad dwie strony i był zlepkiem domysłów dotyczących głównie wyboru sukienki, miejsca ślubu czy budżetu, jaki został na niego przeznaczony. Nie było ani jednej wzmianki o Eleanor.

Jak wiele musiał zapłacić Roger Milton, by prasa nie wspomniała o tym, że choć ślub miał odbyć się zgodnie z planem, nastąpiła drobna zmiana w kwestii panny młodej?

Eleanor wrzuciła gazetę do kosza na śmieci, zatrzymała się w przejściu między kuchnią a korytarzem i po raz pierwszy od wstania z łóżka zdała sobie sprawę z panującej w mieszkaniu ciszy.

Wsunąwszy głowę do salonu, zerknęła w kierunku starego fotela. Kiedy ten okazał się pusty, jej ramiona nieznacznie opadły.

Czy naprawdę poczuła ukłucie smutku, nie odnajdując tam złodzieja?

Na tę myśl lekko potrząsnęła głową, jakby miało jej to w czymś pomóc. Przez kolejne godziny starała się skupiać na wszystkim, co nie miało związku z Vincentem.

Próbowała przekonać samą siebie, że wcale na niego nie czekała, ale ulga, jaką poczuła, gdy po powrocie do domu zastała go w salonie, boleśnie uświadomiła jej, jak marne były te próby.

– Boże – westchnęła, zatrzymując się gwałtownie w korytarzu.

Bardziej niż jego widok wystraszyło ją to, że w pierwszej chwili go nie dostrzegła. Pojawił się znikąd, jak zwykle bezgłośnie i niezauważenie.

Złodziej zajmował miejsce w fotelu przy oknie, trzymając wygniecioną gazetę. Nieśpiesznie śledząc tekst wzrokiem, przerwał ciszę:

– Schlebiasz mi, ale zdecydowanie bardziej wolę, kiedy zwracasz się do mnie „Vincent”.

Eleanor zmarszczyła brwi i dopiero teraz nieco lepiej przyjrzała się temu, co tkwiło w jego rękach.

– Grzebałeś w moich śmieciach? – zapytała.

Vincent zniżył gazetę i posłał dziewczynie spokojne spojrzenie.

– Naprawdę chcesz poznać odpowiedź?

– Nie. Zdecydowanie nie. – Odwróciła się, po czym przeszła do kuchni, niosąc papierową torbę, i odłożyła zakupy na blat.

Vincent niespodziewanie stanął w progu, znów przypominając Eleanor o szybsze bicie serca.

Chryste, wciąż nie potrafiła przywyknąć do sposobu, w jaki się poruszał – jak skradający się kot albo duch.

Był ubrany niemal tak samo jak zawsze – w czarne spodnie i koszulę oraz płaszcz w tym samym kolorze. Czerń podkreślała nienaturalną bledość jego skóry i jasność włosów, które pozostawione w kontrolowanym nieładzie kilkoma kosmykami opadały na skronie i czoło. W dłoniach wciąż trzymał gazetę.

– Wyrzucić ją, gdy skończysz – poprosiła. Nie chciała mieć w swoim mieszkaniu zdjęcia Lucasa i Carli.

– Zrobimy to tego dnia – powiedział nagle, sprawiając, że dziewczyna zamarła w trakcie wyjmowania zakupów z torby. Kiedy na niego spojrzała, uniósł gazetę, wskazując artykuł z datą ślubu dziedzica fortuny Miltonów. – Okazja czyni złodzieja. To właśnie nasza okazja.

Choć Eleanor wiedziała, że ten moment w końcu nadejdzie, na dźwięk tych słów poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku. Na samą myśl, że miała na własne oczy zobaczyć wszystko, co jeszcze niedawno należało do niej, ogarniał ją niepokój. Zdusiła go jednak głęboko w sobie.

– W porządku – mruknęła, a po chwili wróciła do rozpakowywania zakupów.

Czuła na sobie dotyk spojrzenia Vincenta. Wiedziała, że uważnie śledził każdy jej najdrobniejszy ruch.

Minęła dłuższa chwila, zanim w końcu się odezwał:

– Dziś wieczorem Roger Milton organizuje bankiet na cześć swojego syna i jego przyszłej żony.

Eleanor znów to poczuła – obezwładniająca zimno w miejscu, w którym niegdyś znajdowało się jej serce.

Pierwszym, co ujrzała, po odwróceniu głowy był błysk w ciemnych oczach Vincenta. Dopiero chwilę później dostrzegła dwie koperty, które trzymał w smukłych palcach. Widniał na nich złoty emblemat z literą „M”. Symbol był znajomy, więc od razu go rozpoznała.

– Zdobycie ich kosztowało mnie nieco zachodu – przyznał. – I trochę słodkich kłamstw...

– Nie – wtrąciła. – Nie pójdę tam.

Vincent zmarszczył brwi, jakby nie do końca rozumiał ten nagły przyptyk złości i rozdrażnienia. Nie mógł przecież wiedzieć, że Eleanor już kiedyś widziała podobne koperty. Wówczas na umieszczonych w nich zaproszeniach na przyjęcie zaręczynowe widniało jednak jej nazwisko.

– Nie mogę...

– „Zabrała mi nawet to” – przerwał jej.

– Co powiedziałaś?

Vincent leniwie pochwycił jej wzrok.

– To twoje słowa – przypomniał. – Chyba nadszedł czas, byś ty także jej coś odebrała, prawda?

Eleanor przeniosła uwagę na zaproszenia. Wahala się tylko przez moment.

– Ile mamy czasu? – zapytała.

– Bankiet zaczyna się za pięć godzin.

Odetchnęła głęboko i odwzajemniła spojrzenie złodzieja.

– Potrzebuję sukienki.

– Czy to oznacza...

– Tak. Czekać nas zakupy.

\*\*\*

Po raz pierwszy od wielu lat Vincent zjawił się w galerii nie po to, aby coś ukraść, co stanowiło dziwaczną, lecz niezmiernie ciekawą odmianę. Co jakiś czas zawieszał jednak oko na pięknych i cennych przedmiotach, co niemal natychmiast spotykało się z reakcją ze strony bacznie obserwującej go Eleanor.

– Nawet o tym nie myśl – rzuciła, gdy Vincent odwrócił wzrok ku witrynie, mijając sklep jubilerski.

Był to odruch, nad którym nigdy dotąd nie starał się zapanować. Prowadzony przez niego dotychczas żywot samotnika był pozbawiony ograniczeń i zasad, jednak wiele rzeczy uległo zmianie, kiedy w jego życiu pojawiła się Eleanor Cullen. Kiedy sam ją do niego zaprosił.

– Powiedziałaś ci, że dzisiaj nie możesz niczego ukraść – rzuciła, zerkając na niego przez ramię.

– To zupełnie tak, jakbyś poprosiła pesymistę, żeby nie narzekał – odparł, sprawiając, że Eleanor z uśmiechem pokręciła głową.

– Jeżeli wytrzymasz cały dzień, w nagrodę zabiorę cię na mrożony jogurt. – Najwyraźniej musiała dostrzec, że złodziej zmarszczył brwi w szczerym zdziwieniu, bo przystanęła, skrzyżowała ramiona na piersi i spojrzała na niego, nawet nie walcząc z pełnym rozbawienia uśmiechem. – Proszę, tylko nie mów, że nigdy nie jadłeś mrożonego jogurtu. – Parsknęła śmiechem, gdy odpowiedź wymalowała się na twarzy mężczyzny. – Okej, wygląda na to, że mamy naprawdę sporo do nadrobienia. – W kilku krokach pokonała dzielącą ich odległość, przez co Vincent musiał zniżyć wzrok, by wciąż móc patrzeć w jej błyszczące od rozbawienia oczy.

Po raz kolejny pozwolił sobie na chwilę nieroztropności, dopuszczając do myśli nieustannie nurtujące go pytanie – jaki kolor tak naprawdę miały oczy Eleanor Cullen? Nazwanie ich po prostu niebieskimi czy błękitnymi byłoby sporym niedopowiedzeniem.

– Ale nie martw się – dodała, znów obdarzając go szerokim uśmiechem. – Nie mogłeś lepiej trafić. Zapewniam cię, że nie istnieje nikt... – Urwała w pół zdania, jakby nagle słowa, które zamierzała wypowiedzieć, gdzieś się pogubiły.

Ułamek sekundy później jej oczy, od których Vincent nie potrafił oderwać wzroku, otworzyły się odrobinę szerzej. Wypełniło je to, co sam doskonale znał – zachwył.

Kiedy odwrócił głowę, bez trudu odnalazł to, co odebrało Eleanor mowę. Patrzyła na jedną ze sklepowych witryn, a dokładniej na widoczną przez szkło sukienkę. Materiał w odcieniu czerwonego wina zachęcająco i niemal kusząco błyszczał w białym świetle sklepowych lamp.

– Powinnaś ją przymierzyć – zachęcił.

Dziewczyna skupiła na mężczyźnie uwagę i po raz kolejny zdobyła się na uśmiech. Tym razem towarzyszyło mu jednak lekkie zawahanie.

– Jest piękna, ale raczej nie w moim stylu. – Wzruszyła ramionami, po czym się odwróciła. – Chodźmy, stoisko z mrożonym jogurtem jest... – Zamilkła, gdy poczuła na skórze łagodny uścisk.

Pierwszym, co dostrzegła po odwróceniu głowy, była dłoń w czarnej rękawiczce obejmująca jej lewy nadgarstek. Dopiero chwilę później El zdecydowała się odwzajemnić spojrzenie Vincenta.

– Mężczyzna, przez którego wątpisz w to, że zasługujesz na wszystko, co najlepsze, powinien doczekać końca swoich dni w wyjątkowo paskudnym miejscu, najdroższa Eleanor.

– Obawiam się, że będzie wręcz przeciwnie.

Kącik ust złodzieja nieznacznie drgnął, jakby w niewypowiedzianej obietnicy.

– W takim razie przynajmniej sprawmy, żeby dostatecznie mocno pożałował, że był na tyle głupi, by cię stracić.

Na dźwięk tych słów Eleanor jeszcze raz spojrzała w kierunku sklepowej witryny, na sukienkę, której nie miałyby śmiałości założyć przy Lucasie. Potem przeniosła uwagę na Vincenta i obdarzyła go lekkim uśmiechem.

– Tak – odpowiedziała.

Palce złodzieja przesunęły się w dół jej nadgarstka. Wciąż patrząc dziewczynie prosto w oczy, złączył ich dłonie, dając jej namiastkę odwagi, jakiej potrzebowała, aby wejść do sklepu.

Ekspedientka z uprzejmym uśmiechem wybrała dla Eleanor odpowiedni rozmiar sukienki, po czym zabrała ją do przymierzalni, prosząc Vincenta, by poczekał na zewnątrz.

Złodziej nieoczekiwanie zyskał więc nieco czasu, aby się rozejrzeć i znaleźć coś, co chciałby schować w kieszeni płaszcza. Zanim zdążył skupić wzrok na czymś godnym uwagi, poczuł na sobie ciężar czyjegoś spojrzenia, co było raczej niecodziennym zjawiskiem. Vincent przywykł do

pozostawania niezauważonym. Zwykle przemykał wśród ludzi niczym cień lub duch – bezszelestnie, bezgłośnie i niewidocznie.

Marszcząc brwi, jeszcze raz powiódł spojrzeniem po sklepie. Dopiero po chwili zauważył chłopca, który wpatrywał się w niego z ciekawością, jakby rzeczywiście ujrzał ducha.

Vincent nie znosił dzieci, głównie przez fakt, że tak bardzo nie lubił czasów, gdy sam był dzieckiem. Na domiar złego te małe wścibskie istoty miały w sobie coś demonicznego i nawet w nim potrafiły wzbudzić niepokój.

Odwrocił wzrok od chłopca, uznając, że o wiele lepiej będzie udawać, iż ten nie istnieje. Zupełnie jak w przypadku potwora spod łóżka.

– Proszę pana...

Złodziej zamknął oczy i głęboko odetchnął. Gdy kilka sekund później rozchylił powieki, dziecko stało tuż przed nim. Mogło mieć nie więcej niż kilka lat, sądząc po lekko bełkotliwej mowie i niskim wzroście. Vincent musiał zniżyć wzrok, by w ogóle móc na niego spojrzeć.

– Zgubiłeś się? – zapytał, chcąc jakoś pozbyć się malca.

Chłopiec pokręcił głową, po czym uniósł rączkę i wskazał palcem na złodzieja.

– Dlaczego nosi pan rękawiczki? Jest panu zimno?

Vincent przechylił głowę w prawo, przez co kosmyki jego jasnych włosów osunęły się na czoło i skronie.

Eleanor kategorycznie nie pozwoliła mu niczego ukraść, lecz istniało jeszcze wiele innych nikczemnych uczynków, do których mógł się posunąć.

– Nie. To dla bezpieczeństwa.

– Dla bezpieczeństwa? – powtórzył, wyraźnie zaintrygowany.

Złodziej skrzyżował ręce za plecami, po czym pochylił się, by zrównać się z chłopcem. Obdarzył malca uśmiechem, a następnie wyjaśnił:

– Na wypadek, gdybym zapragnął porwać jakiegoś niegrzecznego, wścibskiego chłopca i nie chciał zostawić śladów, które pomogłyby policji mnie schwycić.

Dziecko szeroko otworzyło brązowe oczy, sprawiając, że uśmiech zdobiący twarz Vincenta wyraźnie się powiększył.

Czy istniało coś bardziej satysfakcjonującego niż wzbudzanie w ludziach przerażenia?

Chłopiec cofnął się o krok, bliski płaczu, niemniej zanim po jego policzku spłynęła choćby łza, w wejściu do przymierzalni pojawiła się ekspedientka, która kilka minut wcześniej zabrała ze sobą Eleanor.

– Jay! Prosiłam, żebyś siedział grzecznie na zapleczu. – Podeszła do chłopca i chwyciła jego rączkę, po czym obdarzyła Vincenta przepraszającym uśmiechem. – To mój brat, mam nadzieję, że zbytnio nie zawracał panu głowy.

– Skądże. – Złodziej zerknął na chłopca. – To doprawdy uroczy malec.

Jay wybełkotał:

– Dee, ten pan...

– Już dobrze. – Dziewczyna pociągnęła go w głąb sklepu. – Mówiłam ci, żebyś nie zagadywał klientów...

Gdy jej głos stopniowo ucichł, Vincent wyprostował się i z pełnym zadowolenia uśmiechem odwrócił się w stronę przymierzalni. Kiedy przekroczył jej próg, uśmiech zniknął z jego twarzy, nie pozostawiając po sobie nawet marnego cienia.

W tamtej chwili Vincent pojął, że w istocie istniało coś bardziej satysfakcjonującego niż fakt, że udało mu się wzbudzić w kimś strach.

Był to widok Eleanor Cullen w sukience wartej każdego grzechu.

Mężczyzna przystanął, wpatrzony w nią jak w jedną z tych pięknych, wartościowych rzeczy, których pragnął dotknąć, by upewnić się, że były prawdziwe. Z drugiej strony nie miał śmiałości podejść bliżej, jakby z obawy, że mogłaby zniknąć. Dlatego po prostu stał, wpatrując się w nią z bezwstydną, która niezbyt długo pozostała niezauważona.

Eleanor, dostrzegłszy jego odbicie w ogromnym lustrze, odwróciła się, przez co burgundowy materiał spłynął wzdłuż jej ciała, dotykając go tak, jak powinno być dotykane już zawsze – z błogą delikatnością.

Vincent odchrząknął, gdy spojrzała na niego z lekkimi wątpliwościami. Nie miał pojęcia, skąd wzięła się ta niepewność, skoro wyglądała tak olśniewającego, że nawet on, urodzony złodziej i manipulator, nie wiedział, co powinien powiedzieć.

Nie istniało zbyt wiele chwil takich jak ta – gdy Vincent zachwycił się czymś tak bardzo, że bał się nawet poruszyć, czy choćby wziąć w płuca głębszy wdech. Wszystko wydawało się zbyt ryzykowne. Ostatnim, czego pragnął, było to, by ten ulotny moment zbyt szybko przeminął.

– Więc... – Eleanor rozłożyła ramiona. – Jak wyglądam?

Z ust złodzieja wyrwało się ciche westchnienie. Przybliżając się o krok, odpowiedział:

– Jak najpiękniejsza zdobycz, którą zamierzam skraść.

Wymówił te słowa bez cienia zawahania, jakby w tej chwili Eleanor Cullen była piękniejsza nawet od diamentowego pierścionka, który jeszcze do niedawna zdobił jej palec. I niech mu sam Diabeł świadkiem, że naprawdę tak było.

Przybliżając się o kolejny krok, dodał:

– Wyglądasz jak... – Omiótł wzrokiem jej twarz. – Jak...

Eleanor nie zdołała zapanować nad uśmiechem. Był to chyba pierwszy raz, kiedy widziała, jak Vincent nie był w stanie wydusić z siebie słowa.

– Jak? – zapytała.

– Jak kobieta warta każdego grzechu.

– Więc jest idealna. – Odwróciła się w kierunku lustra i stanęła twarzą w twarz z własnym odbiciem.

Jeszcze kilka tygodni temu ta sukienka była czymś, na co nawet nie odważyłaby się spojrzeć. Nie przez brak śmiałości, po prostu wiedziała, że Lucas wołał, gdy ubierała się skromniej, zupełnie jakby nie chciał, by go przyćmiewała. Wcześniej nie myślała o tym w ten sposób, ale teraz, kiedy już nie zaślepiła jej głupia miłość, coraz częściej dochodziła do wniosku, że ich związek nie był tak nieskazitelny, za jaki zawsze go miała.

W tafli lustra zauważyła, że Vincent wciąż się w nią wpatrywał, choć zwykłe patrzenie wydawało się w tym momencie marnym niedopowiedzeniem.

Vincent na nią nie patrzył. On dotykał jej wzrokiem. Bezwstydnie i nieskromnie sunął ciemnymi oczami po miejscach, gdzie jej skóry nie zasłaniała sukienka.

Był to ten rodzaj spojrzenia, które każda kobieta powinna poczuć na sobie choć raz – pełen uwielbienia i zachwytu. Pełen wszystkiego, czego Eleanor Cullen nigdy wcześniej nie doświadczyła, nawet gdy była pewna, że miała przy sobie miłość życia.

– Vincencie... – Odważyła się przerwać ciszę, choć przyszło jej to z niemałym trudem.

Boże, naprawdę lubiła, gdy tak na nią patrzył. I nie chciała, aby przestawał.

Kiedy złodziej napotkał jej wzrok, zapytał:

– Tak, najdroższa?

– Muszę się przebrać...



– Nie krępuj się – wtrącił, jakby była to najbardziej oczywista rzecz na świecie.

– Miałam na myśli to, że powinieneś wyjść...

– Och. – Wyprostował się i nałożył na twarz jeden z tych czarujących uśmiechów, w których nie miał sobie równych. – No tak. Pozwól, że poczekam na ciebie na zewnątrz.

Zniknął za ciężką zasłoną, nie dając Eleanor sekundy na reakcję.

Gdy znów została sama w ogromnej przymierzalni, jeszcze raz spojrzała na własne odbicie. Sukienka była piękna, ale istniało jeszcze kilka kwestii, którymi musiała się zająć przed wieczornym przyjęciem.

Przebrała się we własne ubrania i po kilku minutach wyszła z przymierzalni, by dołączyć do czekającego na nią Vincenta. Podczas regulowania rachunku jej uwadze nie umknął fakt, że siedzący za kasą chłopiec na widok złodzieja wyraźnie się przestraszył.

– Czy chcę wiedzieć, co takiego zrobiłeś? – zapytała, kiedy już wyszli ze sklepu.

Vincent spojrział na nią z boku.

– Nie – odpowiedział.

– Co by się stało, gdybyś przez dwadzieścia cztery godziny nie zrobił czegoś złego?

– To brzmi jak wyzwanie, którego absolutnie nie chcę się podjąć.

Eleanor z uśmiechem pokręciła głową i niespodziewanie chwyciła dłoń złodzieja, znów sprawiając, że Vincent pogubił nie tylko słowa, lecz także myśli.

– Chodźmy. Jest jeszcze jedno miejsce, które musimy odwiedzić przed wieczorem.

– Sklep z bronią i truciznami?

– Miałam na myśli salon fryzjerski – sprostowała. – Po każdym rozstaniu trzeba zrobić coś z włosami. To niepisana zasada wszystkich dziewczyn.

Vincent głęboko odetchnął. Nie zamierzał podważać kobiecych zasad.



## Rozdział 18

Nie istniało zbyt wiele szans na to, że ktokolwiek zdoła rozpoznać Eleanor. Sama z trudem się rozpoznała, gdy stanęła przed lustrem i po raz pierwszy spojrzała na nową Eleanor Cullen.

Podobało jej się to, co ujrziała, nawet jeżeli wciąż trudno było jej przywyknąć do nowej długości włosów. Skróciła je tak bardzo, że czarne kosmyki ledwie dotykały ramion. Na ten wieczór mocno podkreśliła także oczy, stawiając na ciemne, głębokie odcienie. Wyglądała pewnie, choć wcale się tak nie czuła.

Zamknęła oczy, wzięła głęboki wdech i próbowała przekonać samą siebie, że miała dość odwagi, aby to zrobić. Tego wieczoru miała bowiem po raz pierwszy stanąć twarzą w twarz z Lucasem. I na dodatek zobaczyć go w ramionach kobiety, która z taką łatwością zajęła jej miejsce.

Podłoga tuż za plecami Eleanor cicho skrzypnęła. Dźwięk ten był niemal niesłyszalny.

Dziewczyna otworzyła oczy i w upchniętym w kąt pokoju lustrze dostrzegła odbicie spowitej w czerń sylwetki Vincenta. Jego widok sprowadził do jej serca spokój, którego tak bardzo potrzebowała. Czuła się o wiele lepiej ze świadomością, że był gdzieś obok. Że wystarczyło tylko się rozejrzeć, by przypomnieć sobie, iż nie szła na tę wojnę zupełnie sama.

– Gotowa? – zapytał, przystając kilka kroków za nią.

– Nie – szepnęła. – Chyba... trochę się boję.

– Głupotą jest się bać, wyglądając tak jak ty w tej chwili.

Kąciki ust El lekko zadrżały, jednak nie zdołała się uśmiechnąć. Nie zdołała także zapanować nad nieprzyjemnym uciskiem niepokoju, który oplótł jej żołądek.

– Eleanor... – zaczął Vincent, przybliżając się na tyle, aby jego zapach otoczył ją z każdej strony. Był kojący i tak bardzo otumaniający. – Niebawem nasza przygoda dobiegnie końca. Wtedy, tak jak ci obiecałem, zniknę i już nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

Eleanor odwróciła głowę, z zaskoczeniem odkrywając, że dzieląca ich odległość była o wiele mniejsza, niż sądziła. Z łatwością mogła dostrzec błysk w ciemnych oczach złodzieja.

Stojąc tak blisko niego, znów odniosła wrażenie, że nie był rzeczywisty. Nie w pełni. Było w nim tak wiele cech, które wydawały się nierealne. Sposób, w jaki mówił. To, jak się poruszał, czy choćby ta dziwna maniera, gdy przed złożeniem kolejnej obietnicy patrzył jej głęboko w oczy, szukając w nich czegoś, czego nigdy nie udawało mu się znaleźć.

– Będziesz szczęśliwa – zapewnił. – Ale najpierw pozwól mi sprawić, że będziesz silna.

Eleanor skinęła głową. Bądź co bądź, już dawno powierzyła swój los w jego złodziejskie ręce.

Ujęła dłoń, którą jej zaoferował, po raz kolejny dobrowolnie zamknęła oczy i pozwoliła, by Vincent poprowadził ją prosto w ciemność.

\*\*\*

Roger Milton zadbał o to, aby drugie przyjęcie zaręczynowe jego syna było jeszcze wystawniejsze od pierwszego. Nie szczędził środków na zatrudnienie zespołu smyczkowego, wynajęcie najlepszej jakości zastawy czy kupno nieprawdopodobnie drogiego szampana, który w gruncie rzeczy nie był wart swojej ceny.

Eleanor doskonale знаła jego smak, przypominający mieszankę rozmokłego papieru i kiepskiej jakości ziołowej herbaty.

Tym razem Milton zrezygnował z urządzenia bankietu w ogrodzie własnej posiadłości i pokusił się o wynajęcie specjalnej sali w jednym z najbardziej znanych hoteli w centrum Nowego Orleanu. Zaproszenia wręczył chyba połowie miasta, ponieważ panujący tu tłok niemal przyprawiał o zawrót głowy.

Eleanor poczuła się dzięki niemu odrobinę bezpieczniej. O wiele łatwiej było pozostać niezauważoną wśród tak wielu ludzi.

Vincent zgarnął dwa kieliszki szampana z tacy jednego z krążących w pomieszczeniu kelnerów i wręczył trunek dziewczynie. Obdarzył ją przy tym typowym dla siebie, urzekającym uśmiechem, który jakimś cudem zdołał zdjąć odrobinę nieznośnego ciężaru z jej barków.

Upijając pierwszy łyk, powiodła wzrokiem po twarzach gości. Nie знаła większości z nich, ale nawet gdy była jeszcze przyszłą panią Milton, sytuacja wyglądała podobnie. Podejrzewała więc, że Carla także ich nie znała.

Takie przyjęcia były dla Rogera Milтона idealną okazją do zdobycia nowych wspólników czy pozbycia się starych. Nawet w ślubie jedynego syna szukał sposobności na powiększenie już i tak zatrwającego majątku.

Dla ludzi takich jak on nie istniało nic ważniejszego niż pieniądze. Zupełnie jakby w jego żyłach wraz z krwią płynęła nieludzka potrzeba, by w najprostszycy nawet rzeczach doszukiwać się okazji zarobku.

Na widok trzech znajomych twarzy pośród tłumu zupełnie obcych ludzi Eleanor gwałtownie się odwróciła, jakby w obawie, że ktoś z nich mógłby ją rozpoznać. Był to odruch, nad którym nie potrafiła zapanować, nawet jeśli wiedziała, że zapewne i tak nie zaprzętałiby sobie nią głowy.

Vincent, zdziwiony tak gwałtowną reakcją dziewczyny, zapytał:

– Wszystko w porządku?

– Widzisz trzech mężczyzn w garniturach, którzy stoją przy wyjściu na balkon?

Złodziej rozejrzał się po sali.

Mężczyźni, o których wspomniała Eleanor, byli tymi samymi mężczyznami, których rozmowę podsłuchał przypadkiem na pierwszym przyjęciu zaręczynowym. Podobnie jak wtedy stali blisko siebie, ze szklankami whisky w dłoniach i wodzili spojrzeniami za mijającymi ich dziewczętami.

– To Hart, Baxter i Swanson – dodała cicho. – Najbliżsi wspólnicy Milтона.

Vincent powoli się ku niej pochylił i wyszeptał:

– Oni na ciebie nie patrzą. Żaden z nich, Eleanor.

Dziewczyna odwróciła twarz w jego stronę.

– Wiem, ja...

– Nikt tutaj na ciebie nie patrzy – przerwał jej łagodnie. – Żadna z tych osób zapewne nie widzi niczego poza czubkiem własnego nosa.

– Wiem.

Złodziej wyciągnął ku Eleanor bladą dłoń i obdarzył dziewczynę uśmiechem, gdy ta niepewnie ją chwyciła. Kiedy w następnej chwili odwrócił ją ku sobie, ciszę przerwał charakterystyczny dźwięk, jaki zwykle wydaje kieliszek, gdy uderza się o jego brzeg czymś metalowym. Ułamek sekundy później zawtórował mu męski głos:

– Proszę o uwagę!

Roger Milton wyłonił się z tłumu, ściągając na siebie spojrzenia wszystkich gości. Ubrany w szary garnitur, z idealnie dopasowanym czerwonym krawatem i starannie dobranym do okazji uśmiechem, nie przypominał człowieka, który na drodze do własnej kariery zniszczył tak wiele ludzkich życ i marzeń.

– Jak zapewne doskonale wiecie, w ubiegłym tygodniu wraz z zarządem firmy podpisaliśmy umowę, która pozwoli Milton Company wkroczyć na rynek europejski.

Rozległy się oklaski, na które Roger Milton zareagował kolejnym uśmiechem.

– Ale jest to tylko jeden z powodów, dla których dzisiaj się tu spotkaliśmy. Drugim z nich i szczególnie dla mnie ważnym jest zbliżający się wielkimi krokami ślub mojego jedyne go syna! – Z tymi słowami wskazał dłonią w prawo.

Lucas Milton i Carla Tanner uśmiechnęli się, gdy skupiła się na nich uwaga gości.

W tej samej chwili Vincent poczuł uścisk. Dopiero kiedy spojrział w dół, pojął, że zapomniał puścić dłoń Eleanor, która teraz pochwyciła się go tak rozpaczliwie, że niemal wbiła paznokcie w jego skórę.

Gdy spojrział na jej twarz, zobaczył na niej coś, co zdawało się tak bardzo nie pasować do jej piękna – niepewność i strach, zupełnie jakby stojąc twarzą w twarz z przeszłością, na moment straciła czujność i pozwoliła sobie na powrót do tego, co powinna zostawić.

– Eleanor?

– Kiedyś należał do mnie – przerwała mu cichym głosem.

W pierwszej chwili Vincent pomyślał, że miała na myśli Lucasa Milтона, ale gdy powiódł wzrokiem w stronę tego, w czym utkwione było jej spojrzenie, zrozumiał, jak bardzo się pomylił.

Eleanor nie patrzyła na Lucasa Milтона. Patrzyła na Carlę Tanner i na naszyjnik, który dumnie błyszczał na jej smukłej szyi.

– To był prezent – dodała. – Dał mi go na dwudzieste piąte urodziny. – Skrzywiła się, jakby wspomnienia tamtych chwil były wyjątkowo nieprzyjemne w smaku.

Na ułamek sekundy zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, ku rozczarowaniu Vincenta, również zorientowała się, że ich dłonie wciąż były złączone. Puszczając go, wybełkotała cicho:

– Przepraszam. Muszę na chwilę... – Cofnęła się o krok. – Zaraz wrócę.

Chciał za nią pójść, chciał ją złapać, zanim na dobre mu ucieknie, ale zanim zdążył zrobić którąś z tych rzeczy, Eleanor zniknęła między gośćmi, pozostawiając po sobie tylko rozkoszne ciepło na jego dłoni.

Vincent, wciąż obejmując palcami kieliszek szampana, spojrział przez ramię w kierunku uśmiechniętej Carli Tanner.

Choć od zawsze traktował emocje jak największego wroga, który zaślepił i czynił z nawet najmądrzejszych ludzi skończonych głupców, być może w przypiływie zapomnienia, a może nieuwagi, pozwolił sobie poczuć gorzki smak złości. Zupełnie jakby złoty naszyjnik został skradziony nie Eleanor, a jemu.

Po raz pierwszy w całym swoim złodziejskim żywocie zrobił więc coś, na co nigdy wcześniej sobie nie pozwalał – postanowił oddać komuś to, co wcześniej zostało mu odebrane.

Ostatni raz zerknął w stronę, gdzie zniknęła Eleanor, zanim ruszył w kierunku Carli. Po drodze pozbył się nieprawdopodobnie cierpkiego w smaku szampana i wciągnął na twarz jeden z uśmiechów, które zachowywał na szczególne okazje. Pragnął wierzyć, że ta była jedną z nich.

Vincent najpierw poczuł na sobie wzrok Lucasa Milтона. Odwzajemnił spojrzenie mężczyzny i skinął nieznacznie głową, zupełnie jakby to spotkanie nie było ich pierwszym.

Dziedzic fortuny Miltonów spotkał na swojej drodze wielu ludzi, z którymi wymienił kilka pełnych wymuszonej uprzejmości słów, po czym szybko wyrzucił ich z pamięci, sądząc, że więcej ich nie ujrzy.

W głowie Lucasa narodziło się pytanie o to, czy Vincent był jedną z takich osób, skoro przywitał się z nim tak, jakby już kiedyś mieli okazję ze sobą rozmawiać. Skupił się na tym tak bardzo, że automatycznie odsunął od siebie wątpliwości i podejrzenia.

Zwykła psychologiczna zagrywka pozwoliła złodziejowi zyskać wystarczająco swobody, by mógł niepostrzeżenie pojawić się obok Carli.

– Panno Tanner... – Ujął jej dłoń i pochylił się, by musnąć ustami jej wierzch.

Blade policzki dziewczyny przybrały podobny odcień do koloru jej sukienki.

Niekiedy było potrzeba tak niewiele, aby zawrócić komuś w głowie. Zwykle wystarczyła odrobina uprzejmości i trochę pięknych dobrze dobranych słów.

– Miło mi pana poznać, panie... – Wymownie zawiesiła głos.

– Proszę, mów mi Vincent. – Wyprostował się, wciąż nie puszczać jej dłoni.

– Carla – mruknęła.

– Wybacz moją śmiałość, ale czy mogę porwać cię do tańca? – zapytał, unosząc wzrok. Napotkał twarde spojrzenie Lucasa Milтона. – Oczywiście jeżeli przyszły pan młody nie ma nic przeciwko.

Carla spojrzała przez ramię na narzeczonego, sprawiając, że kąciki jego ust uniosły się w wymuszonym uśmiechu. Nawet jeżeli pragnął odmówić, nie mógł tego zrobić. Nie, gdy nie miał pewności, czy białowłosy nieznajomy nie jest kimś ważnym i znaczącym.

– Ależ skąd – odparł, siłą się na spokój w głosie.

Carla z uśmiechem chwyciła dłoń, którą zaoferował jej Vincent, i pozwoliła, by poprowadził ją na parkiet.

W przeciwieństwie do ukochanego nie przejawiała krzty wątpliwości. Była tak rozkosznie naiwna, ale czy można było oczekiwać od niej czegoś innego, skoro nikt nie ośmieliłby się nawet krzywo spojrzeć na kogoś z takim nazwiskiem?

– Nie przejmuj się Lucasem – odezwała się przesadnie słodkim głosem. – Czasami jest typowym zazdrośnikiem.

Vincent zdobył się na uśmiech. Kiedy Carla znalazła się w jego objęciach, poczuł jej zapach i z trudem zapanował nad grymasem, który niemal odznaczył się na jego twarzy.

– Więc... Czym się zajmujesz, Vincencie? – zapytała.

Spojrzał na nią z góry, ponieważ była od niego o wiele niższa, i odpowiedział, wcale nie mijając się z prawdą:

– Kolekcjonuję piękne rzeczy.

– Och, a więc jesteś kupcem.

Uśmiechnął się odrobinę szerzej na dźwięk tych słów. Ludzie zwykli nazywać go w różny sposób. Czasami był łajdakiem, kłamcą lub oszustem. Niekiedy przyczepiali mu łatkę kanciarza, innym razem mordercy, choć pozbawiał ludzi kosztowności, a nie życia.

– To tylko jedna z moich zalet – odparł, obracając ją dookoła i ponownie przyciągając ku sobie.

Z ust Carli wyrwało się ciche westchnienie. W następnej chwili spojrzała mu prosto w oczy i, oddychając ciężko, zapytała:

– Zechcesz zdradzić mi inną swoją zaletę?

Vincent znów się uśmiechnął. Pochylił się, a następnie wyszeptał tuż obok jej ucha:

– Jestem wybitnym tancerzem...

– Tak? – mruknęła.

Złodziej powiódł spojrzeniem w górę jej smukłej szyi.

– I z całą pewnością... – Zawiesił na moment głos, aby znów pochwycić jej zamglony wzrok. – Nawet gdy zniknę, nie zdołasz tak łatwo o mnie zapomnieć, panno Tanner.

\*\*\*

Eleanor popchnęła ciężkie drzwi. Weszła do pustej łazienki i po raz pierwszy, odkąd opuściła przyjęcie, nabrała głębiej powietrza.

Oparła się o wyłożoną szarymi kafelkami ścianę i niemal natychmiast odniosła wrażenie, że ktoś na nią patrzy. Kiedy odwróciła głowę, nad marmurowymi umywalkami dostrzegła rząd podświetlanych lusterek, a w każdym z nich – odbicie swojej zastygłej w grymasie twarzy.

Przygarbiła lekko ramiona, a z jej płuc wyrwał się drżący oddech. Nie miała pojęcia, dlaczego pozwoliła, by Lucas znów sprawił, że poczuła się tak cholernie słaba. Jakby coś jej odebrał. Coś, bez czego była tylko marnym cieniem.

Być może właśnie to było największą głupotą – pokochanie kogoś tak mocno, że w przyptywie tej miłości człowiek ofiarowywał każdą cząstkę siebie, bezmyślnie, łatwowiernie, naiwnie pragnąc otrzymać to samo w zamian.

– Weź się w garść – wyszeptła, po czym odepchnęła się od ściany i ponownie spojrzała w stronę jednego z lusterek.

Wiedziała, że musiała tam wrócić. Nawet pomimo całej tej niechęci i bólu, jaki miała znów poczuć. Nie istniała żadna inna droga.

Wzięła ostatni głębszy wdech, a następnie podeszła do wyjścia. Zdążyła tylko lekko nacisnąć klamkę, gdy przez szparę w drzwiach przedarł się znajomy głos:

– Przestań zachowywać się jak naburmuszone dziecko i, do cholery, nie rób mi wstydu.

Ten głos z pewnością należał do Rogera Milтона. Eleanor nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Kazałeś mi się z nią ożenić, ale nie oczekuj, że będę udawał, jakbym był z tego powodu szczęśliwy.

*Lucas, pomyślała.*

– Jedyne, czego od ciebie oczekuję, to odrobina wdzięczności za wszystko, co ode mnie dostałeś – wycedził. – Posprzątałem cały ten bałagan, którego narobiłeś jak skończony gówniarz nieumiejący zapanować nad tym, co ma w spodniach. Dlatego teraz tam wrócimy i będziesz się uśmiechał i zachowywał jak kochający przyszły mąż, jasne?

Drzwi do toalety gwałtownie się otworzyły, a przed Eleanor pojawiła się wysoka kobieta w czerwonej sukience.

– Przepraszam – powiedziała obcesowo, mierząc ją spojrzeniem od góry do dołu.

– Nic się nie stało, ja... – Zdobyła się na uśmiech. – Właśnie wychodziłam.

Kiedy wydostała się na korytarz, nigdzie nie było śladu po Rogerze Miltonie ani po jego synu.

Wyglądało na to, że Carla nie kłamała – ślub, który miał niebawem się odbyć, był kolejnym wielkim planem Milтона. Ostatecznie nie miało to znaczenia. Carla i Lucas dostali to, na co zasłużyli. Czy była to jednak wystarczająca kara?

Kiedy Eleanor wróciła na przyjęcie, nigdzie nie było już śladu po dawnej ciszy. Goście licznie zapełnili parkiet. Kelnerzy w eleganckich strojach krążyli po sali, rozdając szampana i przekąski, gdziekolwiek usłyszeć można było kobiece śmiechy i echa rozmów.

Piękni ludzie w pięknych strojach o paskudnych, zgniłych wnętrzach.

Eleanor zamierzała odnaleźć Vincenta i poprosić go, by stąd wyszli. Być może ten pomysł nie był najlepszy? Carlę Tanner i tak niebawem miało spotkać dostatecznie dużo nieszczęść.

Gdy dotarła do miejsca, w którym – jak sądziła – po raz ostatni widziała złodzieja, odnalazła tylko własny kieliszek z szampanem. Stał porzucony na stoliku, dokładnie tam, gdzie go zostawiła.

Uniosła głowę i powiodła spojrzeniem po sali. Trudno było cokolwiek dostrzec w tak licznym gronie. Trudno było nawet swobodnie się poruszać.

Kiedy Eleanor się odwróciła, wpadła na jednego z kelnerów. Przez wysokie szpilki nie udało jej się w porę złapać równowagi. Zapewne zaliczyłaby nieprzyjemne i widowiskowe spotkanie z posadzką,

gdyby nie blade, smukłe palce, które w porę oplotły jej nadgarstek.

Oddychając spazmatycznie, dziewczyna zadarła podbródek i dostrzegła tuż nad sobą czarujący uśmiech pewnego białowłosego złodzieja. Poczua ulgę. Nie dlatego, że nie upadła. Ucieszyła się, że udało jej się go odnaleźć.

– Mam cię – powiedział, na co lekko się uśmiechnęła.

Przyciągnął ją ku sobie bliżej, niż Eleanor się tego spodziewała. Pomiędzy ich klatkami piersiowymi nie istniała właściwie żadna wyczuwalna odległość. Druga dłoń złodzieja spoczęła u dołu jej pleców, a ramię mocno i pewnie objęło szczupłą talię.

Gdy wzięła kolejny wdech, poczuła napierającą na piersi twardość jego torsu. Kiedy ułamek sekundy później uniosła głowę i napotkała spojrzenie jego ciemnych oczu, odnalazła w nich subtelną nutę rozbawienia.

– Ile jeszcze razy mi uciekniesz? – zapytał.

– Nie uciekałam... – Ku zaskoczeniu Eleanor, jej głos okazał się dziwnie cichy i łamliwy, jakby nie należał do niej. – Nie od ciebie.

Vincent omiół wzrokiem jej twarz. Znów to robił – bezwstydnie i śmiało dotykał jej spojrzeniem.

– To dobrze. Bo za żadne skarby świata nie mógłbym odpuścić sobie zatańczenia z najpiękniejszą kobietą na tym przyjęciu.

Coś zacisnęło się wokół serca Eleanor. Coś, co nie pozwoliło jej wydobyć z siebie słowa, choć jeszcze chwilę wcześniej nie potrafiła myśleć o niczym innym niż o wyrwaniu się z tego szaleństwa. Dlaczego więc nie zaprotestowała, gdy Vincent splótł ich palce lub gdy kilka sekund później znaleźli się na parkiecie, wśród innych tańczących par, przy akompaniamencie łagodnego dźwięku skrzypiec?

Pragnęła poznać odpowiedź, ale wszystko zawsze sprowadzało się do niego – do złodzieja, który nie odrywał od niej spojrzenia, prowadząc ją marmurową podłogą i trzymając tak blisko siebie, że czuła bijące od niego ciepło.

Nie była pewna, jakim cudem z taką łatwością potrafił sprowadzić do jej serca ten kojący spokój. Ale potrzebowała tego tak bardzo, że nie miała śmiałości pytać. Bała się, że odpowiedź mogłaby ją rozczarować.

Nawet jeśli było to głupotą, chciała tkwić w tym pięknym złudzeniu choćby przez moment. Kompletnie nie zważając na świadomość, że człowiek, przy którym czuła się w ten sposób, miał niebawem bezpowrotnie zniknąć.

– Vincencie... – szepnęła z zadziwiającą nawet dla siebie dozą nieśmiałości.

Złodziej stopniowo zmniejszył odległość, jaka dotychczas dzieliła ich twarze.

Sposób, w jaki na nią patrzył, przyprawił Eleanor o niekontrolowane drżenie, które przemknęło wzdłuż jej kręgosłupa. Wiedziała, że on także to poczuł, bo zaledwie uderzenie serca później spojrzął jej głęboko w oczy.

– Co robisz? – zapytała.

– Nie jestem pewien – zdradził. – Chyba po prostu próbuję cię oczarować.

Znów to poczuła – ujmujące ciepło, które zaatakowało jej każdy nerw. Było pod każdym względem rozbijające.

– Jak na złodzieja jesteś dzisiaj wyjątkowo szczery.

– Jesteśmy partnerami, Eleanor. Nie zamierzam cię okłamywać ani okradać. Cóż, przynajmniej nie z pieniędzy.

Eleanor nie zdołała zapanować nad nikłym uśmiechem, który cieniem rzucił się na jej usta.

– Co takiego zamierzasz mi więc skraść?



Dłoń Vincenta przesunęła się w górę jej pleców. Nawet przez materiał sukienki potrafiła wyczuć, jak ciepłe były jego palce. Jego oczy natomiast bezwstydnie spoczęły na jej wargach. Zbadał spokojnym wzrokiem każdy skrawek jej twarzy, po czym zmniejszył dzielącą ich odległość tak bardzo, że dziewczyna poczuła jego oddech na skórze. I ten cholernie seksowny zapach.

– Twoje serce – mruknął aksamitnym głosem. – Albo kilka pocałunków. Jeszcze nie podjąłem decyzji.

Eleanor mimo ucisku, który oplótł w tej chwili jej żołądek, zdołała pokręcić głową.

– Obawiam się, że to niemożliwe, Vincencie – szepnęła, nie potrafiąc wyjaśnić, dlaczego ściszyła głos.

We wszechobecnym tłumie i tak nikt by jej nie usłyszał. Nikt, oprócz niego.

– Nie? – powtórzył.

– Nie jesteś w moim typie. – Niemal natychmiast poczuła na języku słodki smak tego kłamstwa.

Vincent unióś jasną brew. Wydawał się szczerze rozbawiony.

– Doprawdy?

– Tak.

– Wygląda więc na to, że znaleźliśmy się w impasie – przyznał. – Bo ty z całą pewnością jesteś w moim typie.

Uśmiechnęli się w tym samym momencie.

Czykolwiek było to, co miało między nimi miejsce, Eleanor ani Vincent nie mieli śmiałości traktować tego poważnie. Być może ze względu na fakt, iż oboje wiedzieli, że ich historia mogła liczyć tylko na jedno zakończenie.

Oboje byli dla siebie tylko etapem, który miał bezpowrotnie minąć. I właśnie to miało niebawem okazać się ich największą zgubą – nigdy nie należy ignorować zagrożenia, zwłaszcza gdy w grę wchodzi coś tak nieprzewidywalnego jak ludzkie serce.

– Eleanor?

Sposób, w jaki wypowiedział jej imię, przypominał piękną melodię, zdolną poruszyć nawet najbardziej obojętną duszę.

– Tak, Vincencie?

Zabrał dłoń z jej talii i zanim Eleanor zdołała o coś zapytać, obrócił ją wokół własnej osi. Gdy znów ją ku sobie przyciągnął, jego twardy tors naparł na jej plecy.

Przywarli do siebie tak mocno i gwałtownie, że z gardła dziewczyny wyrwało się niekontrolowane westchnienie. Nie zdołała w porę go zatrzymać, podobnie jak nie udało jej się zapanować nad reakcją ciała, które mocniej naparło na męską sylwetkę. Rozchyliła drżące wargi i uniosła wzrok, który w tłumie zupełnie bezbarwnych i nic nieznaczących twarzy ujrzał tę jedną, jakże znajomą.

Lucas uśmiechał się tak, jak nakazał mu ojciec. Był równie dobrym aktorem, co posłusznym synem.

– Carla Tanner mogła odebrać ci wiele. – Przy każdym wypowiedzanym słowie ciepły oddech Vincenta pieścił jej skórę, doprowadzając ją do granicy obłądu. – Wymarzony ślub, ukochanego i przyszłość, której tak bardzo pragnęłaś...

Eleanor zamknęła oczy. Nie była w stanie dłużej na niego patrzeć. Nagle poczuła, jak coś łagodnie oplata jej szyję.

– Ale nieważne, jak bardzo by tego pragnęła, nigdy nie będzie wyglądać w tym naszyjniku równie pięknie jak ty.

W tej samej chwili ciepłe wargi Vincenta ledwie wyczuwalnie zahaczyły o jej skórę, łagodnie dotykając miejsca tuż za uchem.

Uniosła powieki, a także dłoń i opuszkami delikatnie trzęsących się palców dotknęła złotej kolii.

W tej samej chwili spojrzała na Carlę. Na jej długą szyję, której nie zdobił już diamentowy naszyjnik.

Kiedy odwróciła się, wciąż pozostając w żelaznych objęciach złodzieja, ich twarze znów znalazły się tak blisko siebie, że poczuła na wargach jego ciepły oddech. Nagle po raz pierwszy dopuściła do siebie tę zgubną myśl – jak smakowały jego usta? Czy były równie grzeszne i uzależniające jak jego dotyk?

– Więc jak... Udało mi się cię oczarować, Eleanor? – zapytał, pochylając się tak bardzo, że jego usta niemal otarły się o jej wargi. – Zdołałem skraść twoje serce?

– Obawiam się, że z mojego serca nie zostało już nic, co warto byłoby kraść. Nic, prócz marnych odłamków...

– Chcę je wszystkie – wtrącił.

Eleanor z drżeniem zaczerpnęła tchu. Nagle poczuła zbierające się pod powiekami łzy. Były nieznośnie ciężkie i tak trudno było jej z nimi walczyć. Nie miała już siły dłużej stawiać im czoła. Była tak bardzo zmęczona.

– Zabierz mnie stąd – poprosiła głosem niewiele głośniejszym od słabego, łamliwego szeptu.

Vincent nie zapytał o powód tej prośby. Zapytał o to, o co powinien był zapytać:

– Dokąd, najdroższa?

Omiótł wzrokiem jej twarz. Dotknął spojrzeniem każdego fragmentu bladej skóry, jakby starał się zapamiętać nawet najdrobniejszy szczegół. Wciąż trzymał ją przy sobie, bliżej, niż powinien, i nie tak blisko, jak tego pragnął.

Nie zaprotestował, kiedy delikatnie się od niego odsunęła tylko po to, aby chwycić jego dłoń własną – tak drobną i ciepłą.

W którym momencie tak przywykł do trzymania jej dłoni? W którym momencie pozwolił sobie to polubić?

Kiedy spojrzała mu prosto w oczy i obdarzyła go uśmiechem tak samo pięknym, co okrutnym, Vincent z rozbijającą pewnością zrozumiał, że wcześniej nie docenił Eleanor Cullen.

Nie docenił tego, że nawet dla niego może stanowić niebezpieczeństwo.

– Dokądkolwiek – poprosiła.



## Rozdział 19

Było coś magicznego w opustoszałych, nocnych ulicach Nowego Orleanu. W panującej wszechobecnie ciszy, tak gęstej i ciężkiej, że przy odrobinie skupienia można było wyczuć, jak powoli, niemal nieśmiało, osiada na ramionach.

– Wiesz, że mogliśmy po prostu zamówić taksówkę?

Eleanor zerknęła przez ramię i spojrzała na idącego kilka kroków za nią Vincenta.

– Tak – odpowiedziała i wzięła głęboki wdech. – Wiem.

Oprócz ich dwójki tej zimnej nocy z trudem można było dostrzec kogoś spacerującego po chodniku. Był piątek i większość mieszkańców wolała spędzić wieczór w ciepłym domu lub w jednym z barów, które mijali.

Eleanor potrzebowała natomiast spaceru – nieznośnie długiego i męczącego.

Chłód przyjemnie łaskotał jej skórę, a wiatr delikatnie wdzierał się pod poły jasnego płaszcza. Ciska była tak rozkosznie kojąca, że bez zbędnego wysiłku wypędzała z myśli wszystkie troski.

– Mogę o coś zapytać? – Przerwała panujące od dłuższego czasu milczenie.

– Czy istnieje jakakolwiek szansa, że mnie posłuchasz, jeżeli odmówię? – zapytał, na co zareagowała cichym śmiechem.

– Nie sądzę.

– W takim razie nie krępuj się.

– Chodzi o diament – powiedziała. – Co z nim zrobisz, gdy już go ukradniemy?

Vincent skrzyżował ręce za plecami i przez chwilę nic nie mówił, marszcząc brwi. W końcu wzruszył nieznacznie ramionami.

– Nie jestem pewien.

– Mógłbyś go sprzedać – zasugerowała. – Jest naprawdę sporo wart.

– Pieniądze raczej mnie nie interesują – przyznał. – Po prostu go zatrzymam.

– Po co?

Złodziej zerknął na nią z boku, jakby zaskoczyło go nie tyle samo pytanie, co odpowiedź, która od razu zagościła w jego umyśle.

– Żeby o tobie nie zapomnieć.

Na dźwięk tych słów Eleanor odwróciła głowę i w mroku odnalazła jego spojrzenie, upewniając się w przekonaniu, że nie żartował. Choć może rzeczywiście wolałaby, aby tak właśnie było? Wówczas wszystko byłoby o wiele łatwiejsze.

– Żeby o mnie nie zapomnieć? – powtórzyła, nie wiedząc, co właściwie miał na myśli.

– Tak. – Vincent przystanął, zmuszając ją do zrobienia tego samego.

Zatrzymali się nieopodal jednego z barów.

– W ponure wieczory, takie jak ten, gdy dopadnie mnie samotność, spojrzę na niego i z rozkoszą wspomnę chwile, które dane nam było razem spędzić.

Eleanor nie była pewna, czy mówił poważnie, czy może znów próbował ją oczarować. Nawet jeżeli nie chciała tego przed sobą przyznać, absolutnie mu się to udało.

– A co potem? – zapytała. – Gdy już odejdziesz... – Urwała, by zapanować nad drzeniem głosu. – Dokąd się udasz?

– Złodziej nigdy nie zdradza swojego następnego kroku. – Odwrócił się i ruszył dalej chodnikiem.

El poszła jego śladem, starając się nadążyć za stawianymi przez niego krokami. Stanowiło to spore wyzwanie nie przez fakt, że miał o wiele dłuższe nogi od niej, chodziło o niebotycznie wysokie i niewygodne szpilki, które tak bardzo pragnęła wreszcie z siebie zrzucić.

– Obiecuję, że nikomu o tym nie powiem.

– Nie śmiałybym cię o to posądzać, ale odpowiedź wciąż brzmi: „Nie”.

Eleanor wyduła wargi w grymasie, na widok czego Vincent lekko się uśmiechnął.

Przez następny moment szli w ciszy, którą, ku własnemu zaskoczeniu, przerwał mężczyzna:

– Wiesz, czym jest *Lotus Flower*?

El spojrzała na niego i, nie dostrzegając na jego twarzy krzty rozbawienia, otworzyła szeroko oczy.

– Chcesz okraść rodzinę królewską? – zapytała z niedowierzaniem. – Boże, nawet ty nie jesteś aż tak szalony.

– Aż tak nisko mnie cenisz? – Vincent przyłożył dłoń do serca w teatralnym geście.

– Chcę o tym posłuchać – poprosiła, wyraźnie zaintrygowana.

– Już i tak zbyt wiele ci powiedziałem. Na dodatek właśnie dotarliśmy pod twoje mieszkanie.

– Nie szkodzi. Mogę odprowadzić cię do hotelu – zaproponowała. Nie zamierzała przepuścić takiej okazji.

– Do hotelu? – powtórzył, zatrzymując się przed kamiennymi schodami.

– Tak. – Zmarszczyła brwi. – Poczekaj... Jeżeli nie nocujesz w hotelu, to gdzie?

Vincent znów wzruszył ramionami.

– Głównie tam, gdzie akurat nadarzy się okazja. Zwykle w samochodzie.

Ramiona Eleanor wyraźnie opadły.

– Przez cały ten czas... – Zamilkła, nie potrafiąc przyjąć tego do wiadomości. – Nie miałeś gdzie spać?

– Przeważnie.

Nie wydawał się tym zbytnio przejęty, jakby fakt, że spędzał noce w zimnym samochodzie, był sprawą drugorzędną.

– Ale... – Urwała, dostrzegając, że Vincent zmarszczył brwi.

Czy naprawdę nie widział w tym niczego złego?

Eleanor spojrzała za siebie, na schody prowadzące do jej mieszkania. Choć wiedziała, jak wielki błąd popełnia, po chwili znów się ku niemu odwróciła.

– Zostań u mnie – zaproponowała.

– Co?

– Kanapa w salonie może nie należy do najwygodniejszych, ale to i tak lepsze niż spanie w zimnym samochodzie, prawda?

– Dziękuję za propozycję, ale pasuje mi tak, jak jest...

– Więc naprawdę chcesz, żebym się martwiła? – wtrąciła, przez co Vincent gwałtownie zamilkł.

– Słucham?

– Teraz, gdy mi o tym powiedziałaś, nie będę mogła zasnąć. Cały czas będę się martwić, czy nie jest ci zimno albo czy akurat tej nocy udało ci się znaleźć bezpieczne miejsce, żeby przenocować.

Uśmiech zniknął z bladej twarzy złodzieja.

Był to pierwszy raz w jego życiu, gdy ktokolwiek się o niego martwił.

– Ja...

Eleanor nie pozwoliła mu dokończyć. Chwyciła dłoń Vincenta własną, która – choć o wiele drobniejsza od jego ręki – wydawała się w tej chwili wręcz nieprawdopodobnie silna. Potem pociągnęła go za sobą w stronę drzwi.

Vincent, oszołomiony jej gwałtownością i uporem, nie miał zbyt wiele czasu, aby zebrać myśli, gdy nagle znaleźli się w ciepłym wnętrzu jej mieszkania, w wąskim korytarzyku.

– To już postanowione – powiedziała, puszczając jego dłoń. – Zostaniesz tutaj. Na kanapie. I tak nieustannie się tu włamujesz, więc właściwie co za różnica? Zaraz znajdę dla ciebie poduszki i koce.

Zanim zdołała odejść na dalej niż dwa kroki, tuż za jej plecami rozbrzmiało pukanie do drzwi. W pierwszym odruchu Eleanor spojrzała na Vincenta. Nagle ogarnęły ją niepokój i strach. Czy istniała szansa, że ktoś z gości przyjęcia ją rozpoznał?

Kiedy pukanie rozbrzmiało po raz drugi, El drgnęła, zerwała się z miejsca, a następnie podeszła do drzwi. Poczowała ulgę, gdy po ich otwarciu ujrzała panią Dawson w jednym z jej ukochanych kolorowych sweterków.

– Coś się stało? – zapytała, otwierając drzwi na tyle, by kobieta nie zdołała zajrzeć do środka.

Pani Dawson od zawsze przejawiała niezdrowe zamiłowanie do interesowania się życiem innych ludzi, a w szczególności własnych sąsiadów.

– Och, nie, kochaniutka. Po prostu właśnie skończyłam oglądać ostatnie wydanie lokalnych wiadomości. Ostrzegali tam przed złodziejem, który podobno krąży w naszej okolicy. Obie mieszkamy same, więc chciałam dać ci znać, żebyś była ostrożna i pod żadnym pozorem nie rozmawiała z podejrzanymi mężczyznami.

– Skąd pewność, że to mężczyzna? – zapytała.

– Słucham?

Eleanor wzruszyła ramionami.

– Kobiety też kradną.

Pani Dawson obdarzyła ją typowym dla siebie powściągliwym i pełnym podejrzliwości spojrzeniem, na które dziewczyna zareagowała miłym uśmiechem.

– Dziękuję za ostrzeżenie, pani Dawson. Miłej nocy.

– Ale...

Eleanor zamknęła drzwi, nie pozwalając starszce powiedzieć niczego więcej. Następnie oparła plecy o drewnianą powierzchnię i spojrzała na Vincenta.

– Podejrzeni mężczyźni? – powtórzył, wywołując na jej twarzy pełen rozbawienia uśmiech. – Ciekawe, co by powiedziała, gdyby tylko wiedziała, że właśnie zaprosiłaś jednego z nich do domu.

– Obawiam się, że jeszcze bardziej zaczęłyby mnie nie lubić. – Odepchnęła się od drzwi i, mijając złodzieja w korytarzu, rzuciła przez ramię: – Pójdę wziąć prysznic. Czuj się jak u siebie.

Kiedy przekroczyła próg sypialni, z westchnieniem nieopisanej ulgi zrobiła to, co pragnęła zrobić od wielu godzin – zsunęła z nóg czarne szpilki. Niemal jęknęła, gdy jej bosa stopy zatopiły się w miękkim dywanie położonym tuż obok łóżka.

Najpierw pozbyła się płaszcza, rzucając go na oparcie starego fotela, a potem zamknęła oczy i przesunęła dłonie na plecy, próbując odnaleźć zamek sukienki. Syknęła cicho, gdy mięśnie jej ramion przeszły ostry ból. Odetchnęła ciężko.

– Vincencie?! – zawołała.

Minęło zaledwie kilka sekund, zanim złodziej pojawił się w wejściu do pomieszczenia. Nie miał już na sobie płaszcza ani marynarki, a rękawy czarnej koszuli podwinął na wysokość łokci.

– Tak?

Eleanor spojrzała na niego przez ramię.

– Mógłbyś... – Urwała, kiedy bez słowa pokonał dzielącą ich odległość.

Stanął tuż za nią, przewyższając ją o ponad głowę, i w milczeniu chwycił zamek sukienki, a następnie nieznośnie powoli ją rozpiął.

Eleanor złapała materiał, nim ten zsunął się z jej ciała.

– Dziękuję...

– Powiedz mi, że nie zrobiłaś tego specjalnie – przerwał. Wypowiedział te słowa tak blisko jej ucha, że niemal czuła na skórze dotyk ciepłych ust.

Choć tak bardzo starała się pozostać na to obojętna, przeszył ją gorący dreszcz, który dosadnie zdradził, że wcale taka nie była.

– Nie wiem, o czym...

– Obawiam się, że doskonale wiesz, Eleanor. – Znow nie pozwolił jej dokończyć. – Czy naprawdę sądziłaś, że będę w stanie trzymać ręce przy sobie, mając cię przed sobą, tak obezwładniająco piękną i kuszącą?

Eleanor przetknęła z trudem. Bała się choćby zastanowić nad odpowiedzią.

– Ja...

Opuszki jego palców najpierw nieśmiało dotknęły linii biodra, a potem nieco pewniej przesunęły się w górę, wzdłuż talii, wciąż skrytej pod materiałem sukienki.

Eleanor zachłysnęła się oddechem, gdy Vincent czubkiem nosa musnął jej szyję.

– Chciałem nas przed tym uchronić – wychrypiął.

– Przed czym? – zapytała, przetykając resztki nieśmiałości.

– Przed... – Jego głos wyraźnie stracił na sile, kiedy cofnęła się o krok, przyciskając plecy do jego torsu. – Przed wszystkim, co teraz mam ochotę z tobą zrobić, najdroższa.

Wiedziała, że to było złe, niemniej nie potrafiła się powstrzymać, nawet jeżeli bardzo mocno tego pragnęła. Nawet jeżeli każda myśl zdawała się podszeptywać, że popełniała być może jeden z największych błędów w całym życiu.

– Czy przez ten jeden wieczór możemy się tym nie martwić? – zaproponowała.

Usłyszała, że Vincent wziął drżący wdech, być może podobnie jak ona balansując na granicy między tym, co było słuszne i właściwe, a nienasyconym pragnieniem, aby kompletnie na to nie zważać?

– Nie masz pojęcia, jak bardzo tego pragnę. – Wypowiedział te słowa w jej skórę, doprowadzając dziewczynę do szaleństwa. – Zatracić się w tobie bez opamiętania, ale... – Znow zamilkł. – Jesteś tak cholernie niebezpieczna, Eleanor.

Była zagrożeniem. Wyjątkowo słodkim i wręcz nieprawdopodobnie pociągającym. Obawiał się, że jeśli choć raz pozwoli sobie jej posmakować, nigdy nie będzie mógł przestać. A przecież nie mógł sobie na to pozwolić – na przywiązanie się do czegośkolwiek lub kogokolwiek. Wówczas tak trudno będzie mu odejść.

Eleanor odwróciła się, wciąż pozostając tak blisko, że ich ciała nie dzieliła właściwie żadna odległość. Gdy stanęli ze sobą twarzą w twarz w mroku jej malutkiej sypialni, Vincent zrozumiał, w jak cholernie niebezpieczną grę pragnęła z nim zagrać.

Jej dłonie zsunęły się w dół, więc teraz jedynym, co trzymało w miejscu jej sukienkę, był właśnie on. Jeżeli cofnąłby się choćby o pół kroku, materiał opadłby na podłogę. Decyzja, czy tak się stanie, należała już wyłącznie do niego.

Właśnie to miał na myśli – była zagrożeniem nie dlatego, że jej pragnął, a dlatego, iż ona także pragnęła jego. Jak mógłby pozostać na to zupełnie obojętny?

– Wiesz, co jest moim największym przekleństwem? – zapytał głosem miękkiem niczym aksamit. – Zawsze miałem słabość do tego, co kruche i delikatne.

Cofnął się o krok.

Materiał zsunął się z ciała Eleanor, spływając po nim długimi, burgundowymi falami, dotykając jej skóry, pieszcząc ją tak, jak na to zasługiwała – z rozbijającą łagodnością.

Przez tych kilka sekund Vincent nawet na moment nie oderwał spojrzenia od jej oczu. Nawet gdy stanęła przed nim niemal zupełnie naga, nie potrafił spojrzeć na nic innego. Więc po prostu na nią patrzył, tak jak ona patrzyła na niego – w milczeniu, jakby żadne słowa nie były w tej chwili dostatecznie ważne, by je wypowiedzieć.

– Każ mi przestać – poprosił w końcu.

*Zakończ całe to szaleństwo.*

Eleanor pokręciła głową.

– Ja...

Vincent poruszył się tak szybko, że nie miała najmniejszych szans, aby zareagować. Chwytał ją za kark i przywarł do jej warg.

W tamtym momencie oboje to poczuli – było już za późno. Za późno na ratunek, na posłuchanie rozsądku i przede wszystkim za późno na zatrzymanie tego, co nieuchronnie spychało ich w przepaść.

W tym pocałunku na próżno szukać można było delikatności, niepewności czy zawahania. Był mocny, nieco brutalny i z całą pewnością zdołał skutecznie uciszyć wątpliwości.

Vincent całował Eleanor tak, jakby pragnął skraść z jej ust każdy oddech. Smakował jej, chciwymi złodziejskimi dłońmi odnajdując drogę do jej ciała.

Zadrżała, kiedy jego palce spotkały się z jej ciepłą skórą. Dotknął jej tak, jak wcześniej mogła sobie tylko wyobrazić – jakby w tej chwili nie pragnął niczego bardziej niż poczuć ją przy sobie. Blisko... Najbliżej, jak tylko było to możliwe.

Rozchyliła dla niego wargi, gdy dotknął ich koniuszkiem języka, bezgłośnie domagając się, by pozwoliła mu pogłębić pocałunek. Gdy to zrobił, poczuła, że smakował szampanem i miętą.

Wybornie grzeszne połączenie.

Wolną dłonią obejmując jej talię, przyciągnął ją do siebie. Jej drobne, kruche ciało przywarło do jego ciała – silnego i twardego.

Eleanor cicho jęknęła, gdy palce Vincenta odrobinę mocniej wbiły się w jej kark. W następnej chwili powoli ją od siebie odsunął, przerywając pocałunek.

Dziewczyna uniosła powieki i w zalewającym sypialnię mroku odnalazła jego spojrzenie.

– Czym jesteś? – zapytał. – Co najlepszego ze mną robisz?

– Ja...

Gwałtownie się pochylił i kiedy Eleanor była już niemal pewna, że znów ją pocałuje, tylko wyszeptał prosto w jej usta, pieszcząc je oddechem:

– Czegokolwiek właśnie pragniesz, musisz przestać. Dla własnego dobra. Obiecałem, że poskładam twoje serce. Nie chcę być tym, który znów zostawi je w opłakanym stanie.

El poruszyła bezgłośnie wargami.

– Nie mogę nam na to pozwolić – dodał. – Dlatego proszę, przestań, Eleanor. Przestań, gdy jeszcze jestem w stanie wmówić sobie, że wcale cię nie pragnę.

Odsunął się od niej, zupełnie jakby przebywanie blisko Eleanor nagle stało się dla niego czymś nie do zniesienia. Jakby dotykanie jej sprawiało mu ból. A może to świadomość, że nie mógł jej dotknąć, choć tak desperacko pragnął to zrobić, była tak bolesna?

Cofając się o krok, wciąż jednak patrzył jej prosto w oczy.

– Przepraszam... – wyszeptał, krzywiąc się, jakby to słowo było wyjątkowo nieprzyjemne w smaku.



Eleanor go nie zatrzymała, gdy wyszedł z pokoju. Nie ruszyła się z miejsca, nawet nie drgnęła. Była w stanie tylko patrzeć, jak jego sylwetka znika w ciemnościach korytarza.

Odszedł, a ona nie mogła pozbyć się wrażenie, że wraz ze sobą zabrał także coś jeszcze – maleńki fragment jej serca, który tego wieczoru nieświadomie mu podarowała.



## Rozdział 20

Eleanor ani tym bardziej Vincent nie zdawali sobie sprawy z tego, że tej nocy byli wzajemnie powodem trapiącej ich bezsenności.

Oddaleni od siebie o zaledwie kilka kroków, dzielili ten sam problem – nie potrafili zapomnieć. O pocałunku, który niespodziewanie miał miejsce, ani o wieczorze, jaki dane im było wspólnie spędzić. Nie byli w stanie zapomnieć o sobie nawzajem. O tym, jak w przypiływie zgubnej chwili wyrzucili z umysłów fakt, że nie byli dla siebie czymś więcej niż ulotnym momentem i zatarcili się w sobie bez opamiętania. Bez wyrzutu, bez ułamka zawahania.

Być może najbardziej przerażający okazał się dla nich fakt, że przyszło im to z łatwością, o jaką nie śmieliby się podejrzewać.

Vincent skradł z kobiecych ust wiele pocałunków, ale dlaczego odnosił wrażenie, że to Eleanor ukradła coś jemu?

Leżał bez ruchu na kanapie w jej salonie, pragnąc to zrozumieć, ale z każdą godziną coraz mocniej ogarniało go wrażenie, że jego myśli jedynie bardziej się rozbiegały. Nie lubił tego uczucia – gdy nie rozumiał tego, co czuł. Gdy nie potrafił nad tym zapanować, choć wiedział, że powinien.

Nieodgadnionym wzrokiem wpatrywał się w sufit. Chłodne powietrze wdzierające się do mieszkania przez uchylone okno delikatnie pieściło jego skórę, przepędzając senność i niwelując zmęczenie. Za każdym razem, kiedy zamykał oczy, by spróbować zasnąć, utwierdzał się w przekonaniu, że tej nocy nie zazna tego luksusu.

W gęstej ciszy co jakiś czas słyszał ciche skrzyknięcia materaca, gdy Eleanor w przypiływie irytacji przekręcała się na drugą połowę łóżka. Minęło kilka nieznośnie długich godzin, zanim w końcu udało jej się zasnąć.

Gdy pierwsze blade promienie słońca wkradły się do salonu przez okno, musnęły po drodze stary fotel oraz regał z książkami i ostatecznie odnalazły drogę do policzków Vincenta, złodziej rozchylił zaciśnięte dotąd powieki. Następnie zrzucił z siebie ciepły koc i usiadł na brzegu kanapy.

Choć przez całą noc nie zasnął nawet na sekundę, kilka godzin na miękkiej kanapie i tak było miłą odmianą od spania w samochodzie.

Włożył buty, a także czarny płaszcz, po czym wyszedł na korytarz. To właśnie wtedy po raz pierwszy się zawahał.

Początkowo chciał po prostu wyjść – zniknąć bez pożegnania, jak miał w zwyczaju. Zanim jednak skierował się do drzwi, poczuł nienaturalną potrzebę, by jeszcze raz spojrzeć na Eleanor. Zatrzymał się w progu jej sypialni i z ciężko bijącym sercem skierował wzrok w stronę łóżka.

Dziewczyna spała zakopana w jasnej pościeli, z ciemnymi włosami rozrzuconymi na białej poduszce. I, jeżeli to w ogóle było możliwe, wydawała się piękniejsza niż kiedykolwiek wcześniej.

Vincent zamknął oczy, zaczerpnął głębiej powietrza, po czym odwrócił się, zamierzając zrobić to, co powinien był zrobić już dawno temu – odejść, nie oglądając się przy tym za siebie.

Zdążył postawić zaledwie marny krok, gdy ciszę zmaćniło pukanie do drzwi. Spodziewał się kolejnej wizyty wścibskiej sąsiadki. Jak wielkie okazało się więc jego zdziwienie, kiedy w progu zauważył młodą kobietę. Była piękna, elegancka i...

Vincent zmarszczył brwi, gdy ich spojrzenia się skrzyżowały. Nie potrafił określić, jakiego koloru były jej oczy.

– Och. – Nieznajoma odgarnęła długie czarne włosy za ucho, uniosła spiczasty podbródek, a następnie zerknęła na numer mieszkania, jakby chciała się upewnić, że nie pomyliła budynków. – Kim jesteś? – zapytała, po czym niemal natychmiast przewróciła oczami. – Niech zgadnę. Moja nedorzeczna młodsza siostra znów wynajęła mieszkanie naszej matki, bo zapewne wyrzucili ją z pracy i była zbyt dumna, żeby poprosić mnie o pieniądze, prawda?

Vincent nie słuchał słów, które opuszczały jej usta. Przez cały czas patrzył jedynie w jej oczy, próbując zrozumieć, dlaczego nie potrafił nazwać ich koloru. Były niebieskie? A może zielone?

Wtem niespodziewanie tuż za nim rozbrzmiał zaszpany głos Eleanor:

– Olimpia?

Vincent odwrócił głowę i dostrzegł dziewczynę na drugim krańcu wąskiego korytarza. Wychodząc w pośpiechu z łóżka, niedbale narzuciła na ramiona błękitny satynowy szlafrok. Czarne włosy okalające jej twarz zakręcały się w różne strony.

Pomyślał o tym, jak bardzo była piękna nawet teraz – nie do końca jeszcze wyrwana z objęć snu.

– Co tutaj robisz? – zapytała, podchodząc bliżej drzwi.

Mocniej otuliła ciało szlafrokiem, by ochronić je przed chłodem poranka, i cicho odchrząknęła, chcąc nadać nieco więcej siły głosowi.

– Ja i Greg jesteśmy przejazdem w mieście, więc pomyślałam, że cię odwiedzę, ale... – Olimpia, kimkolwiek tak właściwie była, zerknęła na Vincenta. – Nie sądziłam, że masz gościa.

Eleanor za wszelką cenę unikała spojrzenia na złodzieja. Odsuwając się w bok, mruknęła niewyraźnie:

– Wejdz.

Olimpia przekroczyła próg mieszkania, rozglądając się z grymasem, jakby znalazła się w jakiejś obrzydliwej stacji metra. W białej garsonce wyglądała na starszą, niż była w rzeczywistości, a wyraz jej twarzy – twardy i obojętny – nadawał jej poważniejszego tonu. Wyglądała jak jedna z bogatych, znudzonych życiem istot, które patrzyły na wszystko i na wszystkich z góry, ponieważ pogarda płynęła w ich żyłach równie szybko jak krew.

Po tym, jak znalazła się w salonie, strzepnęła z kanapy kurz, którego wcale tam nie było, zanim niepewnie zdecydowała się na niej usiąść, nie powstrzymując się przed kolejnym grymasem, kiedy jedna ze sprężyn materaca zaskrzypiała.

Vincent nawet na moment nie oderwał od niej spojrzenia. Przystanął w wejściu, wyraźnie zaintrygowany, kompletnie nie pamiętając o tym, że zaledwie kilka minut wcześniej pragnął zniknąć stąd bez słowa.

Olimpia przypominała odbicie Eleanor uwięzione w popękany lustrze – z pozoru wydawała się podobna, ale wystarczyło przyjrzeć się nieco dogłębniej, by spostrzec, jak wiele je od siebie dzieliło.

– Powinnaś zrobić tu remont. – Przerwała trwającą od dłuższej chwili niezręczną ciszę.

Eleanor nie usiadła obok siostry. Stała nieopodal starego fotela, wyraźnie spięta, z twarzą pozbawioną wyrazu, jakby bała się, że gdyby tylko spuściła emocje ze smyczy, te by nią zawładnęły.

Tymczasem Olimpia znów przesunęła spojrzeniem po otaczającej ją przestrzeni. Nie pasowała do tego miejsca.

– Ściany wymagają odmalowania i chyba nadszedł czas, żeby wymienić meble. – Napotkała wzrok Eleanor. – Chyba niczego tutaj nie zmieniałaś od czasu...

– Napijesz się czegoś? – wtrąciła nerwowo, przyciągając uwagę złodzieja.

Vincent z zaskoczeniem odkrył, że to, co cieniem rzuciło się na twarz Eleanor Cullen, było tak naprawdę strachem. Jeszcze dziwniejszy okazał się jednak fakt, iż nie mógł znieść myśli, że El się bała.

Olimpia zdobyła się na uśmiech.

– Domyślam się, że nie masz do zaoferowania niczego prócz herbaty i taniej kawy, prawda? – W tych cierpkich słowach kryło się więcej stwierdzenia niż pytania. – Tak myślałam. W takim razie dziękuję.

Vincent lekko zmarszczył brwi, kiedy dostrzegł, że Eleanor z drzeniem zaczerpnęła tchu. Zaciśnęła dłonie na przedramionach z taką siłą, że jej knykcie pobieleły.

Była przerażona i znów chciała uciec, a on nie mógł jej na to pozwolić.

Przecież właśnie to obiecał – poprzysiągł, że zrobi wszystko, by uczynić ją silną. I zamierzał dotrzymać obietnicy.

– Nie przedstawiś mnie? – zapytał, przypominając o swojej obecności.

Ułamek sekundy później poczuł na sobie ciężar ich uwagi.

Gdy spojrzenia jego i Eleanor po raz pierwszy tego ranka się spotkały, w piersi złodzieja narodził się załazek bólu. Nie lubił jej takiej widzieć – słabej, zagubionej i przerażonej.

– Ach, tak. – Kąciki jej ust zadrzały w czymś, co przypominało niewyraźny uśmiech. – To Olimpia, moja starsza siostra, a to Vincent, mój... – zawiesiła głos.

– Narzeczony – dokończył, podejmując tę decyzję za nią.

Olimpia otworzyła nieco szerzej oczy, nawet nie starając się ukryć zdziwienia.

W tej samej chwili Eleanor znów skupiła uwagę na Vincencie. On natomiast obdarzył ją spokojnym uśmiechem, jakby próbował bezgłośnie zapewnić, że doskonale wie, co robi.

– Och. – Olimpia odchrząknęła. – Cóż, wygląda na to, że od mojej ostatniej wizyty w Nowym Orleanie naprawdę wiele rzeczy uległo zmianie. – Wstała na równe nogi, pełnym gracji ruchem wygładzając materiał białej spódniczki. – Z chęcią o tym posłucham podczas kolacji. – Spojrzała najpierw na Vincenta, a później na wciąż milczącą Eleanor. – Szósta? W *Le Chat Noir*?

Eleanor drgnęła na dźwięk głosu siostry, odwróciła głowę i rozchyliła usta, chcąc coś powiedzieć.

Złodziej ją jednak ubiegł:

– Zjawimy się.

Olimpia przerzuciła przez ramię małą skórzaną torebkę.

– Świetnie. – Przeniosła wzrok na młodszą siostrę – Odprowadzisz mnie do wyjścia, El?

Eleanor skinęła głową.

– Oczywiście.

Gdy Vincent został sam w małym salonie, pozwolił, by jego powieki opadły. W milczeniu słuchał dźwięku kroków kobiet, a potem trzasku drzwi. Nie pożegnały się ani nie wymieniły uścisku. Po prostu się rozstały, jak zupełnie obce sobie osoby.

Wiedział, że Eleanor będzie na niego zła. Nie zdziwił się więc, gdy usłyszał tuż za sobą jej zirytowany głos:

– Oszalałeś?

Otworzył oczy i zerknął na nią spokojnie przez ramię.

– Sądziłem, że doskonale zdajesz sobie z tego sprawę.

Prychnęła.

– Nie chcę, żebyś więcej wtrącał się w moje życie prywatne, jasne? – Skrzyżowała ramiona na piersi. – Zadzwoń do niej i spróbuj jakoś to odkręcić. – Odwróciła się na pięcie.

– Naprawdę zamierzasz dać jej tę satysfakcję? – zapytał, czym sprawił, że przystanęła.

Dostrzegł, że jej ramiona zadrzały, gdy z płuc wyrwał się ciężki oddech.

Coś głęboko w jej sercu, jakiś marny kawałek tego, co niegdyś nazwałaby szczęściem, zapiekło z bólu.

– Nie próbuj szukać moich słabych punktów – szepnęła, wiedząc, że stał tuż za nią.

– Jeżeli się ich nie pozbędziesz, one same w końcu cię dopadną – powiedział.

Eleanor przełknęła z trudem, po czym, nie mówiąc nic więcej, zniknęła w sypialni.

Vincent poszedł jej śladem, stawiając bezgłośnie, wolne kroki. Kiedy pojawił się w pomieszczeniu, zgarniała porozrzucane ubrania z podłogi, starając się odszukać wśród nich telefon. Przez chwilę po prostu patrzył na malujący się na jej twarzy grymas irytacji, zanim zdecydował się zapytać:

– Jak bardzo musiała cię skrzywdzić, że przez cały ten czas nie wspomniałaś o niej nawet słowem?

Eleanor zamarła. Przysiadła powoli na brzegu materaca, zamknęła oczy, a po chwili głęboko odetchnęła.

– Pozwól sobie pomóc.

– Nie musisz tego dla mnie robić. – Obdarzyła go spojrzeniem. – Nie prosiłam cię o taką przysługę. Nie prosiłam, żebyś dla mnie kłamał.

– Jesteśmy partnerami, Eleanor. Nie musisz prosić.

– Ja...

– Czyż nie obiecałem ci, że wszyscy, którzy kiedykolwiek cię skrzywdzili, teraz za to zapłacą? Czyż nie tak brzmiała nasza umowa? Pozwól mi się z niej wywiązać.

Barki Eleanor uniosły się i opadły, przygniecione ciężarem niepewności.

Minęła chwila, zanim w końcu znów na niego spojrzała i powiedziała:

– Będziesz potrzebował garnituru.

\*\*\*

– Eleanor?

Oderwała wzrok od rozciągającej się za boczną szybą ulicy i spojrzała na Vincenta.

– Wszystko w porządku? – zapytał, na co nieznacznie się uśmiechnęła.

– Nie jestem pewna – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Czuła na sobie ciężar jego spojrzenia nawet kilka sekund po tym, jak znów wyjrzała przez szybę. W oddali, pomiędzy gęstych konarów wysokich drzew, zaczął powoli wyłaniać się oszklony budynek *Le Chat Noir*, jednej z najpopularniejszych restauracji w okolicy. Niebotycznie drogiej, ekskluzywnej i z całą pewnością takiej, w której Eleanor za żadne skarby świata nie pojawiłaby się z własnej woli. Nie była jednak zdziwiona, że Olimpia wybrała właśnie to miejsce. Nie spodziewała się po niej niczego innego.

Eleanor wiedziała, że wciąż miała czas na ucieczkę. Problem polegał na tym, że nie chciała uciekać, nawet jeśli w tym momencie było to najprostsze rozwiązanie.

Strach jednak nie odpuszczał, a właściwie zdawał się nabierać na sile, gdy Vincent zaparkował samochód na kamiennym podjeździe, oświetlonym słabym blaskiem padającym z wysokich latarni. Cała otoczka tego miejsca byłaby w stanie zaprzeć dech w piersi, gdyby El była jeszcze w stanie normalnie oddychać.

Wysiadła z auta, poprawiając materiał czarnej sukienki, która przylegała do ciała. Przeniósła wzrok na budynek, po czym wypuściła z płuc długi wydech, by choć odrobinę uspokoić nieznośnie szybko bijące serce. Drgnęła, gdy Vincent niespodziewanie chwycił jej dłoń i splótł razem ich palce. Spojrzała na niego z rezerwą, przełknęła z trudem ślinę i zdobyła się na lekki uśmiech.

– Wiesz, że nie musisz tego dla mnie robić, prawda? – przypomniała po raz drugi.

Nie wiedziała, co chciała przez to powiedzieć. Może w głębi ducha wciąż liczyła, że złodziej przyzna jej rację i po prostu stąd odjadą?

– Mam odmówić sobie tak wyśmienitego przedstawienia? – zapytał, unosząc jasną brew.

– Czy wszystko jest dla ciebie wyłącznie kwestią zabawy, Vincencie?

– Nie należy traktować życia zbyt poważnie, skoro doskonale wiemy, jak się ono skończy, prawda?  
– odparł, jakimś cudem sprawiając, że ucisk oplatający żołądek Eleanor odrobinę zmaleł.

Może miał rację? Może przejmowała się wszystkim o wiele bardziej, niż powinna?

– Chodźmy...

Zatrzymał ją, zanim zdołała postawić choćby krok w stronę kamiennych schodów.

– Zapomniałem o najważniejszym – wyjaśnił, gdy spojrzała na niego pytająco. – Jeżeli mamy grać, zrobmy to tak, jak należy – dodał. – Eleanor Cullen, czy uczynisz mi ten zaszczyt i na ten jeden wieczór zechcesz zostać moją narzeczoną?

Tym razem Eleanor nie zdołała zapanować nad lekkim uśmiechem.

– Tak – odpowiedziała. Poczowała, że Vincent odrobinę mocniej chwycił jej dłoń. Jakimś cudem zdołała dodać jej to odrobinę odwagi, której tak bardzo potrzebowała. – Chodźmy – szepnęła, gotowa zmierzyć się z tym, przed czym tak długo uciekała.

*Le Chat Noir* mieściło się nieopodal serca Nowego Orleanu, a wystrój tego miejsca bazował głównie na drewnie i ciepłym, żółtym oświetleniu, które rzucało delikatną poświatę na okrągłe stoliki.

Przy wejściu Eleanor i Vincent pozbyli się płaszczy, a potem ruszyli za kelnerem, który poprowadził ich przez zatłoczoną salę. Mimo wielu zajętych stolików w lokalu panowała względna cisza. Słysząc było jedynie pojedyncze śmiechy i przyciszone głosy.

Cóż, może bogaci ludzie nie mieli tak właściwie o czym ze sobą rozmawiać?

Ta myśl na moment tak zaabsorbowała umysł Eleanor, że dopiero dłoń Vincenta, która niespodziewanie spoczęła u dołu jej pleców, uświadomiła dziewczynie, iż dotarli na miejsce.

Ich stolik ustawiono w kącie sali, z dwóch stron otoczony był rzędem ogromnych okien, częściowo skryty przed wzrokiem innych gości.

Podczas gdy Olimpia ozięble uniosła wzrok znad menu, które trzymała w dłoniach, jej mąż Greg zerwał się z miejsca na ich widok, niemal uderzając przy tym sporym brzuchem o blat stołu.

Eleanor przez brak zażytych kontaktów z siostrą miała okazję spotkać go dotychczas tylko raz, sześć lat wcześniej, w dniu ich ślubu, na który niechętnie została zaproszona. Od tego czasu Greg przytył oraz posiwił, przez co dziesięcioletnia różnica wieku dzieląca jego i Olimpię była teraz widoczna bardziej niż wcześniej.

– Greg Lloyd. – Ucisnął dłoń Vincenta, a potem z uśmiechem zerknął na Eleanor. – Miło wreszcie cię zobaczyć. Minęło sporo czasu.

– To prawda – zgodziła się, pozwalając, by złodziej odsunął dla niej krzesło.

Gdy wszyscy usiedli przy stoliku, Eleanor podobnie jak jej starsza siostra chwyciła menu, aby ukryć drżenie rąk.

– Muszę przyznać, że bardzo się ucieszyłem, gdy Olimpia poinformowała mnie, że zjemy dzisiaj wspólnie kolację. – Greg zadbał o to, aby cisza nie gościła między nimi dłużej, niż było to uznawane za naturalne.

El zdobyła się na kolejny uśmiech. Coś wciąż zaciskało się wokół jej gardła, sprawiając, że nie była w stanie wydusić z siebie choćby słowa.

– Nam również jest niezmiernie miło. Prawda, kochanie? – Vincent zwrócił się do Eleanor.

– Tak – potwierdziła.

Przy ich stoliku pojawił się młody kelner. Greg zamówił butelkę wina o dziwnie brzmiącej nazwie, po czym podjął kolejny temat:

– Tak dawno nie mieliśmy okazji się spotkać, że mamy wiele rzeczy do nadrobienia...

– Takich jak na przykład to, co stało się z Lucasem – wtrąciła nagle Olimpia.

Miała w naturze atakowanie zniechęca, w najmniej dogodnym momencie, gdy nikt się tego nie spodziewał.

Na dźwięk imienia, które opuściło jej usta, Eleanor wyraźnie się spięła, choć powinna być na to przygotowana. Znała Olimpię lepiej niż ktokolwiek inny.

– Sądziłam, że tworzyliście zgraną parę. Byliście razem przecież całe dwa lata...

– Trzy – poprawiła ją, nie potrafiąc się przed tym powstrzymać.

– No właśnie. – Zaśmiała się krótko, choć w tym dźwięku próżno byłoby doszukiwać się czegoś prócz kpiny i szyderstwa. – To naprawdę spory kawał czasu.

Olimpia Lloyd była wybitną aktorką. Jak nikt inny potrafiła kogoś wyśmiać i w tym samym momencie wyglądać na przesadnie miłą.

Przy stole nagle zapadła cisza odrobinę dłuższa od poprzedniej.

Greg, chcąc nieco rozluźnić atmosferę, sprawnie zmienił temat:

– Nasza firma otworzyła nowy oddział w Lafayette<sup>10</sup>. Właśnie dlatego wstąpiliśmy po drodze do Nowego Orleanu. A ty, Vincencie? – Z pogodnym uśmiechem zerknął na mężczyznę. – Czym się zajmujesz?

– O mojej profesji lepiej nie mówić głośno – odpowiedział, sięgając po kieliszek z winem.

Greg cicho się zaśmiał.

– Więc jesteś agentem amerykańskiego wywiadu albo płatnym mordercą...

– Albo złodziejem – dodał Vincent.

Lloyd zareagował podobnie jak chwilę wcześniej, ukradkiem zerkając w stronę Olimpii. Przypominali ogień i wodę. Trudno było uwierzyć, że rzeczywiście byli małżeństwem.

– Może jeszcze wina? – zaproponował.

Vincent spojrzał na Eleanor.

– Napijesz się? – zapytał.

Dziewczyna drgnęła na brzmienie jego głosu, tak innego od przesiąkniętego wyższością tonu siostry.

– Chętnie – odparła, zmuszając się do uśmiechu.

Przy jednym ze stolików nieopodal młoda kobieta zaśmiała się perlistym śmiechem, przerywając trwającą w lokalu nużącą ciszę.

Podczas gdy Greg zajął się rozlewaniem wina, Olimpia znów zaatakowała:

– Jak się poznaliście?

Zanim Eleanor zdołała zebrać myśli i uformować je w słowa, Vincent odpowiedział:

– Wpadliśmy na siebie na przyjęciu. Poprosiłem El o taniec i...

– I natychmiast skradł moje serce – dokończyła, czując, że nie powinna tak długo milczeć. Odnalazła pod stołem ciepłą dłoń złodzieja i chwyciła się jej o wiele mocniej, niż powinna.

Chwilę później poczuła na sobie ciężar spojrzenia siostry – przenikliwy, badający, szukający w niej oznaki słabości. Miała wrażenie, że powoli znika, staje się bledsza, niewyraźna, słaba...

Wstrzymała oddech, gdy Vincent splótł razem ich palce, a potem delikatnie przejechał kciukiem po wierzchu jej dłoni. Ten z pozoru nic nieznaczący gest był cholernie kojący i tak bardzo potrzebny. Dodał Eleanor siły, której w tym momencie jej brakowało.

– Cóż za romantyczna historia – skomentowała Olimpia.

– To prawda – zgodził się Vincent. – Jeśli pominie się kilka istotnych szczegółów.

– To znaczy? – zaciekała się kobieta.

Vincent spojrzał na Eleanor, przywdziewając na twarz uśmiech, który zdawał się tak idealnie pasować do zaistniałej sytuacji.



- Była moim zleceniem – wyjaśnił.
- Zleceniem? – powtórzyła.
- Miałem ją zabić – dodał, odwzajemniając spojrzenie Olimpiii.

Greg zaniósł się ochryplym śmiechem, odnajdując w słowach złodzieja nawiązanie do tego, co wcześniej powiedział.

To nagłe poruszenie przy stoliku sprawiło, że kilka siedzących w pobliżu par zerknęło w ich kierunku, nie starając się ukryć zniesmaczenia i oburzenia.

Na twarzy Olimpii znów zagościł grymas. Nawet gdyby żart rzeczywiście ją rozśmieszył, nie pozwoliłaby, żeby kącik jej ust choćby drgnął. Była zbyt dumna, aby się zaśmiać. Zbyt zimna, by pokazać, że potrafiła czuć coś więcej niż obojętność, znudzenie i pogardę.

W tamtej chwili Eleanor po raz pierwszy pomyślała o tym, że właściwie wcale jej nie znała. Choć były biologicznymi siostrami i przez wiele lat mieszkały w tym samym domu, dzieląc pokój, kobieta, na którą teraz patrzyła, była kimś zupełnie obcym.

Olimpia nigdy jej nie kochała. El nie miała co do tego wątpliwości, jednak nie potrafiła zrozumieć, w którym dokładnie momencie obojętność przerodziła się w nienawiść.

Stało się to po śmierci mamy czy jeszcze za jej życia?

Olimpia zakłóciła falę śmiechu Grega, zwracając się do Vincenta:

– Zapalimy? – zaproponowała.

Zanim Eleanor zdołała napomknąć, że Vincent nie palił, złodziej odpowiedział:

– Z chęcią.

\*\*\*

Choć Vincent rzeczywiście stronił od papierosów – nie znosił ich duszącego zapachu równie mocno jak wytrawnego wina – rozumiał znaczenie wypowiedzianych przez Olimpię słów. Były zaproszeniem, z którego nie mógł nie skorzystać.

Gdy wyszli na rozległy taras okalający restaurację z południowej strony, zaproponowała mu papierosa. Nie wydawała się zaskoczona, kiedy odmówił.

– Nie palisz – rzuciła, odpalając cygaretkę. Objęła ją chudymi, lekko drżącymi palcami. – W takim razie zapewne domyślasz się, że po prostu chciałam, żebyśmy zostali sami.

Nie odpowiedział, pozwolił, aby to ona mówiła.

Zawsze wychodził z założenia, że milczenie było złotem. Szczególnie w obecności ludzi pokroju Olimpii Lloyd, którzy aż nazbyt bardzo lubili przebywać w centrum uwagi. Lubili, gdy się ich słuchało.

– Posłuchaj... – zaczęła, odwracając się ku niemu z papierosem między palcami. Jej dłoń drżała odrobinę bardziej niż chwilę wcześniej. – El to moja młodsza siostra. Nie chcę, żeby znowu wpakowała się w kłopoty...

– I to właśnie troska sprawiła, że nagle znów pojawiłaś się w jej życiu, czy chodzi po prostu o mieszkanie? – przerwał jej typowym dla siebie spokojnym tonem głosu.

– Co?

Vincent uśmiechnął się na widok grymasu, który zagościł na jej twarzy.

– To doprawdy urocze, że troszczysz się o Eleanor. Choć zastanawiający jest fakt, że ta troska pojawiła się tak nagle. Gdzie była przez ostatnie lata?

Z ust Olimpii wyrwało się coś na pograniczu prychnięcia i prześmiewczego śmiechu.

Vincent obserwował jej profil, gdy powoli zaciągnęła się dymem. Im dłużej się jej przyglądał, tym mniej widział w niej swojej Eleanor. Była tylko jej marnym cieniem, pozbawionym blasku. Nieudaną podróbką. Marną kopią.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz. – Zgasiła papierosa na metalowej barierce. – Jeżeli chcesz wykorzystać jej głupotę, lepiej odpuść... – Pokręciła głową.

– To ostrzeżenie czy groźba? – zapytał.

– To dobra rada – odparła.

Vincent znów się uśmiechnął. Nie potrafił nad tym zapanować. Prawy kącik jego ust samoistnie drgnął ku górze.

– W takim razie pozwól, że ja także dam ci dobrą radę... – zaczął.

Olimpia rozchyliła usta, lecz słowa zamarły jej w gardle, kiedy odwróciła głowę i zorientowała się, jak bardzo mężczyzna się do niej przybliżył. Znalazł się tak blisko, że czuła mocny zapach jego perfum oraz bijące od niego ciepło. Cholera, jakim cudem poruszał się tak cicho, że nawet nie zdała sobie z tego sprawy?

Przełknęła ślinę, gdy nieśpiesznie omiótł wzrokiem jej twarz. Było w nim coś, czego nie potrafiła nazwać. Coś zarazem niepokojącego, jak i intrygującego. Właśnie dlatego nie chciała, aby ten mężczyzna, kimkolwiek był, kręcił się obok Eleanor.

Jej młodsza siostra nigdy nie potrafiła sama o siebie zadbać. Była niczym małe zagubione dziecko, które potrzebowało nieustannej opieki, by znów nie wpakować się w tarapaty.

Olimpia nie chciała być za nią odpowiedzialna, ale gdy ich matka zmarła, nie miała innego wyjścia. Nie mogła pozwolić, aby Eleanor przez własną głupotę zaprzepaściła wszystko, co odziedziczyła.

Wstrzymała oddech, kiedy Vincent spojrzał jej prosto w oczy. Mimo narastającego w niej niepokoję nie zdecydowała się odwrócić wzroku.

– Jeżeli jeszcze raz nazwiesz Eleanor głupią czy choćby krzywo na nią spojrzysz... – Zawiesił głos na ułamek sekundy. – Obiecuję, że nasze następne spotkanie nie będzie tak miłe. – Pochylił się, by kolejne słowa wyszeptać tuż obok jej ucha. – Ze wszystkich okrutnych rzeczy, jakie można mi zarzucić, niedotrzymywanie obietnic jest ostatnią.



## Rozdział 21

Przez resztę wieczoru Olimpia unikała spojrzenia Eleanor. Odkąd ona i Vincent wrócili do stolika, wypowiedziała łącznie może trzy pełne zdania i kilka pojedynczych słów. Rozmowę nieustannie starał się podtrzymać Greg. Opowiedział o basenie, który planowali w najbliższym czasie wybudować w ogrodzie willi w Los Angeles. Napomknął także o tym, że Vincent i Eleanor powinni koniecznie odwiedzić ich podczas najbliższego lata.

Jego żona jedynie przytakiwała lub zdawkowo się uśmiechała, co nie było w jej stylu ani nie mogło wróżyć niczego dobrego.

Gdy Eleanor, zdziwiona tak nagłą zmianą w zachowaniu siostry, posłała złodziejowi pytające spojrzenie, ten chwycił jej dłoń, uniósł ją do ust i złożył delikatny pocałunek na knykciach, nie odrywając spojrzenia od oczu dziewczyny. Ten drobny, pełen czułości gest sprawił, że trapiące ją obawy nagle zeszły na dalszy plan.

Jednocześnie coś nieznośnie ciężkiego opadło na jej serce.

Uśmiechnęła się więc nerwowo, nie pozwalając sobie na powrót wspomnieniami do poprzedniej nocy i do zgubnej, niepotrzebnej chwili zapomnienia. Wyswobodziła dłoń z jego uścisku i skupiła się na własnym talerzu. Praktycznie nie tknęła zamówionej sałatki.

Greg, który w końcu również zwrócił uwagę na milczenie żony, zapytał:

– Wszystko w porządku, skarbie?

Olimpia obdarzyła go kolejnym lakonicznym uśmiechem, po czym przyłożyła opuszki palców do skroni w iście teatralnym geście i wykrzywiła wargi w grymasie, aby dodać autentyczności swojemu przedstawieniu.

– Po prostu rozboleła mnie głowa – poinformowała.

Greg z troską w głosie zaproponował:

– Może wrócimy do hotelu? Powinnaś odpocząć. – Odwrócił głowę w kierunku Eleanor i Vincenta.

– Nie będziecie mieli nic przeciwko, jeżeli was opuścimy?

El poczuła ulgę, że ta szopka wreszcie dobiegała końca.

– Nie. Oczywiście, że nie.

Olimpia nie obdarzyła jej nawet krótkim spojrzeniem. Po prostu pozwoliła, by mąż pomógł jej wstać i okrył jej ramiona jasnym płaszczem.

– To my zaprosiliśmy was na kolację, więc uregulujemy rachunek przy wyjściu – zwrócił się do nich Greg. – Miło było was zobaczyć. Mam nadzieję, że niebawem znowu będziemy mieli okazję to powtórzyć. Och, i pamiętajcie, że zaproszenie na lato wciąż jest aktualne.

Kiedy zostali przy stoliku we dwoje, Eleanor wyciągnęła dłoń, jednak zanim chwyciła kieliszek z winem, Vincent zabrał naczynie z jej zasięgu. Gdy obrzuciła go spojrzeniem, wyjaśnił:

– Wypiłaś prawie pół butelki.

– Jak zapewne zdążyłeś zauważyć, przebywanie w obecności mojej siostry na trzeźwo nie jest proste. – Pochyliła się, zmniejszając dzielącą ich odległość. – Mógłbyś... – Urwała, gdy zadarła podbródek i zorientowała się, że ich twarze znalazły się zbyt blisko siebie. – Oddać mi mój kieliszek?

– Zabiorę cię stąd – zaproponował. – Dobrze?

Eleanor westchnęła. Nie miała siły się z nim spierać.

– Dobrze. – Pozwoliła, by Vincent pomógł jej wstać. Kiedy kilka minut później wyszli przed restaurację, była mu wdzięczna, że nie dał jej wypić już ani kieliszka więcej. Dopiero teraz poczuła, że może była o wiele bardziej pijana, niż początkowo sądziła.

– Przejdziemy się? – zaproponował.

– Nie możemy po prostu... – Urwała, kiedy wyciągnął ku niej rękę.

Jej ramiona zdrząły, gdy spojrzała na stojącego przed nią złodzieja.

– Spacer dobrze ci zrobi.

Wiedziała, że miał rację. Ostatnim, czego pragnęła, było obudzenie się następnego dnia z kacem. Chwyciła więc jego dłoń i nie protestowała, gdy sprowadził ją ze schodów. Kiedy znaleźli się na chodniku, niemal natychmiast przyciągnął ją do siebie, jakby się bał, że była na tyle pijana, iż mogłaby upaść.

Minęli kilka pustych ławek, zanim dotarli do znajdującego się obok restauracji parku. Dochodził późny wieczór, więc większość budek z jedzeniem, które mijali, zaczęła się zamykać.

– Mogę zapytać, co takiego powiedziałaś mojej siostrze, że przez całą kolację bała się na mnie spojrzeć? – przerwała ciszę, pragnąc zaspokoić ciekawość.

– Kilka brzydkich słów – odparł. – Nie musisz się tym martwić.

– Pytam poważnie.

– Dlaczego tak bardzo się tym przejmujesz? – zaciekawiał się.

Eleanor przystanęła, delikatnie się odsunęła i spojrzała na twarz Vincenta.

Białe kosmyki dotknięte wiatrem osunęły się na jego czoło i skronie, a ona nagle zapragnęła unieść dłoń i je odgarnąć. Z trudem zdołała się przed tym powstrzymać.

– Miałaś kiedyś rodzinę?

– Nie.

Zmarszczyła brwi, nie kryjąc zdziwienia.

– Nie? – powtórzyła.

– Wychowałem się w domu dziecka – wyznał z zadziwiającą łatwością, jakby opowiadał historię kogoś obcego, a nie własną.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie – zapewnił, wzruszając ramionami.

Przez chwilę mu się przyglądała, pragnąc zrozumieć, czy rzeczywiście był tak obojętny na własny los, czy po prostu tak świetnie udawał. Gdy poruszyła bezgłośnie ustami, pojęła, że nie miała pojęcia, co powinna powiedzieć. Może w chwilach takich jak ta nie istniało nic bardziej odpowiedniego niż milczenie?

W końcu wzięła głębszy wdech i właśnie wtedy dostrzegła coś ponad ramieniem mężczyzny. Coś, co przyciągnęło jej uwagę na tyle, że wszystko inne nagle przestało mieć znaczenie.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech. Nie obdarzając Vincenta słowem wyjaśnienia, ruszyła przed siebie.

– Eleanor, dokąd... – Zamilkł, gdy zrozumiał, że popędziła w kierunku jednej z budek z jedzeniem.

Podążył jej śladem, chowając dłonie w kieszeni płaszcza. Dogonił dziewczynę w tej samej chwili, w której starsza sprzedawczyni podała jej zamówienie.

Kiedy El odwróciła się ku niemu z najbardziej rozbrajającym i szczerym uśmiechem, jaki miał okazję ujrzeć na jej twarzy, coś oplotło jego serce mocniej niż w jakiegokolwiek wcześniejszej zgubnej chwili. Nie chciał nazwać tego uczucia. Nie chciał nadać mu imienia, ponieważ to, co raz nazwane, zostawało z człowiekiem na zawsze. A on nie mógł sobie na to pozwolić.

Przystanął, czekając, aż to ona do niego przyjdzie.

– Chyba nie wybaczyłabym sobie, gdybyś nie spróbował ze mną swojego pierwszego mrożonego jogurtu. – Wręczyła mu tekturowy kubeczek. – To najlepszy smak. Waniliowy z kawałkami czekolady. No dalej, spróbuj.

Nie mógł jej odmówić, nawet gdyby pragnął to zrobić. Nie, gdy stała przed nim tak bardzo szczęśliwa. Dlatego chwycił plastikową łyżeczkę i spróbował tego dziwnego połączenia lodów i jogurtu.

– I jak? – zapytała.

– Jest bardzo... słodkie – przyznał.

Eleanor przygarbiła ramiona, a na jej twarz wkradł się grymas.

– Nie musisz kłamać, żeby mi poczuła się lepiej.

– Kłamstwo to moje trzecie imię.

– Trzecie? – Uniosła brew. – Jakie jest drugie?

– Edward.

Eleanor szeroko otworzyła piękne oczy, a na jej twarz powrócił uśmiech.

– Vincent Edward... Jak właściwie brzmi twoje nazwisko?

– Nikt go nie zna i nikt nigdy go nie pozna – stwierdził, a po chwili odwrócił się i ruszył przed siebie. Usiadł na jednej z pustych ławek.

– Hej, daj spokój. – Eleanor zajęła miejsce tuż obok niego. – Przecież jesteśmy partnerami, prawda? Nie powinniśmy mieć przed sobą tajemnic.

– To co innego.

– Dlaczego? – Nie odpuszczała. – Twoje nazwisko jest śmieszne?

– Jest normalne, ale niezbyt za nim przepadam.

– Dlaczego?

Vincent westchnął. Spojrzał na Eleanor z góry, mrużąc przy tym oczy.

– Zadajesz zbyt wiele pytań. Jak dziecko.

– Po prostu jestem ciekawa. – Wzruszyła ramionami.

– Więc nie bądź.

Eleanor wyduła wargi, lecz gdy złodziej był już niemal pewien, że w końcu dała za wygraną, znów udowodniła mu, w jak wielkim tkwił błędzie.

– Ty wiesz o mnie praktycznie wszystko, a ja o tobie właściwie niewiele. Nie uważasz, że to nieco niesprawiedliwe?

– Jesteś już zbyt dużą dziewczynką, by wierzyć, że na tym świecie uchowała się sprawiedliwość.

Eleanor z westchnieniem opadła na oparcie ławki. Przez kolejną chwilę nie odezwała się słowem, jedynie patrzyła w przestrzeń, a uśmiech stopniowo przycisnął na jej twarzy.

– Chyba trochę ci zazdroszczę – szepnęła, przyciągając jego uwagę – że nie masz rodziny. Czasami ona nie jest darem, tylko przekleństwem. – Wzięła głęboki wdech i zamknęła oczy. – Ja i Olimpia, jak zapewne zdążyłeś się domyślić, nie jesteśmy kochającym się rodzeństwem. Ona mnie nienawidzi...

– Nie sądzę, by miała ku temu powod.

Kiedy El odwróciła głowę i odwzajemniła jego spojrzenie, Vincent dostrzegł w jej oczach smutek. Zapragnął zrobić cokolwiek, aby się go pozbyć, lecz nigdy nie był w tym dobry – w rozmawianiu i pocieszaniu. Potrafił wyłącznie kraść i kłamać.

– Czasami jedynym powodem może być to, że istniejesz. – Wzruszyła ramionami. – Nienawidziła mnie od zawsze, ale kiedy nasza mama zmarła... – Pokręciła powoli głową. – Zachowuje się tak, jakby to była moja wina. Jakby przeze mnie zachorowała.

Vincent zerknął na jej dłoń. Oparła ją na ławce, a jej palce kurczowo zaciskały się na drewnie.

– Nigdy nie miałyśmy dobrego kontaktu, ale po śmierci mamy kompletnie go straciłyśmy.

– Dlaczego tak bardzo ci na tym zależy? Na jej miłości?

Eleanor smutno się uśmiechnęła.

– Bo kiedy nie masz obok siebie już nikogo, desperacko szukasz kogokolwiek, kto mógłby sprawić, że przestaniesz być sama.

– Nie jesteś sama, Eleanor. Masz mnie.

Spojrzała na niego i pokręciła głową.

– Ale ty w końcu znikniesz, prawda? – zapytała.

Vincent milczał. Być może sam nie chciał usłyszeć odpowiedzi. Może tej nocy, gdy siedzieli w opustoszałym parku, każde z nich potrzebowało odrobiny złudnego kłamstwa i gasnącej powoli nadziei?

– Znikniesz – odpowiedziała za niego i spojrzała na wiszące nad ich głowami niebo. – Wszystko, co piękne, nie zostaje w moim życiu na dłużej niż uderzenie serca. – Zamknęła oczy i uśmiechnęła się blado.

Vincent znów zerknął na jej dłoń i przesunął ręką po zimnej powierzchni ławki. Na ułamek sekundy przed tym, jak ich palce się zetknęły, Eleanor zabrała rękę, rozchyliła powieki i wstała na równe nogi.

Spojrzała na złodzieja, sprawiając, że wrócił myślami do rzeczywistości.

– Zrobiło się zimno – szepnęła.

– Tak – zgodził się. – Wracajmy do domu, Eleanor.

\*\*\*

Eleanor nie od razu zorientowała się, że coś było nie tak, jak być powinno. Dopiero gdy w korytarzu z pomocą Vincenta pozbyła się płaszczka i ruszyła w kierunku sypialni, jej wzrok mimowolnie powędrował w stronę salonu.

Właśnie wtedy dostrzegła panujący tam bałagan. Przystanęła gwałtownie, co nie umknęło uwadze złodzieja.

– Eleanor?

– Nie – szepnęła, zrywając się z miejsca. – Nie, nie, nie...

Podeszła do regału, po drodze mijając porzucane na podłodze książki, które jej mama tak uwielbiała i o które tak sumiennie dbała: *Opowieść o dwóch miastach*, *Córkę zegarmistrza* i francuskie wydanie *Małego Księcia*.

Drżącymi dłońmi wyjęła stare pudełko, które przez wszystkie te lata tkwiło wciśnięte między grube tomy. Usiadła na podłodze, uniosła wieko i cicho jęknęła, nie odnajdując w pudełku tego, co powinno wciąż bezpiecznie w nim tkwić.

Drewniana podłoga skrzypnęła, gdy Vincent przekroczył próg salonu. Rozejrzał się, ale oprócz rozrzuconych książek nie dostrzegł niczego niepokojącego.

– Eleanor? – powtórzył, zatrzymując na niej spojrzenie.

– Zabrała ją – szepnęła. – Zabrała pozytywkę mojej mamy...

– Jakim cudem się tu dostała? – zapytał.

– Ma komplet zapasowych kluczy. Dałam je jej na wszelki wypadek. Kilka lat temu. – Pociągnęła nosem, po czym słabo się zaśmiała. – Mogłam się tego spodziewać. Moja siostra nigdy nie zjawia się bez powodu. To nie leży w jej naturze.

Vincent podszedł o krok bliżej, sprawiając, że Eleanor zerknęła na niego przez ramię. Zatrzymał się, czując na sobie ciężar spojrzenia jej smutnych oczu.

– El...

– To nic – zapewniła, jednak nie umiała kłamać tak wiarygodnie jak on. Głos miała bowiem niepokony i niewyraźny, jakby usilnie walczyła o to, by się nie rozplakać. Następnie powoli wstała i odłożyła pudełko na miejsce. Jej dłonie wciąż delikatnie drżały.

Przez cały ten czas Vincent nie odrywał od niej wzroku.

– Jutro tutaj posprzątam – oznajmiła, w końcu się ku niemu odwracając.

Zdołała postawić zaledwie niewielki krok, zanim jej nogi się zachwiały. Złodziej natychmiast się przy niej znalazł i mocno objął jej talię, nie pozwalając jej upaść.

– Pomogę ci – powiedział, zanim zdążyła zaprotestować.

Po raz kolejny tego wieczoru zrezygnowała ze zgrywania silnej i dała za wygraną. Z pomocą Vincenta dotarła do sypialni, gdzie usiadła na miękkim materacu.

– Mogę sama... – zamilkła, gdy uklękł tuż przed nią, chwycił jej kostkę, po czym zdjął z jej stopy czarną szpilkę.

Nie potrafiła oderwać od niego spojrzenia. W milczeniu walczyła z tym dziwnym uczuciem, które przeszło ją na wskroś, gdy jego smukłe palce delikatnie zetknęły się ze skórą.

Dlaczego tak bardzo uwielbiała sposób, w jaki jej dotykał? Dlaczego, mimo prób, nie potrafiła pozostać na to zupełnie obojętna?

Kiedy pozbawił ją drugiego buta i uniósł głowę, aby spojrzeć jej w oczy, Eleanor wolnym od nieśmiałości tonem odważyła się zapytać:

– Zostaniesz? – Dostrzegłszy na jego twarzy załóżek zawahania, pośpiesznie dodała: – Tylko dopóki nie zasnę. Nie chcę... – Głos odmówił jej posłuszeństwa. – Nie chcę być dzisiaj sama.

Vincent przytaknął, po czym wstał i podszedł do drzwi tylko po to, by zgasić światło.

Sypialnię zalał mrok tak gęsty, że Eleanor odniosła wrażenie, jakby bezwstydnie dotykał jej skóry.

Wgramoliła się pod pościel, ułożyła głowę na miękkiej poduszce i w panującej wokół ciszy nasłuchiwała dźwięku stawianych przez Vincenta kroków. Poruszał się jednak tak, jak to miał w zwyczaju – bezgłośnie.

Materac ugiął się pod ciężarem drugiego ciała.

Vincent położył się tuż obok i utkwiał wzrok w suficie. Nie minęła nawet chwila, zanim usłyszał cichy głos Eleanor:

– Dziękuję za to, co dzisiaj dla mnie zrobiłeś.

– To nic wielkiego. Po prostu byłem obok.

– Czasami nie trzeba niczego więcej – szepnęła, jakby uznała, że w tej chwili cisza była ich najlepszym towarzystwem.

Złodziej zamknął oczy. Odpędził senność, która zaczęła powoli wkradać się do jego umysłu. Wiedział, że nie mógł sobie na nią pozwolić.

– Eleanor? – zapytał.

– Tak?

– Była cenna, prawda? Pozytywka, która należała do twojej mamy.

– Nie sądzę – zaprzeczyła. – W sklepie ze starociami zapewne nie dostałabym za nią więcej niż kilka dolarów.

– Nie to miałem na myśli.

– Wiem – mruknęła. – Mama miała ją od urodzenia. Chyba dostała ją od swojej mamy, kiedy była jeszcze bardzo mała. Nie wiem, dlaczego tak bardzo ją lubiła, ale czasami, kiedy myślała, że zasnęłam, wyciągała ją z pudełka, kładła na stoliku i słuchała płynącej z niej melodii. Czasami przy tym płakała. Niekiedy się uśmiechała. Tyle razy chciałam zapytać, o czym wówczas myślała.



– Dlaczego nigdy tego nie zrobiłaś?

Usłyszał, że głęboko odetchnęła.

– Bo to była jej tajemnica. Tylko jej. Każdy powinien jakąś mieć. Nie chciałam jej tego odebrać. – Zawahała się. – Zastanawiałeś się kiedyś, jacy byli twoi rodzice?

– Nie – odparł zgodnie z prawdą.

– Nigdy nie chciałeś ich odnaleźć?

Nie odpowiedział od razu.

– Nie, Eleanor.

– Dlaczego?

– Bo wówczas musiałbym zapytać, dlaczego mnie nie chcieli. Myślę, że to była ich tajemnica. Jak mógłbym im to odebrać?

– Przykro mi, że przez cały ten czas byłeś zupełnie sam – mruknęła sennie.

Vincent uniósł powieki, odwrócił głowę, wtulił twarz w poduszkę i spojrzał na Eleanor. Zdołał dostrzec jej twarz nawet mimo otaczającej ich ciemności.

Dzieląca ich odległość była tak niewielka, że gdyby tylko zdecydował się odrobinę przesunąć, mógłby poczuć bijące od niej ciepło i ten rozkosznie słodki zapach, za którym niespodziewanie zatęsknił.

– Nie chcę, żebyś zniknął – szepnęła tak cicho, że ledwie zdołał usłyszeć jej słowa. – Naprawdę tego nie chcę, Vincencie...

Przełknął z trudem ślinę, czując, jakby jego gardło oplatał drut kolczasty, który z każdym kolejnym kłamstwem opuszczającym jego usta zaciskał się coraz mocniej.

Po raz pierwszy od lat Vincent miał wrażenie, że czegoś się boi. Nie wiedział jednak czego. I może nie chciał wiedzieć. Niekiedy niewiedza bywa o wiele lepsza niż prawda. Dzięki temu świat wydaje się mniej przerażający.

Dzięki temu to, co czyniła z nim Eleanor Cullen, życie wydawało się mniej przerażające.

Chciał żyć w tym słodkim kłamstwie najdłużej, jak tylko było to możliwe, nieustannie wmawiając sobie, że gdy nadejdzie odpowiedni czas, zdoła ją zostawić.

– Ja też tego nie chcę – odpowiedział, dopiero gdy był pewien, że Eleanor zasnęła.

Przez moment pozwolił sobie na nią patrzeć, a potem przepędził nużące zmęczenie i powoli się podniósł.

Istniało bowiem jeszcze tak wiele grzechów, które tej nocy zamierzał popełnić.



## Rozdział 22

– Wychodzisz?

Greg Lloyd przystanął przed drzwiami i przez ramię zerknął na stojącą w wejściu do hotelowej sypialni żonę. Ubrana w długą narzutkę z czarnej satyny przypominała nienaturalnie wysoki i chudy cień żywego człowieka. Cholera, mógłby przysiąc, że chwilę wcześniej spała.

– Tak – odparł, przywdziewając na twarz lekki uśmiech. – Skoczę na moment do hotelowego baru. Możesz do mnie dołączyć, jeżeli tylko masz ochotę. – Gdy Olimpia rozchyliła blade wargi, dodał jak zwykle uprzejmym i spokojnym tonem głosu: – Wybacz, zapomniałem, że źle się poczułaś na kolacji z Eleanor. Chyba będzie lepiej, jeśli zostaniesz w łóżku i odpoczniesz.

Kąciki ust kobiety nieznacznie zadrżały pod wpływem grymasu lub uśmiechu, do którego pragnęła się zmusić.

– Tak – przyznała. – Masz rację.

– Nie czekaj na mnie – polecił, a następnie sięgnął po płaszcz.

Po co właściwie był mu potrzebny, skoro Greg zamierzał zejść tylko do mieszczącego się kilka pięter niżej baru? Najwyraźniej mężczyzna liczył, że Olimpia o tym nie pomyśli. Skąd mógł wiedzieć, że jego żona od wielu tygodni rozwodziła się nad każdą błahostką – nad białą chusteczką w kieszeni jego marynarki, nad rachunkiem z restauracji oddalonej o kilkanaście mil od centrum Los Angeles, gdzie mieszkali, nad przedłużającymi się spotkaniami biznesowymi i nagłymi sprawami, które zazwyczaj w porze kolacji wyciągały go z domu?

Zamierzała z nim o tym porozmawiać. Wiedziała, że nie istniało rozsądniejsze wyjście niż skonfrontowanie go z tym, co każdej nocy spędzało jej sen z powiek. Za każdym razem, gdy była blisko tego, aby w końcu się odezwać, słowa zamierały jej na ustach, zbyt ciężkie i straszne, by mogła je wypowiedzieć.

– Dobranoc, Olimpio. – Znów się do niej uśmiechnął.

– Dobranoc, Greg – odpowiedziała kilka sekund po tym, jak zniknął za drzwiami hotelowego pokoju, zostawiając ją samą w ogromnym, pustym i zimnym apartamencie.

Nie ruszyła się jednak z miejsca. Zamiast tego, wciąż wpatrzona w punkt, w którym po raz ostatni widziała męża, uniosła dłoń i drżącymi palcami dotknęła złotego naszyjnika z zawieszka z niebieskiego szafiru. To był prezent na ich piątą rocznicę.

Greg był świetny w prezentach. Zawsze wiedział, czego pragnęły kobiety, które spotykał. Być może właśnie dlatego z taką łatwością skradał ich serca? Czy istniało coś bardziej romantycznego niż mężczyzna gotowy ozdobić cię najpiękniejszymi klejnotami, szepcząc czułe słowa o tym, że żaden z nich nie może równać się z twoim blaskiem?

Olimpia zamknęła oczy i z drzeniem wypuściła z płuc powietrze. Wkroczyła do ogromnego salonu, gdzie z barku wyjęła butelkę drogiego wina. Napełniła nim kieliszek mniej więcej do połowy i w drodze do łóżka wypita jego znaczną część. Wiedziała, że tylko w ten sposób zdoła zasnąć. Tabletki przepisane przez lekarza już dawno przestały na nią działać.

Zsunęła z ramion satynową narzutkę, pozwalając, by ta opadła u jej stóp, i opróżniła kieliszek. Następnie odstawiła szkło na stolik i położyła się do łóżka.

Sen nie nadszedł od razu. To nigdy nie było tak proste. Gdy jednak wreszcie przyszedł, przywiódł kolejne nocne koszmary, którym dzięki alkoholowi nie musiała zbyt długo stawiać czoła.

Kiedy kilka godzin później ze snu wyrwał ją cichy trzask, zegarek na nocnej szafce wskazywał 1:28.

Olimpia wydała z siebie cichy pomruk, kiedy przesunęła dłonią po miękkim materacu i nie natrafiła na przeszkodę w postaci drugiego ciała. Niechętnie uniosła ciężkie powieki i rozejrzała się po skąpanym w mroku pomieszczeniu.

– Greg? – Jej głos zadrżał. Od alkoholu lub zmęczenia. Sama nie była pewna. – To ty?

Odpowiedziała jej jedynie cisza.

Być może ten dźwięk był tylko wybrykiem jej umysłu? Może powinna darować sobie kolejną lampkę wina tuż przed zaśnięciem?

Usiadła na brzegu materaca. Długie, czarne włosy opadły na jej policzki, a nagie ramiona zaatakował zimny powiew.

Z salonu dobiegło skrzypnięcie drewnianej podłogi.

Olimpia poderwała głowę.

– Greg? – zapytała ponownie, ale i tym razem nie doczekała się odpowiedzi.

Wstała, przytrzymując się zagłówka łóżka. Na podłodze odnalazła narzutkę, okryła nią ramiona, po czym wyszła z sypialni.

Za ogromnymi oknami rozciągał się widok na nocną panoramę Nowego Orleanu. Greg wynajmował apartamenty w najlepszych hotelach w mieście, tylko po to, by niemal każdej nocy zostawić ją w nich samą.

Upewniwszy się, że drzwi były zamknięte, Olimpia skierowała się w stronę barku. Chwyliła czysty kieliszek i napełniła go winem. Kiedy uniosła szkło do ust, odwróciła się, by podążyć do sypialni. Wtedy jej wzrok ponownie przesunął się po zalanym mrokiem salonie. Jeden z welurowych foteli nie był pusty.

Kieliszek wypadł Olimpii z dłoni i z trzaskiem rozbił się na posadzce. Gdy chwiejnie się cofnęła, poczuła pod bosymi stopami lepkie białe wino.

– Co do...

Vincent leniwie rozchylił powieki i obdarzył kobietę spokojnym spojrzeniem.

Olimpia nie była pewna, jakim cudem wcześniej go nie zauważyła. Być może przyczynił się do tego fakt, że ubrany od stóp do głów w czerń niemal wtapiał się w panującą w pomieszczeniu ciemność? A może ostatnim, czego się spodziewała, było spotkanie we własnym apartamencie człowieka, którego poznała zaledwie kilka godzin wcześniej?

– Jak się tu dostałeś? – zapytała.

– Ukradłem z recepcji zapasową kartę do pokoju – odparł, nie wyglądając, jakby żartował.

Olimpia głęboko odetchnęła.

– Czy Greg...

– Nie ma go tutaj – wtrącił. – Chciałem, żebyśmy zostali zupełnie sami.

Stawiając kolejny krok w tył, wpadła na drewniany barek. Wiedziała, że tuż za nim stał stolik, a dalej...

– Oszczędzę ci trudu – zakłócił jej myśli. – Odłączyłem telefon. Nigdzie nie zadzwonisz.

Olimpia się zawahała.

– Kim tak właściwie jesteś?

Na bladej twarzy Vincenta odmalował się cień uśmiechu – złowieszczonego i tak cholernie niepokojącego, że kobietę przeszył gwałtowny dreszcz.

– Jeżeli zechcę, twoim największym koszmarem.

Olimpii zaschło w gardle i przesunęła się odrobinę bliżej ściany. Przez cały czas czuła na sobie ciężar spojrzenia mężczyzny. Wiedziała, że uważnie śledził każdy jej ruch, podczas gdy ona w

ciemności mogła dostrzec tylko zarys jego sylwetki.

– Jeżeli moja siostra kazała ci...

– Eleanor nie wie, że tu jestem – przerwał jej.

– W takim razie dlaczego? – zapytała.

Vincent, zamiast odpowiedzieć, powoli podniósł się z fotela. Następnie nieśpiesznie okrążył stół, rozbity kieliszek oraz rozlane wino i podszedł do barku.

Olimpia przycisnęła plecy do ściany, z szaleńczo bijącym sercem obserwując poczynania mężczyzny.

– Niechętnie muszę przyznać, że mnie zaintrygowałaś, co wyjątkowo rzadko ma miejsce. Zapewne przyczynił się do tego fakt, że jesteś siostrą Eleanor.

Chwycił nowy kieliszek smukłymi palcami.

Kobieta przesunęła się odrobinę w bok, wciąż nie odrywając spojrzenia od Vincenta.

– Jesteś całkiem dobrą aktorką – dodał. – Choć Eleanor jest pewna, że prowadzisz idealne życie, oboje wiemy, że się myli, prawda?

Olimpia przełknęła z trudem.

Vincent uniósł wzrok i przesunął wzrokiem po butelkach wina.

– Nie mam pojęcia, o czym...

– Owszem, masz – stwierdził. – I zapewne doskonale zdajesz sobie sprawę także z tego, że twój mąż właśnie pieprzy inną kobietę, czyż nie?

Olimpia zacisnęła drżące wargi.

Vincent w końcu chwycił jedną z butelek.

– To właśnie dlatego pijesz – dodał. – Zapewne od dawna, sądząc po drzeniu twoich dłoni.

Kobieta utkwiała spojrzenie w napełniającym się powoli kieliszku. Jej oddech stał się nieznośnie ciężki, a serce boleśnie tłukło o żebra. Nie potrafiła nad nim zapanować.

– Eleanor jest pewna, że jej nienawidzisz, ale ty po prostu jesteś zazdrosna – kontynuował miarowym tonem głosu. – Właśnie dlatego postanowiłaś ją odwiedzić? W nadziei, że jej życie okaże się odrobinę gorsze od twojego, prawda? – Po raz pierwszy od dłuższej chwili przeniósł na nią wzrok. – Powiedz mi, czy to sprawiło, że poczułaś się lepiej?

Olimpia rozchyliła wargi, lecz zanim z jej ust padło choć słowo, Vincent wyciągnął ku niej kieliszek z białym winem. Nie przybliżył się jednak nawet o krok.

– Niczego o mnie nie wiesz – wyszeptowała, odwzajemniając jego spojrzenie.

W jego ciemnych oczach błysnęło coś złowieszczonego i niepokojącego.

– Czyż właśnie w kilku zdaniach nie opisałem marności twojego idealnego życia, Olimpio?

Coś zacisnęło się wokół gardła kobiety. Być może była to bolesna świadomość, z którą sama tak długo nie chciała się zmierzyć? A może po prostu przerażał ją fakt, jak desperacko pragnęła wyciągnąć dłoń, chwycić kieliszek i napić się tego pieprzonego wina?

Znów z trudem przełknęła, odrobinę mocniej przyciskając plecy do ściany.

Wiedziała, że Greg nie był wierny. Wiedziała od tym od bardzo dawna i nie potrafiła go za to nienawidzić. Nie mogła go nienawidzić. Kim właściwie bez niego była? Gdyby zdecydowała się odejść, skończyłaby tak jak Eleanor – w starym mieszkaniu ich matki. A przecież nie mogła sobie pozwolić na powrót do życia, którym przez wiele lat tak gardziła.

– Czego właściwie chcesz? – zapytała.

Prawy kącik ust Vincenta drgnął ku górze w subtelnym uśmiechu, na widok którego Olimpię ogarnęło duszące przerażenie.

Chciała, aby zniknął. Miała wystarczająco dużo własnych demonów. Nie potrzebowała kolejnego.

Zadrżała, gdy przybliżył się o krok. Drewniana podłoga nawet nie skrzyknęła pod naciskiem jego butów. Poruszał się z nieopisaną gracją i eterycznością. Gdyby nie obserwowała uważnie, zapewne nawet nie zorientowałaby się, że się do niej przysunął.

Kiedy znalazł się na tyle blisko, że lekko się pochylił i zrównał z jej twarzą, spojrzął kobiecie prosto w oczy.

– Masz coś, co nie należy do ciebie.



## Rozdział 23

Tego ranka Eleanor niespodziewanie obudził przyjemny zapach kawy, który wypełnił jej sypialnię równie mocno, co wkradające się przez okno promienie jesiennego słońca.

Zanim zdecydowała się unieść powieki, na jej twarzy zagościł leniwy uśmiech. Przez zgubny moment poczuła się tak jak dawniej, gdy jej życie nie było pasmem dziwacznych momentów i złych chwil. W poranki takie jak ten zwykle Lucas budził się jako pierwszy. Robił dla niej kawę, którą piła podczas śniadania. Potem brała ciepły prysznic i wspólnie wychodzili do pracy.

Ale nawet najpiękniejsze złudzenie w końcu musi zmierzyć się z rzeczywistością.

Kiedy Eleanor wreszcie postanowiła otworzyć oczy, zorientowała się, że leżała w małym łóżku, w starym mieszkaniu swojej mamy i nie miała narzeczonego ani pracy. Odetchnęła ciężko, czując suchość w gardle – skutek wina, które wypila poprzedniego wieczoru.

Wydając z siebie cichy jęk, przewróciła się na drugi bok i spod zmrużonych brwi zerknęła w kierunku stojącego na nocnej szafce zegarka, by sprawdzić, czy nie przespała przypadkiem całego dnia.

Właśnie wtedy niemal tuż przed jej oczami pojawiła się stara pozytywka. Z jej dolnej części odchodziła biała farba, a plastikowa baletnica miała charakterystyczne pęknięcie na lewym policzku, przez co jej twarz wyglądała niemal groteskowo.

Eleanor nie mogła pomylić tej pozytywki z niczym innym.

Pośpiesznie zerwała się do pozycji siedzącej, chwyciła przedmiot w dłonie, a następnie z gorączkowo bijącym sercem przekręciła korbkę.

Stary mechanizm złowieszczo zaskrzypiał, zanim wydał z siebie pierwsze dźwięki *Jeziora Łabędziego*. Plastikowa baletnica zaczęła się powoli obracać, co jakiś czas znajomo się zacinając.

To z pewnością była pozytywka, która niegdyś należała do mamy Eleanor.

Dziewczyna nie musiała zbyt długo zastanawiać się nad tym, jakim cudem zdołała ją odzyskać. Nagle dotarła do niej nieprzyjemna woń spalenizny.

Skrzywiła się, po czym odłożyła pozytywkę bezpiecznie na stolik i postawiła bose stopy na miękkim dywanie. Wyszła z sypialni, po drodze narzucając na ramiona ciepły szlafrok. Wciąż miała na sobie sukienkę, którą założyła poprzedniego wieczoru na kolację z Olimpią i Gregiem.

Wiedziona nieprzyjemnym zapachem, szybko dotarła do kuchni, gdzie natknęła się na Vincenta. Nie byłoby w tym niczego dziwnego – złodziej od dawna czuł się w tym mieszkaniu niebywale swobodnie – gdyby nie fakt, że stał przy kuchence i z kolorowym fartuszkiem narzuconym na białą koszulę próbował odkleić spaloną jajecznicę od patelni. Ten niecodzienny widok tak rozbawił Eleanor, że z jej gardła niespodziewanie wyrwał się krótki śmiech.

Vincent spojrzał na dziewczynę i głęboko odetchnął.

– Mogę wiedzieć, co robisz w mojej kuchni? – zapytała.

Na twarzy złodzieja odznaczył się lekki grymas.

– Planowałem zrobić dla nas śniadanie – odparł, a po chwili przestał walczyć z jajecznicą. – Ale ono nie chce się odkleić.

– Pewnie zapomniałeś użyć masła. – Wzruszyła ramionami, sprawiając, że mężczyzna uniósł brew w zaskoczeniu. – Poczekaj... – Kąciki jej ust zadrżały. – Robieś już wcześniej jajecznicę, prawda?

Za odpowiedź wystarczył kolejny grymas, jaki zagościł na twarzy mężczyzny.



Istniało wiele rzeczy, które zaskakiwały Eleanor w Vincencie, ale ta szczególnie ją rozbawiła.

Przekroczyła próg kuchni, stanęła tuż obok złodzieja, zabrała mu patelnię z rąk, a następnie włożyła ją do zlewu.

– Jakim cudem potrafisz ukraść praktycznie wszystko, ale nie umiesz zrobić prostego śniadania?

– Czy gdybym potrafił także świetnie gotować, nie byłbym zbyt idealny? – zapytał, gdy znów na niego zerknęła. – Uznaj to za moją jedyną wadę.

I tym razem nie zdołała zapanować nad uśmiechem. Przesunęła spojrzenie w dół i pomyślała o tym, że wyglądał uroczo w fartuszk, który kiedyś należał do jej mamy. Był to chyba pierwszy raz, kiedy widziała, że miał na sobie coś w kolorze innym niż czerni, biel czy szarość.

Jakim cudem wyglądał we wszystkim tak nedorzecznie dobrze?

– Doceniam twoje starania i dobre chęci, ale nigdy więcej się za to nie zabieraj, proszę. To była moja jedyna patelnia. – Pokręciła głową. – Posprzątam to, a potem zrobię nam coś do jedzenia...

– Obawiam się, że już nie mam na to czasu – przerwał jej spokojnie. – Muszę kupić garnitur na dzisiejszy wieczór.

Eleanor nie była pewna, czy słowo „kupić” w ustach złodzieja rzeczywiście oznaczało zdobycie czegoś za pieniądze, czy może po prostu było to jedno z jego słodkich kłamstw.

– Na dzisiejszy wieczór? – powtórzyła, odwracając ku niemu głowę.

Pozbył się fartuszka i znów był sobą – idealnie i nienagannie eleganckim.

– Istnieje pewna sprawa, którą musimy się zająć przed naszym wielkim dniem – stwierdził, boleśnie przypominając jej, jak niewiele czasu pozostało do ślubu Lucasa i Carli.

Nagle Eleanor straciła apetyt.

– Zjawię się po ciebie o szóstej. O szczegółach opowiem ci na miejscu. Załóż coś nieprzesadnie eleganckiego. Najlepiej czerni.

– Vincencie? – zatrzymała go, zanim zniknął w korytarzu.

– Tak, najdroższa? – zapytał, a następnie poprawił mankiety białej koszuli.

El znów pomyślała o tym, że wyglądał zadziwiająco dobrze nawet w najmniej dogodnych sytuacjach. Chryste, wyglądał dobrze nawet teraz, mimo że jego włosy wciąż znajdowały się w sennym nieładzie.

– Znalazłam pozytywkę, którą zostawiłeś na mojej szafce. Jakim cudem zdołałeś ją odzyskać?

– To nie było tak trudne, jak sądzisz. Wystarczyło kilka brzydkich słów i trochę bolesnej prawdy. – Obdarzył ją typowym dla siebie uśmiechem, zawierającym o wiele więcej tajemniczości niż kiedykolwiek wcześniej.

– Powiedz mi, czy chcę wiedzieć, co takiego zrobiłeś? – zapytała.

– Nie, Eleanor. Z pewnością nie.

Złodziej odwrócił się w stronę korytarza, jednak zanim zdołał ruszyć w kierunku wyjścia, ponownie go zatrzymała:

– Wiesz, że właśnie zrobiłeś dla mnie coś miłego?

Problem polegał na tym, że Vincent aż zbyt dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Nie był jednak pewien, co trapiło go bardziej – fakt, że posunięcie się do dobrego uczynku przyszło mu z taką łatwością, czy może świadomość, że zrobił to tylko dla Eleanor.

Gdy zerknął na nią przez ramię, znów nałożył na twarz nonszalancki uśmiech.

– Doprawdy sądzisz, że jestem do cna zły? – zapytał.

– Nie. To ty tak sądzisz, Vincencie – odparła.

Uśmiech mężczyzny nieco zbladł, a drogę do jego serca znów odnalazło to nostalgiczne, obezwładniające uczucie, które nieustannie uświadamiało mu, że Eleanor Cullen być może jako jedna

z nielicznych osób na tym świecie zdołała ujrzeć w nim coś, czego sam nie chciał w sobie widzieć.

– Szósta – przypomniał. – Bądź gotowa.

Obdarzyła go lekkim uśmiechem.

– Oczywiście.

Po tym, jak Vincent wyszedł, Eleanor nieśpiesznie zjadła śniadanie, a później uprzątnęła bałagan w salonie. Dopiero gdy odłożyła wszystkie książki na miejsce, zajęła się starą pozytywką – ostrożnie umieściła ją w kartonie po porcelanowej zastawie i schowała na jednej z półek wysokiego regału.

Przez moment myślała nad tym, czy nie powinna zostawić jej na widoku, zamiast chować w starym kartonie, gdzie coraz bardziej marniała. Szybko jednak przypomniała sobie, dlaczego wcześniej jej nie wyjęła. Ta z pozoru zwykła rzecz niosła za sobą wspomnienia, a te z kolei, niebywale bolesne i ciężkie, były wciąż zbyt świeże, aby El zdecydowała się z nimi zmierzyć.

Choć od śmierci mamy minęło już tak wiele lat, wciąż nie potrafiła przejrzeć jej rzeczy w szafie czy pozbyć się jej ulubionych mebli, nawet jeśli były już zbyt zniszczone, by nadawały się do użytku.

Podobnie było z jej ukochaną pozytywką. Eleanor po prostu lubiła świadomość, że ona była gdzieś tuż obok. Nie potrzebowała niczego więcej.

Gdy wszystko wróciło do normalności, dziewczyna mogła zająć się przygotowaniami do nadchodzącego wieczoru. Vincent nie zdradził jej zbyt wielu szczegółów, więc postawiła na klasyczną czarną sukienkę, szpilki w tym samym kolorze i minimalistyczny, bardzo naturalny makijaż.

Krótko przed szóstą stanęła przed lustrem w skąpanym w mroku korytarzu, by włożyć srebrne kolczyki, które miały stanowić dopełnienie całej stylizacji.

Jej serce zabiło mocniej w przerażeniu, gdy niespodziewanie dostrzegła odbicie znajomej sylwetki.

– Musisz przestać się tak skradać – szepnęła, pochylając się w kierunku lustra, aby włożyć kolczyk.

Vincent stał kilka kroków za nią. Miał na sobie czarny garnitur, białą koszulę, cienki krawat oraz elegancki płaszcz. Wyraz jego twarzy jak zawsze pozostawał idealnie spokojny.

Eleanor, czując na sobie dotyk spojrzenia jego ciemnych oczu, zerknęła na niego przez ramię.

– Coś nie tak? Jeżeli ubrałam się nieodpowiednio, mogę jeszcze...

– Obawiam się, że w tej kwestii nie jestem ani trochę obiektywny.

– Słucham?

Znów to zrobił. Znów przesunął spojrzeniem w dół, bezwstydnie dotykając każdego skrawka jej ciała.

– Nawet gdy jesteś ubrana w pizamę, mam wrażenie, że nie możesz być już bardziej piękna. – Odnalazł jej wzrok.

Wypowiedział te słowa z taką łatwością, że Eleanor nie była pewna, czy nie karmił jej kolejnym złudnym kłamstwem. Czasami, w chwilach bardzo podobnych do tej, zapominała, jak świetnym był manipulatorem.

– Uznam to za komplement. – Posłała mu uśmiech, a następnie odwróciła się w stronę lustra i założyła drugi kolczyk.

Gdy cofnęła się o krok, jej ramiona okrył ciepły, jasny płaszcz.

Vincent pojawił się tuż za nią, zlepiiony z mrokiem niczym z najlepszym przyjacielem. Z każdej strony otoczył ją jego zapach – rozkosznie mocny i brutalnie słodki zarazem.

– Nadal nie powiedziałeś mi, co zaplanowałeś na dzisiejszy wieczór – przypomniała, sprawiając, że odnalazł odbicie jej oczu w zwierciadle.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Na ustach Eleanor znów zagościł uśmiech.

Obawiała się, że pierwszy krok do piekła miała już dawno za sobą.

\*\*\*

Miejsce, do którego tego wieczoru zabrał ją Vincent, mieściło się nieopodal brzegu rzeki Missisipi. Budynek, w całości zbudowany z tworzywa do złudzenia przypominającego czarny marmur o nieco nieregularnych kształtach, choć nigdy przez Eleanor nieodwiedzany, nie był jej całkowicie obcy.

Jeden z najpopularniejszych domów aukcyjnych w mieście zastąpił kilka lat wcześniej, gdy sprzedał obraz francuskiego malarza za blisko czterdzieści milionów dolarów, dzięki czemu przez kilka tygodni zajmował pierwsze strony lokalnych gazet.

Eleanor nie miała pojęcia, jaki powód mógł skierować ich w to miejsce. Kiedy już miała o to zapytać, ze wszystkich stron otoczyły ją złote ściany oraz bogate wnętrze domu aukcyjnego, przez co na moment zapomniała o tym, co trapiło jej myśli.

Tuż naprzeciw wejścia wisiała replika obrazu *Wielkiej fali w Kanagawie*<sup>11</sup>, zakłeta w ciężkiej zdobionej ramie. Tuż pod nią ustawiono białe kwiaty w wysokich wazonach, a sufit przypominał sklepienie.

– Eleanor?

Głos Vincenta sprawił, że dziewczyna oderwała spojrzenie od otaczającej ją przestrzeni i zerknęła w jego kierunku. Stał kilka kroków dalej, z wyciągniętą ku niej dłonią.

– Idziemy? Licytacja niebawem się zacznie.

– Tak.

Pozwoliła, aby ujął jej rękę tak, jak robił to niemal zawsze – z wręcz rozbijającą i chwytającą za serce delikatnością. Potem zaprowadził ją do kolejnej sali, w której zaczęli gromadzić się goście.

To pomieszczenie nie było tak bogato urządzone jak poprzednie. Tuż przed niewielkim podestem ustawiono rzędy plastikowych składanych krzeseł.

Eleanor i Vincent zajęli miejsce mniej więcej pośrodku, między starszą parą a młodym mężczyzną w jasnym garniturze.

– Czy teraz możesz mi już zdradzić, co tu robimy? – zapytała, nieznacznie się ku niemu pochylając.

Vincent niespodziewanie odwrócił ku dziewczynie twarz, przez co ich nosy niemal się o siebie otarły.

Eleanor poczuła na ustach smak jego oddechu, a potem dotyk jego spojrzenia na policzkach.

– Jak myślisz, Eleanor, co się stanie, gdy już ukradniemy pierścionek? – zapytał.

Dziewczyna rozchyliła wargi, ale szybko pojęła, że nie znała odpowiedzi.

Vincent zareagował na to pełnym zrozumienia uśmiechem.

– Jeśli zamierzasz coś ukraść, ale nie chcesz zostać przyłapanym, co robisz?

– Nie dam się złapać?

Złodziej pokręcił głową.

– Nie, Eleanor. Musisz czymś zappełnić puste miejsce, prawda?

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Co masz na myśli?

Złodziej znów się uśmiechnął, po czym uniósł wzrok i odpowiedział:

– To.

Eleanor odwróciła głowę w tym samym momencie, w którym pracownicy domu aukcyjnego wnieśli na podest pierwszy obiekt licytacji. Z tej odległości nie potrafiła dostrzec, co kryło się za szklaną gablotką. Dopiero gdy na ścianie wyświetliło się zdjęcie poglądowe, jej oczom okazał się pierścionek z brylantem, który sprawił, że po sali rozniosły się pełne poruszenia szepty.

Pierścionek był piękny i do złudzenia przypominał ten, który nie tak dawno miała okazję nosić. Nie był idealną kopią, ale ktoś, kto nie miał sposobności ujrzeć oryginału z bliska, zapewne nie dostrzegłby tych niuansów, które nie umknęły uwadze Eleanor.

Prowadzący pojawił się na podwyższeniu i donośnym głosem zakłócił poruszenie:

– Obiektem pierwszej licytacji jest pierścionek z brylantem, który widzą państwo na monitorze. Jego masa wynosi cztery karaty metryczne, czyli niespełna osiemdziesiąt gramów. Wartość oszacowana przez jubilerów to sto osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Licytację rozpoczniemy od kwoty siedemdziesięciu pięciu tysięcy...

Jedna z tabliczek powędrowała ku górze.

– Osiemdziesiąt dwa tysiące!

Starsza para siedząca tuż obok Eleanor również włączyła się do licytacji:

– Osiemdziesiąt trzy tysiące!

Przez kolejne minuty trzech licytujących na zmianę rzucało coraz większe kwoty. Gdy suma doszła do dziewięćdziesięciu siedmiu tysięcy, tuż obok Eleanor niespodziewanie rozbrzmiał głos Vincenta:

– Sto tysięcy!

Odwróciła ku niemu wzrok.

– Co robisz? – szepnęła, czując na sobie wiele spojrzeń.

W pomieszczeniu zaległa cisza.

Serce Eleanor zabiło nieznośnie mocno. Przez cały czas nie odrywała uwagi od Vincenta. Bała się spojrzeć na cokolwiek innego.

Nagle z oddali dobiegł męski głos:

– Sto dwa tysiące!

Eleanor poczuła ulgę, jednak trwała ona tylko ułamek sekundy, ponieważ złodziej znów wkroczył do gry:

– Sto pięć tysięcy!

– Vincencie...

Dostrzegła, że kącik jego ust drgnął ku górze. Wyglądał, jakby naprawdę dobrze się bawił.

Z drugiego końca sali ktoś krzyknął:

– Sto dziesięć tysięcy!

Eleanor powstrzymała Vincenta, zanim ten zdążył po raz kolejny unieść tabliczkę. Jej drżące palce kurczowo zacisnęły się na rękawie jego marynarki. Kiedy w następnej chwili odwzajemnił jej spojrzenie, zapytała szeptem:

– Oszalałeś?

Odpowiedział jej kolejnym uśmiechem.

– Nie musisz się o mnie martwić – zapewnił. – Większość psychiatrów zapewne stwierdziłaby, że jestem niepoczytalny, ale zupełnie nieszkodliwy.

– Sto dziesięć tysięcy po raz pierwszy, po raz drugi, po raz trzeci, sprzedane!

Eleanor odetchnęła z ulgą, gdy prowadzący zakończył licytację.

Pracownicy domu aukcyjnego znieśli gablotę z podestu, a po chwili wnieśli na nią kolejny obiekt licytacji.

Wówczas tuż obok dziewczyny rozległ się głos Vincenta:

– Czas na nas. Pierścionek zostanie zaraz przeniesiony do specjalnego pomieszczenia, gdzie będzie oczekiwał, aż ten, kto go wylicytował, uiszczy zapłatę.

– Chyba nie możemy tak po prostu tam wejść, prawda?

– Oczywiście, że nie. Dlatego skorzystamy z systemu wentylacji.

– Co?

Odwrociła ku niemu głowę, na moment zapominając, jak niewielka była odległość, która ich dzieliła. Ich usta niemal się zetknęły, co sprawiło, że Eleanor znów straciła grunt pod nogami.

Vincent natomiast tylko leniwie się uśmiechnął.

– Ufasz mi, Eleanor? – zapytał.

– Nie.

Uśmiech zdobiący jego twarz odrobinę się powiększył.

Mimo słów, które wypowiedziała, bez zawahania chwyciła jego dłoń.

Salę aukcyjną wypełniał tak duży tłum gości, że zdołali wydostać się z niej praktycznie niezauważeni. Przeszli obok *Wielkiej fali w Kanagawie* i już po chwili znaleźli się w opustoszałym korytarzu.

U dołu ściany mieściło się wejście do wentylacji. Nie należało, co prawda, do największych, ale Eleanor była na tyle szczupła, że gdyby wystarczająco się postarała, zdołałaby się przez nie przecisnąć.

Miała jednak pewne wątpliwości. Gdy spojrzała na Vincenta, aby się nimi z nim podzielić, coś boleśnie zacisnęło się wokół jej gardła.

Być może był to sposób, w jaki na nią patrzył – jakby wierzył, że była do tego zdolna. A może chodziło jedynie o fakt, że on zrobił dla niej tak wiele, w zamian nie oczekując niczego prócz tego, by pomogła mu zdobyć pierścione, którego tak bardzo pragnął.

A może ona także była szalona?

Z *pewnością*, pomyślała na sekundę przed tym, jak odpowiedziała:

– W porządku.

Schyliła się, aby ściągnąć ze stóp szpilki, które przysporzyłyby jej więcej trudu niż pożytku. Kiedy się wyprostowała i napotkała spojrzenie złodzieja, ten oznajmił:

– Masz jakieś trzy minuty, zanim do pomieszczenia zostanie wniesiony kolejny przedmiot. Ani sekundy więcej, Eleanor.

El skinęła głową.

*Trzy minuty.*

– Co z kamerami? – zapytała.

– Nie znalazłem ich na planie budynku. Przed wejściem stoi jeden ochroniarz. Musisz być ostrożna, żeby cię nie usłyszał.

– Okej. – Odwróciła się w kierunku klatki wentylacyjnej.

– Eleanor?

Zerknęła przez ramię na Vincenta.

– Tak?

– Uważaj na siebie.

Odpowiedziała mu niewyraźnym uśmiechem.

*Trzy minuty*, powtórzyła w myślach.

Pochyliła się, odsunęła metalową kratkę i podwinęła sukienkę. Korytarze wentylacji były szerokie, ale bardzo niskie, więc przeciskając się przez nie, niemal muskała podbródkiem dolną ścianę.

Minęło kilkanaście sekund, zanim dotarła na miejsce. Spojrzała w dół przez wąski otwór i w skąpanym w ciemności pomieszczeniu zdołała dostrzec niewyraźne kontury różnych przedmiotów. Czowała, jak strużka potu powoli spływa wzdłuż jej skroni. Serce biło nieznośnie szybko w jej piersi.

Wiedząc, jak niewiele miała czasu, chwyciła drżącymi palcami kratkę i właśnie wtedy runęła w dół. Wpadła do ciemnego pomieszczenia, a potem z głuchym trzaskiem wylądowała na podłodze.

Musiła mocno zagryźć dolną wargę, by nie jęknąć, gdy ból zaatakował niemal całe jej ciało. Wstrzymując oddech, spojrzała w kierunku drzwi. Przez szparę tuż pod nimi do pokoju wkradał się słaby blask żółtego światła.

Eleanor odetchnęła z ulgą, gdy pomimo cierpkiego bólu udało jej się sprawnie wstać. Kiedy już miała się odwrócić, usłyszała charakterystyczny trzask zamka. Zdołała schować się za jednym z opartych o ścianę ogromnych obrazów, zanim pomieszczenie zalała fala światła.

Ciszę przerwały najpierw kroki, a później dwa męskie głosy:

– Cholerni bogacze. Wyobrażasz sobie wydać ponad trzydzieści kawałków na rzeźbę w kształcie...

Co to właściwie jest?

– Mnie to wygląda na kota.

Eleanor spojrzała w stronę otwartej klatki wentylacyjnej, modląc się, by żaden z mężczyzn tego nie zauważył.

Mocniej wcisnęła skulone ciało w przestrzeń między obrazem a ścianą i wtedy dostrzegła to, po co tu przyszła – gabłota stała w drugim kącie pokoju, wepchnięta między zabytkowy zegar i jeszcze starsze białe pianino.

W pomieszczeniu znów rozbrzmiał dźwięk kroków.

El zacisnęła powieki, a kiedy otworzyła je kilka sekund później, z każdej strony otaczała ją gęsta, niemal namacalna, ciemność.

Powoli wypuściła powietrze z płuc, po czym wyszła z ukrycia. Przytrzymując się ściany, ruszyła powoli w kierunku gabłoty. Starła się odtworzyć w myślach drogę, na której zapamiętanie miała tak niewiele czasu. Poczowała pod palcami twardą obudowę pianina, postawiła jeszcze kilka kroków i odnalazła gabłotę.

Ostrożnie uniosła szkło, a następnie dotknęła dłonią welurowej poduszki. Ogarnęła ją ulga, gdy jej dłoń zacisnęła się na pudełeczku. Chciała nacieszyć się tą chwilą triumfu, kiedy w jej głowie rozbrzmiał głos do złudzenia przypominający sposób, w jaki mówił Vincent: *Trzy minuty*.

Schowała brylant pod obcisłą sukienką. Potem z drobną pomocą jednego z wartych zapewne tysiące dolarów artefaktu udało jej się wspiąć do otworu wentylacyjnego.

Vincent czekał na nią w miejscu, w którym go zostawiła. Kiedy wydostała się na korytarz, pomógł jej wstać.

– Masz go? – zapytał.

– Tak. – Sięgnęła pod materiał, aby wyjąć pudełeczko.

– Nie. – Zatrzymał ją. – Nie tutaj.

Niespodziewanie chwycił dłoń dziewczyny i splótł razem ich palce. Nie puścił jej ręki nawet długo po tym, jak wydostali się bezpiecznie na zewnątrz, nie wzbudzając niczyich podejrzeń.



## Rozdział 24

Vincent, jak przystało na złodzieja, miał niebywałą słabość do wszystkiego, co było piękne, rzadkie i kosztowne. Kiedy więc obejrzał brylant w świetle starej lampki ustawionej w rogu salonu Eleanor, na jego bladą twarz wkradł się subtelny uśmiech. Trzymał pierścionek między smukłymi palcami, badając wzrokiem każdą drobną żyłkę, jaka widniała we wnętrzu kamienia.

Eleanor stała natomiast nieco dalej, oparta ramieniem o ścianę, i w milczeniu obserwowała, jak oblicze mężczyzny jaśnieje z każdą sekundą. Wyglądał, jakby zakochał się w tym brylancie. Jakby od bardzo dawna nie ujrzął niczego równie pięknego.

– Nada się? – zapytała, przerywając trwającą od dłuższego czasu ciszę.

Złodziej nawet na moment nie oderwał spojrzenia ciemnych oczu od pierścionka.

– Jest idealny.

Dziewczyna jeszcze przez moment mu się przyglądała, po czym oznajmiła:

– Wezmę kąpiel.

Vincent był jednak zbyt zajęty podziwianiem nowej zdobyczy, więc jedynie skinął głową.

Eleanor zostawiła go w salonie i, przechodząc do sypialni, zamknęła za sobą drzwi. Dopiero po dotarciu do łazienki pozwoliła, by w kącikach jej ust odznaczył się grymas bólu. Stała przed lustrem, zerknęła przez ramię i powoli zsunęła ramiączka sukienki. Na jasnej skórze jej pleców powoli wykwił paskudny siniak. Kiedy ostrożnie dotknęła obolałego miejsca opuszkami palców, z jej gardła wyrwał się zduszony jęk. Ból przeszył nie tylko kręgosłup, ale także plecy, ramiona i łopatki. Sprawił, że wszystkie mięśnie nieprzyjemnie się spięły.

El musiała mocno zacisnąć powieki, aby przełknąć cisnące się do oczu łzy. Gdy po kilkunastu sekundach udało jej się uspokoić oddech i zdecydowała się otworzyć oczy, w odbiciu lustra napotkała spojrzenie Vincenta.

Stał w wejściu do łazienki i jak zwykle pojawił się znikąd, bezszelestnie i bezgłośnie.

Eleanor nie zdążyła w porę podciągnąć sukienki, by zakryć zsiniałą skórę.

Złodziej, wciąż milcząc, ruszył w jej stronę. Stawiał wolne, niezwykle ciche kroki. Zatrzymał się tuż za dziewczyną, po czym wsunął palce pod sukienkę i powoli zsunął ją z jej ramion. Zacisnął mocno zęby na widok pleców Eleanor.

El nie odrywała spojrzenia od jego twarzy, zakłętej w tafli łazienkowego lustra.

– Boli? – zapytał głosem tak bardzo niepodobnym do własnego.

– Odrobinę – skłamała, ponownie naciągając materiał na obolałą skórę. – To nic takiego. Powinnam być bardziej ostrożna...

Słowa zamarły jej na ustach, gdy Vincent niespodziewanie przybliżył się o kolejny krok, pochylił się i zrobił coś, co wyrwało z gardła dziewczyny niekontrolowany jęk – musnęła ciepłym, łagodnym oddechem jej skórę.

Palce Eleanor zacisnęły się na krawędzi porcelanowej umywalki, przy której stała. Wstrzymała oddech, czując, jak niewielka odległość dzieliła miękkie wargi Vincenta od jej ciała – znikoma i praktycznie niewyczuwalna. Wiedziała, że gdyby odważyła się cofnąć choćby o cal, z łatwością by ją zniwelowała.

Ból mieszał się z palącą chęcią, by to zrobić, lecz zanim zdołała się na to zdobyć, Vincent zawisł nad jej ramieniem i oznajmił tuż obok jej ucha:



– Należę wody do wanny. – Przesunął wzrokiem wzdłuż szyi El. – Powinnaś wziąć ciepłą kąpiel. Postaraj się nie ruszać.

Eleanor nie odrywała wzroku od lustra, nawet gdy Vincent zniknął jej z pola widzenia. Kilka chwil później usłyszała szum wody i dźwięk stawianych przez niego kroków na łazienkowych płytkach. Kiedy ponownie stanął tuż za nią, dostrzegła na jego twarzy lekki grymas.

– Nie powinienem był aż tak cię narażać...

– To naprawdę nic takiego – zapewniła.

– Czasami zapominam, jak bardzo jesteś krucha. – Powoli wsunął ciepłe palce pod materiał sukienki mniej więcej na wysokości talii. – To już się nie powtórzy...

– Mówię poważnie, Vincencie, to...

– Nie wiem, co bym zrobił, gdyby stała ci się krzywda – wtrącił, skutecznie ją uciszając.

Sukienka opadła na podłogę.

Eleanor przełknęła z trudem ślinę, gdy znów przeszył ją dreszcz – nie przez zimno czy ból. Chodziło o Vincenta, który, na wszystkie diabły, patrzył na nią tak, jak chwilę wcześniej patrzył na brylant. Jakby była najcenniejszym skarbem w jego dłoniach.

– Vincencie...

– Obiecuję, że nigdy więcej cię nie narażę. – Znów nie pozwolił jej dokończyć. Cofnął się o krok, a potem głęboko odetchnął. – Weź kąpiel, Eleanor. Powinna złagodzić ból.

Pragnęła go zatrzymać. Pragnęła coś powiedzieć. Pragnęła sprawić, by nie odchodził, ale głos ponownie odmówił jej posłuszeństwa. Słowa zamarły na jej ustach, nie chcąc wydostać się na powierzchnię.

Jeszcze przez moment po tym, jak wyszedł, stała przy umywalce, zanim zdecydowała się poruszyć. Pozbyła się bielizny i ostrożnie weszła do wypełnionej wodą wanny. Ciepło przyjemnie ukoiło ból i sprowadziło do umysłu dziewczyny nużące zmęczenie.

Eleanor zamknęła oczy, z drżeniem wypuściła z płuc powietrze, po czym objęła ramionami kolana i przyciągnęła je do piersi. Nie była pewna, jak długo tkwiła w takiej pozycji, lecz gdy zdecydowała się rozchylić powieki, woda już niemal całkowicie wystygła.

Vincent stał w progu łazienki.

Od jak dawna jej się przyglądał?

– Lepiej? – zapytał.

– To naprawdę nic poważnego – zapewniła, zdobywając się na uśmiech. Kąciki jej ust wymownie zadrżały, zdradzając, jak bardzo nie potrafiła kłamać. – Mógłbyś podać mi szlafrok?

Vincent bez słowa zdjął satynowy materiał z wieszaka przymocowanego do drzwi i podszedł do wanny. Gdy Eleanor wstała, okrył jej ciało miękkim materiałem, chroniąc je przed panującym w mieszkaniu chłodem. Zanim El zdołała zaprotestować, pochylił się i wziął ją na ręce, robiąc to z taką łatwością, jakby ważyła nie więcej niż piórko.

– Nic mi nie jest – powtórzyła. – Mogę pójść sama.

– Jesteś jedyną kobietą, jaką znam, która nie lubi, kiedy mężczyzna niesie ją na rękach – mruknął.

– Jak wiele kobiet nosiłeś na rękach? – zapytała, zarzucając mu na szyję ręce. Nie miała siły się z nim spierać.

Kącik ust Vincenta zadrżał w rozbawieniu.

Opuścili łazienkę i znaleźli się w sypialni.

– Dlaczego słyszę w twoim głosie zazdrość? – zaciekał się.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Nie jestem zazdrosna. I, proszę, postaw mnie na podłodze.

- Nie.
- Vincencie...

Zamiast spełnić jej prośbę, mocniej zacisnął dłoń na jej talii i ruszył w stronę łóżka. Usiadł na jego brzegu, sadzając sobie Eleanor na kolanach.

- Przestań taki być – poprosiła cicho, odnajdując jego spojrzenie w półmroku pokoju.
- Jaki? – Nie odpuszczał.
- Czarujący. Wtedy jest mi trudniej...

*Ignorować ciepło, które za każdym razem, gdy jesteś blisko, zatrząskuje moje głupie serce w bolesnym uścisku.*

- Przestań sprawiać, że mam ochotę wyznać ci swoje wszystkie grzechy... – dodała.

Z gardła Eleanor wyrwał się niekontrolowany jęk, gdy dłoń Vincenta spoczęła u dołu jej pleców. Przyciągnął dziewczynę ku sobie łagodnym, lecz stanowczym ruchem, przez co materiał szlafroka nieco osunął się z jej ramion, odsłaniając skórę.

Świat zawirował, gdy El pochyliła głowę i niemal natrafiła na jego usta. Nagle powietrze, dotychczas nieprzyjemnie zimne, stało się niemal nieznośnie ciężkie i parne.

- Chcę je poznać – wychrypiał prosto w wargi dziewczyny, sprawiając, że gromadzące się u zbiegu jej ud ciepło stało się nie do zniesienia. – Zdradź mi je wszystkie, Eleanor...
- Nie... – szepnęła, czując, jak opuszki jego złodziejskich palców suną powoli w górę, przez satynę okrywającą jej ciało, wzdłuż krzywizny kręgosłupa.

Nie wiedziała, jakim cudem jego dotyk nie niósł bólu, a słodkie ukojenie. Był jak najlepszej jakości wino – mocne, uderzające do głowy i tak cholernie rozkoszne w smaku. Pragnęła móc upajać się nim najdłużej, jak tylko było to możliwe.

- Vincencie... – Wiedziała, że to, co właśnie miało miejsce, było złe i nigdy nie powinno się wydarzyć.

Cholera, oboje doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Jednak ta świadomość, zamiast sprowadzić ich na ziemię, sprawiła, że przestali próbować nad tym zapanować. Bo to, czymkolwiek teraz byli, miało niebawem minąć. Bezpowrotnie. Nieodwracalnie.

Eleanor poruszyła biodrami i wstrzymała oddech, gdy naparła na twardość w jego spodniach.

Vincent syknął, na moment przymykając oczy. Kiedy rozchylił powieki, spojrzał na dziewczynę niemal gniewnie.

El wiedziała, że w jego wzroku kryło się ostrzeżenie, ale teraz, w tym zgubnym momencie, ani trochę jej to nie obchodziło. Pragnęła znów wyrwać z jego ust ten niekontrolowany dźwięk, dlatego ponownie poruszyła biodrami, tym razem mocniej dociskając je do jego krocza.

Złodziej zareagował niemal natychmiast – zaborczo zacisnął dłoń na jej karku i objął długimi palcami smukłą szyję, jakby chciał ją powstrzymać. Jednak zamiast ją od siebie odsunąć, mocniej objął jej talię, trzymając ją blisko siebie.

- Jesteś moją najśłodszą udręką – powiedział głębokim głosem. Pochylił się tak bardzo, że ich wargi delikatnie się o siebie otarły.

Elektryzujący dreszcz przemknął przez wciąż mokre ciało Eleanor i zatrzymał się u zbiegu jej ud.

Balansowali na cienkiej granicy pomiędzy obłędem a rozkoszą. Pomiędzy tym, co było słuszne, a tym, czego tak desperacko pragnęli.

- Eleanor. – Jej imię w jego ustach zdawało się brzmieć piękniej niż kiedykolwiek wcześniej. Przypominało smutną, niemal złowieszczą, melodię.

W cichej prośbie porywczego serca z ust Eleanor uciekło tych kilka bezwstydných słów:

- Kochaj się ze mną.

Spojrzała w oczy złodzieja. Były czarne, przesywające i bystre. Coś w nich błysnęło. W tej samej chwili poczuła, że lekko zadrżał, a jego palce odrobinę mocniej wbiły się w jej kark.

– Teraz, tutaj... – dodała słabym głosem. – Proszę, Vincencie...

Nie odrywała od niego wzroku, gdy powoli rozchylił wargi. Jego oddech był nieregularny i ciężki.

– Cofnij dłonie – polecił. – I złącz je za plecami.

Eleanor zaschło w gardle. Sposób, w jaki wypowiedział to polecenie, przyprawił ją o kolejny gwałtowny dreszcz. Posłusznie zrobiła jednak to, co kazał – skrzyżowała ręce za plecami.

Vincent pochylił się i, pieszcząc oddechem jej wargi, wychrypiął:

– Grzeczna dziewczynka.

Jęknęła, gdy delikatnie odchylił jej głowę. Choć myślała, że ją pocałuje, jedynie musnął policzkiem jej policzek. Oddech boleśnie ścisnął płuca i gardło Eleanor.

Złodziej chwycił zębami satynowy materiał, który bezszelestnie zsunął się z ramion El. Następnie omiół oddechem jej wciąż mokrą i drżącą skórę, aż w końcu dotarł do jednego ze stwardniałych sutków.

Poruszyła się niespokojnie na jego kolanach, kiedy przybliżył wargi. Dotknął jej – najpierw delikatnie, składając leniwe pocałunki na obojczykach i mostku. Czuł krople zimnej wody na wargach. Czuł, jak El drżała za każdym razem, gdy jego usta spotykały się z jej skórą.

Dobry Boże, uwielbiał świadomość tego, z jaką łatwością potrafił doprowadzić ją do takiego stanu.

Dziewczyna poruszyła biodrami, ocierając się o jego krocze, na co syknął gardłowo. W następnej chwili uniósł głowę i mruknął z przekąsem:

– Jesteś aż tak niecierpliwa?

Drgnęła w jego objęciach, gdy wsunął dłoń w wilgotne kosmyki jej włosów. Po chwili przyciągnął jej twarz ku swojej, przycisnął policzek do jej policzka i nakazał ochryplym szeptem prosto do ucha:

– Zdradź mi jeszcze jeden grzech, najdroższa.

– Nie znoszę cię – wyznała między jednym oddechem a drugim.

Vincent przygryzł płatek ucha dziewczyny, drocząc się z nią nieznośnie powoli.

– Nie znoszę myśli, że niedługo znikniesz z mojego życia – dodała o wiele ciszej.

Choć nie zdawali sobie z tego sprawy, oboje w tej chwili poczuli to samo – nostalgię powoli wkradającą się do ich straconych serc. Miała słodko-gorzki smak rozpacz i, jeśli zgubiło się czujność, do złudzenia przypominała strach.

– Nie myśl o tym – polecił. – Nie dzisiaj.

Tej nocy bezgłośnie poprzysięgli sobie, że cokolwiek miało ich spotkać w przyszłości – a oboje doskonale wiedzieli, że nie mogło być to nic dobrego – w ciągu najbliższych godzin pozostaną na to całkowicie obojętni.

Zasłonią oczy dotąd, aż do ich drzwi wreszcie nie zapuka brutalna prawda. A ta była już o wiele bliżej, niż którekolwiek z nich mogłoby podejrzewać.

Vincent na powrót odnalazł drogę do ust Eleanor. Pocałował ją mocno i zaborczo, skradając z jej warg wszystko, co pragnęła tej nocy mu wyznać. Wszystkie piękne i brzydkie słowa. Każdą prawdę i każde kłamstwo.

Potem opadł do tyłu, ciągnąc dziewczynę za sobą. Wylądowali na miękkim łóżku, złączeni niemal każdym skrawkiem ciała, bliżej niż kiedykolwiek wcześniej. Vincent przerwał pocałunek tylko po to, by ich obrócić. Gdy zawisł nad El, położył ją delikatnie na materacu. Nie chciał sprawiać jej dodatkowego bólu.

W mroku wypełniającym sypialnię odnalazł jej spojrzenie i polecił:

– Unieś ręce.

Spełniła jego prośbę bez chwili wahania.

Vincent, wciąż nie odrywając od Eleanor wzroku, sięgnął do czarnego krawata, który oplatał jego szyję. Rozwiązał go dwoma szarpnięciami, a potem pochylił się i złożył na ustach dziewczyny krótki pocałunek.

Chciał, by na moment straciła czujność. Gdy tak się stało, zasłonił jej oczy materiałem.

– Nie ruszaj dłońmi, jasne? – zapytał, niemal przyciskając wargi do jej policzka.

– Tak.

Przesunął się w dół, przez cały czas niemal dotykając ustami jej skóry. Jego ciepły oddech pieścił jej drżące ciało. Kiedy dotarł do miejsca tuż pod pępkiem, na moment uniósł wzrok i uśmiechnął się, dostrzegłszy, że napierała zębami na dolną wargę, by nie wydawać z siebie tych rozkosznie słodkich dźwięków, które tak uwielbiał.

Eleanor wygięła plecy w łuk, gdy wsunął rękę między jej uda, a następnie rozchylił je i wypełnił przestrzeń pomiędzy nimi. Jęknęła gardłowo w chwili, w której poczuła w sobie jego język. Pozbawiona wzroku i zdana jedynie na słuch, czuła się kompletnie nieporadna. Zdana jedynie na to, co złodziej zamierzał z nią uczynić.

Zacisnęła palce na pościeli i mocno odchyliła głowę.

Vincent nie silił się na delikatność, a ona nie była pewna, jak długo zdoła to znieść. Tak szybko znalazła się na skraju spełnienia, że gdy to zdawało się już być blisko, zapomniała o tym, co powinna robić, i sięgnęła przed siebie rękami, pragnąc odnaleźć go w ciemności.

Pragnęła go dotknąć.

Jęknęła, kiedy niespodziewanie przestała go czuć. Sekundę później smukłe palce niczym kajdanki oplotły jej nadgarstki. Vincent przycisnął ręce dziewczyny do materaca, a jego oddech dotknął jej rozchylonych ust.

Cholera, był teraz tak blisko.

Zacmokał tuż przy jej uchu.

– Eleanor, przecież wiesz, jakie są zasady, prawda? – zapytał.

– Tak... – Jej głos stracił na sile. Przypominał mrukiwy szept.

Kiedy przycisnął ją do materaca, poczuła jego erekcję napierającą na najwrażliwszą część jej ciała. Poruszyła biodrami, nie potrafiąc się przed tym powstrzymać.

– Cierpliwość jest kolejną cechą, której powinienem cię nauczyć – stwierdził.

– Chcę cię dotknąć – jęknęła.

*Chcę cię zobaczyć.*

– Więc zrób to – zachęcił.

Eleanor sięgnęła do krawatu, po czym zsunęła go z oczu. Gdy materiał opadł, tuż przed sobą ujrziała czerń oczu Vincenta.

– Dotknij mnie tak, bym jak najdłużej zdołał cię zapamiętać – poprosił, sprowadzając do jej serca ciężar, z którym nie miała siły się zmagać.

Objęła dłońmi jego blade policzki, przyciągnęła ku sobie jego twarz i w mroku odnalazła drogę do ust złodzieja.

Choć to ona rozpoczęła pocałunek, Vincent szybko przejął nad nim kontrolę. Rozchylił jej wargi, musnął językiem podniebienie i mruknął, kiedy Eleanor wplotła palce w jego białe włosy. Przywarł do niej mocniej, nie protestując, gdy chwilę później sięgnęła do zamka jego spodni. Czuł, że jej dłonie delikatnie drżały, więc postanowił samodzielnie się z tym uporać. Następnie zacisnął rękę na udzie dziewczyny, oplótł jej nogą swoje biodro i spojrzał jej w oczy.

Do jego umysłu ponownie wdarła się ta zwodnicza myśl – jaki miały kolor?

Teraz, tutaj, w mroku sypialni wydawały się zupełnie inne niż za dnia.

– Eleanor... – szepnął zachrypniętym głosem.

Obdarzyła go uśmiechem i delikatnie dotknęła palcami linii jego szczęki.

Patrząc jej prosto w oczy, wszedł w nią gwałtownym pchnięciem. Wyrwał z jej płuc głębokie westchnienie. Pochylił się, a potem zamknął jej usta pocałunkiem, połykając jęk, który z siebie wydała. Całował El powoli i leniwie, dając jej kolejną chwilę.

Eleanor poruszyła jednak biodrami, jakby chciała go pośpieszyć. Uśmiechnął się więc prosto w jej usta i wszedł w nią po raz kolejny.

Dźwięk, który z siebie wydała, odtąd miał nawiedzać go w każdym pięknym śnie.

Przywarła do niego mokrymi piersiami. Przez cienki materiał własnej koszuli czuł, jak twarde były jej sutki.

– Ach! – westchnęła, obejmując jego biodro również drugą nogą.

Chciała poczuć go jeszcze bardziej. Jej ciało także zaczęło się poruszać, wychodząc naprzeciw jego pchnięciom – powoli, bo przy każdym, nawet najdrobniejszym, ruchu wszystkie jej mięśnie nieprzyjemnie się spinały.

Znalazła się na krawędzi spełnienia. Czując, jak była blisko, mocniej do niego przywarła.

Rozkosz zaatakowała Eleanor potężną falą, wyrrywając z jej gardła serię dźwięków, która uformowała się w imię Vincenta. Szepiała je przez długie minuty, kiedy tkwiła w jego objęciach, drżąc i starając się zapanować nad oddechem.

– Jeszcze jeden – wychrypiał, dotykając ustami jej skroni. – Zdradź mi jeszcze jeden swój grzech.

Eleanor zamknęła oczy. W jednej chwili ogarnęło ją tak nużące zmęczenie, że gdy zdecydowała się odpowiedzieć, jej głos przypominał ledwie słyszalny szepot:

– Nie chcę znów zostać sama.

Vincent również zamknął oczy. Oparł czoło o czoło El i tak bardzo żałował, że akurat w tym momencie nie mógł złożyć kolejnej obietnicy.



## Rozdział 25

Vincent nigdy wcześniej nie spędził z kimś nocy. Rzecz jasna, spotykał na swojej drodze wiele kobiet, ale żadna z tych przygód nie trwała na tyle długo, by potem obudził się obok którejś z nich. Pojawiały się, a potem znikwały, jak niemal wszystko w jego życiu.

Gdy więc tego ranka zbudził się ze snu i poczuł przy sobie ciepło drugiego ciała, w pierwszej chwili ogarnęło go niemal nużące przerażenie.

Utkwił spojrzenie w suficie, czując, jak z każdą sekundą jego serce biło coraz ciężiej w piersi. Przez chwilę tkwił w bezruchu, próbując zrozumieć, czy to uczucie mu się podobało, czy też nie. Gdy wreszcie pojął, że nie znał odpowiedzi, powoli spojrzał w dół, na piękną twarz Eleanor.

Jej drobna dłoń leżała na jego nagiej piersi, a ciepły policzek, wsparty na jego ramieniu, wyraźnie kontrastował z białością bladej skóry.

Czuł w tej chwili tak wiele – jej długie włosy, łagodny oddech, nagie piersi przyciśnięte do swojego torsu.

Przełknął z trudem, bo – choć była tak blisko – pragnął jeszcze bardziej zmniejszyć dzielącą ich odległość. Jakby wciąż nie mógł dostatecznie mocno się nią nasycić.

Powoli unióś rękę, która dotąd obejmowała jej nagą talię, i leniwie przesunął opuszkami palców w górę pleców dziewczyny, przez linię kręgosłupa, aż do przestrzeni między łopatkami. Ten łagodny dotyk sprawił, że El zadrżała w jego objęciach i odrobinę mocniej się w niego wtuliła.

Dotychczas Vincent sądził, że ujrzał wszystkie jej najpiękniejsze wersje, ale teraz, mając ją tak blisko siebie, zupełnie nagą, pojął, jak bardzo się mylił. Za każdym razem, gdy był pewien, że Eleanor Cullen nie może już bardziej go oczarować, ona z zadziwiającą łatwością pokazywała mu, jak niewiele jeszcze widział.

– Co robisz? – wymruczała sennie, niemal prosto w jego skórę. Nie uniosła jednak powiek.

– Hm?

– Przyglądasz mi się.

– Skąd ta pewność? – zaciekał się.

Na twarz Eleanor wkraśl się leniwy uśmiech. Chwilę później otworzyła oczy, oparła podbródek na piersi Vincenta i obdarzyła go spojrzeniem.

Czarne włosy osunęły się na skronie El, a on smukłymi palcami zagarnął je za jej ucho, zanim zorientował się, co tak właściwie robi.

– Zawsze, gdy na mnie patrzysz... – Przechyliła głowę, dotykając policzkiem jego nagiej piersi. Złodziej poczuł ukłucie ciepła. Opuszkami palców wciąż powoli sunął w górę i w dół jej pleców.

Eleanor dokończyła:

– Czuję ciężar.

– Ciężar? – powtórzył, nie wiedząc, co miała na myśli.

– Trudno to wyjaśnić – mruknęła. – Więc... dlaczego mi się przyglądasz?

Vincent omiół wzrokiem jej twarz.

– Bo to coś nowego. Ty jesteś czymś nowym, Eleanor.

Uśmiechnęła się na te słowa.

– Jak wiele kobiet poderwałeś już na ten tekst?

– Będziesz pierwszą.

Zaśmiała się sennie, a jej ciepły oddech musnął jego skórę, przez co znów to poczuł – to nieznośnie ukłucie gdzieś głęboko w sercu.

Dobry Boże, ależ on uwielbiał dźwięk jej śmiechu.

– Nigdy wcześniej nie... – Zamilkł gwałtownie.

Czyż przyznawanie się do swoich słabości nie było przypadkiem tym, przed czym od zawsze się wzbraniał? Istniało niewiele zasad, których Vincent starał się za wszelką cenę przestrzegać. Nigdy nie przywiązywał się do miejsc ani tym bardziej do ludzi. Wszystko było dla niego jedynie przejściowym etapem, przystankiem w drodze, którą nieustannie kroczył. Nigdy także nie zdradzał o sobie niczego prócz imienia. Nie rozmawiał o przeszłości. Nie wspominał. Nie tęsknił. I przede wszystkim – nie wyznawał swoich sekretów. Trzymał je głęboko w sobie, skryte i bezpieczne.

Lecz teraz...

Eleanor przyglądała mu się tymi pięknymi oczami, pieszcząc ciepłym oddechem jego skórę i błędząc palcami wzdłuż jego torsu.

W tej chwili czuł, że miała nad nim przewagę, i nawet nie próbował z tym walczyć.

– Nigdy wcześniej nie obudziłem się obok jakiegokolwiek kobiety.

– Naprawdę? – Kąciki jej ust drgnęły ku górze.

– Złodzieje wiodą samotny żywot, Eleanor.

– Więc... Jestem twoim pierwszym razem? – zapytała.

– W pewnym sensie – odparł.

Eleanor przygryzła dolną wargę, walcząc z uśmiechem, który próbował wepchnąć się na jej usta. Dlaczego świadomość, że była pierwszą kobietą, przy jakiej się obudził, była dla niej aż tak satysfakcjonująca?

Dostrzegłszy, że Vincent zmarszczył brwi, zapytała:

– O czym myślisz?

– Chyba skłamałem – stwierdził. – Nie jesteś pierwsza. Raz obudziłem się obok trupa.

Na dźwięk tych słów Eleanor się skrzywiła.

– Jesteś okropny – westchnęła, chcąc się podnieść.

Vincent jednak na to nie pozwolił. Położył dłoń płasko na jej plecach, a potem przyciągnął ją ku sobie, przez co wyładowała na jego torsie. Była tak blisko, że gdy cicho jęknęła, złodziej poczuł ten rozkoszny dźwięk na ustach.

– A ty obłędna – powiedział.

– To już nieco lepszy tekst na podryw – przyznała.

– Sprawdził się?

Kręcąc głową, obdarzyła go uśmiechem.

Niespodziewanie zapadło pomiędzy nimi milczenie.

– Znów to robisz – szepnęła.

– Co?

– Znów na mnie patrzysz, Vincencie.

Omiotł wzrokiem jej twarz, powoli dotykając każdego jej fragmentu.

– Niekiedy nie potrafię przestać – przyznał. – Szczególnie mając cię tak blisko.

Eleanor z drzeniem zaczerpnęła tchu. Jej piersi naparły na twardy tors Vincenta. Czowała bicie jego serca. Czowała opuszki złodziejskich palców powoli sunące wzdłuż linii jej kręgosłupa. Z ogarniającą ją coraz mocniej nostalgią uświadomiła sobie, że to wszystko do złudzenia przypominało sen – piękny, nierzeczywisty i tak przejmująco krótki.



Zaledwie kilkanaście godzin dzieliło ich od ślubu Lucasa i Carli, a tuż po nim, gdy Vincent zdobędzie już to, po co przybył do Nowego Orleanu, ich przygoda bezpowrotnie dobiegnie końca.

Zbudzą się, pożegnają i pewnego dnia w końcu zostaną dla siebie niczym więcej niż odległe wspomnienie. Niż kilka ulotnych chwil, które było im dane wspólnie przeżyć.

Czyż nie tego pragnęła od samego początku? Aby zniknął, gdy to wszystko dobiegnie końca?

– Vincencie.

– Tak, najdroższa?

– Czy możesz złożyć mi jeszcze jedną... ostatnią obietnicę? – zapytała cicho, nie odrywając spojrzenia od jego oczu. Pragnęła zachować je we wspomnieniach. Chciała nauczyć się na pamięć rysów jego twarzy. Dotyku jego skóry na swojej skórze.

– Tak – odpowiedział, również na nią patrząc.

– Nie żegnaj się ze mną – poprosiła. – Kiedy wieczorem spojrzymy na siebie po raz ostatni, tylko się uśmiechnijmy, jakbyśmy oboje wciąż wierzyli, że jeszcze znów się zobaczymy.

– Eleanor...

Nie pozwoliła mu dokończyć. Pochyliła się tak bardzo, że ich wargi się o siebie otarły. Zadrżeli w tym samym momencie.

Dłonie Vincenta mocniej przywarły do jej nagiego ciała. Trzymał ją tak blisko siebie, że dzieląca ich odległość właściwie nie istniała.

– Nie proszę o nic więcej – wyszeptała. – Tylko się ze mną nie żegnaj.

Wiedziała, że tego nie znieśie – ostatnich słów, ostatnich uśmiechów, ostatniego dotyku. Nie znieśie pożegnania, idącego za nim bólu i świadomości, że już nigdy więcej się nie zobaczą.

Pragnęła ich przed tym uchronić. Skąd mogła wiedzieć, że było już za późno? Że w przypływie nieuwagi, oddali sobie nawzajem samotne serca, skazując się na ból, przed którym nie było już odwrotu?

Nie przewidzieli tego, że staną się dla siebie kimś więcej niż okazją do zemsty i sposobem na zdobycie diamentu. Nie podejrzewali, że po wszystkim, czym obarczył ich los, byli zdolni do miłości.

Być może gdyby oboje byli kimś innym i spotkali się w odmiennych okolicznościach, życie byłoby dla nich łaskawsze.

– Gdy to zrobisz, nie mogę zapewnić, że nie spróbuję cię zatrzymać – dodała.

Vincent przełknął z trudem.

– Jeśli spróbujesz mnie zatrzymać... – Jego głos stracił na sile. – Nie będę mógł odejść.

– Wiem. Właśnie dlatego nie możemy się pożegnać, Vincencie.

Skinął głową, ponieważ wiedział, że miała rację.

Nie był pewien, co w tym momencie przerażało go bardziej – ostatnie godziny, jakie im pozostały, czy świadomość, że po raz pierwszy w całym życiu przywiązał się do kogoś bardziej, niż powinien. Bardziej, niż pragnął i mógł.

Spojrzał w jej oczy i, dobry Boże, zrozumiał, jaki miały kolor.

Przypominały szafir w bladych promieniach słońca.

Poczuł ulgę, że w tych ostatnich chwilach zdołał rozwiązać tę zagadkę.

– Obiecuję – szepnęła. – Żadnych pożegnań.

Kąciki ust Eleanor zadrżały w smutnym uśmiechu.

– Żadnych pożegnań – powtórzyła.



## Rozdział 26

Wszystko zaczęło się w rezydencji Miltonów. I również tam miało dobiec końca.

Wzdłuż kamiennego podjazdu ciągnął się sznur drogich samochodów, błyszczących limuzyn i czarnych taksówek. Przed mosiężną bramą roilo się od wścibskich reporterów, ludzi z kamerami i zaciekawionych mieszkańców.

Tego dnia posiadłość Miltonów była jednym z najlepiej strzeżonych miejsc w Nowym Orleanie, mimo to Vincent i Eleanor zdołali dostać się do niej bez większych trudności. A wszystko dzięki zaproszeniu, które, rzecz jasna, było podrobione.

– Państwo – wysoki ochroniarz zmarszczył brwi, zerkając na kartonik – Meyer.

Kiedy mężczyzna uniósł wzrok, Eleanor odrobinę pochyliła głowę. Czarny, elegancki kapelusz przysłonił znaczną część jej twarzy. Odrobinę mocniej chwyciła się Vincenta, który trzymał ją pod ramię. Jej serce ścisnęło się w przerażeniu, gdy poczuła na sobie spojrzenie ochroniarza. Ten jednak już po chwili oddał im zaproszenie i usunął się z drogi, życząc udanego wieczoru. Eleanor odetchnęła z ulgą, dopiero gdy wkroczyli do ogrodu okalającego rezydencję.

– Meyer? – zapytała szeptem, nieznacznie unosząc głowę. Dostrzegła lekki uśmiech błakający się w kącikach ust złodzieja, przez co zrozumiała, że to nie był jedynie zwykły przypadek. – Właśnie tak brzmi twoje nazwisko?

Vincent zerknął na nią z góry.

– Vincent Meyer – powtórzyła. – Podoba mi się. Poczekaj... Czy właśnie poznałam twój największy sekret?

Uśmiech, który zagościł na twarzy mężczyzny, był wystarczającą odpowiedzią.

– Nie martw się. Nikomu go nie zdradzę. Za żadne skarby świata.

– To ostatnie, o co śmiałybym cię podejrzewać, najdroższa.

Zaśmiała się, na moment zapominając o tym, w jakim miejscu się znajdowała. Ta piękna chwila złudzenia nie trwała jednak zbyt długo, bo gdy wreszcie pokonali wyznaczoną przez wysoki żywopłot ścieżkę, oczom Eleanor ukazał się ołtarz.

Między rzędami ozdobionych kwiatami ławek rozwinęto biały dywan, u którego zwieńczenia ustawiono okrągły podest. Tuż nad nim mieścił się natomiast ołtarz, otoczony wysokimi świecami w szklanych wazonach.

Był taki, o jakim zawsze marzyła. Taki, jaki sama dla siebie zaplanowała. Bo to był jej ślub, tylko przez zrzędzenie okrutnego losu to nie ona miała być panną młodą.

– Eleanor?

Głos Vincenta dotarł do niej jak przez mgłę. Przypominał niewyraźny szept, który jakimś cudem zdołał sprowadzić ją na ziemię. Potrząsnęła głową, głęboko odetchnęła, po czym odwzajemniła spojrzenie mężczyzny.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak, po prostu... – Rozejrzała się dookoła. – To wszystko jest takie...

Ta rana wciąż nie zdołała się w pełni zagoić i Eleanor wątpiła, by kiedykolwiek do tego doszło. Kiedy ktoś choć raz znajdzie dla siebie miejsce w naszym sercu, odchodząc, już na zawsze pozostawia je pustym. Tej pustki nie sposób czymkolwiek zapełnić. Należy po prostu pogodzić się

z tym, że istnieje, aż pewnego dnia przestanie nam o sobie przypominać. Stanie się mniej dokuczliwa, mniej bolesna, ale nigdy nie zniknie.

Eleanor zdobyła się na uśmiech i spojrzała na Vincenta, by dokończyć to, co zamierzała powiedzieć. Słowa zamarły jednak w połowie drogi do jej ust, gdy w oddali dostrzegła człowieka, który jeszcze nie tak dawno pozostawił pustkę w jej sercu.

Lucas Milton miał na sobie ten sam garnitur, który wybrała dla niego kilka tygodni wcześniej. Szedł pośpiesznie w ich kierunku, lecz nawet na ułamek sekundy na nią nie zerknął. Bo dlaczego właściwie miałyby to zrobić? Była tylko jednym z wielu gości jego wesela. Nikim więcej.

Odprowadziła go wzrokiem, kiedy minął ich i skierował się w stronę rezydencji. Po drodze przywitał się z kilkoma osobami, które podobnie jak Eleanor i Vincent chwilę wcześniej pojawiły się w ogrodzie.

Większość miejsc na białych ławkach była już zajęta.

– Przepraszam – szepnęła, odnajdując spojrzenie złodzieja.

– Musisz się skupić – przypomniał.

– Tak, wiem. Ja tylko...

– Pamiętasz nasz plan? – zapytał.

Plan, choć nie brzmiał skomplikowanie, wcale nie był aż tak prosty. Na początku mieli dostać się na przyjęcie, potem planowali się rozdzielić. Pierścionek, jeżeli nic nie uległo zmianie od czasu, kiedy to Eleanor miała założyć go na palec, był przetrzymywany w gabinecie Rogera Milтона, w specjalnej skrytce. Aby się do niego dostać, potrzebowali klucza, który posiadały tylko trzy osoby – Roger Milton, jego asystent oraz zarządca domu.

Właśnie ten ostatni mężczyzna miał tego wieczoru stać się celem Vincenta.

Eleanor musiała tylko dostać się niepostrzeżenie na ostatnie piętro rezydencji, odnaleźć drzwi do gabinetu Milтона – co nie powinno stanowić większego problemu, biorąc pod uwagę fakt, że w przeszłości spędziła w tym domu wiele czasu – i poczekać, aż Vincent zjawi się z kluczem. Potem wystarczyło tylko podmienić pierścionki.

– Eleanor?

Dziewczyna znów odpłynęła gdzieś myślami.

– Tak. Pamiętam plan.

Złodziej omiótł wzrokiem jej twarz, jakby chciał upewnić się, że nie kłamała. Kiedy w następnej chwili ją wyminął, Eleanor niespodziewanie chwyciła jego ciepłą dłoń, zaskakując tym także siebie.

Vincent spojrzał jej głęboko w oczy.

– Ja... – Jej ramiona zdrząły, a z ust wydostało się westchnienie. – Po prostu na siebie uważaj.

Kiedy cofnęła dłoń, to on nagle ją pochwycił.

Znów na siebie spojrzeli.

– Eleanor?

– Tak?

– Ty też na siebie uważaj.

Obdarzyła go uśmiechem, a potem powoli wyswobodziła dłoń z jego uścisku. Patrzyła, jak Vincent znika wśród tłumu, zostawiając ją samą pośród tego rozgardiaszu.

Gdy jeszcze raz powiodła wzrokiem dookoła, ujrzała wiele znajomych twarzy. Nikt jednak na nią nie patrzył. Tego wieczoru była bardziej niewidzialna niż kiedykolwiek wcześniej. Nikt nie zerkał w jej kierunku, nikt nie szeptał, nie wskazywał jej palcem. I przede wszystkim – nikt nie mówił, że tu nie pasuje.

Uśmiechnęła się na tę myśl. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę z tego, jak wielkie miała szczęście, że nigdy nie będzie jej dane stać się częścią tego zepsutego świata.

Odwróciła się plecami do ołtarza, już więcej nie zerkając w jego stronę, a potem ruszyła w kierunku rezydencji Miltonów. Minęła lodową rzeźbę w kształcie baletnicy i wkroczyła do ogromnego, wyłożonego marmurem holu.

Wszystko wydawało się takie samo jak w dniu, kiedy była tu po raz ostatni – ta sama zastawa, ci sami goście, ta sama ponura, kłopotliwa atmosfera. Ta sama cisza roztaczająca się pomiędzy krążącą dookoła służbą.

Eleanor skierowała się w stronę schodów, którymi dostała się na wyższe piętro. Odgłos jej szpilek uderzających o marmurowe stopnie rozniósł się echem po długim korytarzu. Zdołała postawić zaledwie dwa kroki, zanim drzwi na jego końcu niespodziewanie stanęły otworem. Pojawiła się w nich kobieta w białej sukni ślubnej w towarzystwie czterech druchen ubranych na różowo.

El zdołała w ostatniej chwili wejść do jednego z pokoi. Oparła plecy o twardą powierzchnię drzwi i z ciężko bijącym sercem słuchała, jak Carla kroczy przez korytarz, w pięknej sukni ślubnej zmierzając do ołtarza, by wziąć ślub, który był jej ślubem.

Mimo wszystko Eleanor nie czuła złości. Czuła żal, ponieważ wiedziała, że Carla na zawsze utkwii w tym, od czego jej udało się uciec – palące spojrzenia, nieustanne szepty, wieczne próby sprostania oczekiwaniom ludzi, którzy sami byli dalecy od ideałów.

Zamknęła oczy, słuchając, jak odgłos kroków Carli z każdą sekundą coraz bardziej się oddalał. Gdy wreszcie ucichł, zdecydowała się unieść powieki. Właśnie wtedy pojęła, że pomieszczenie, do którego przez przypadek weszła, było tym samym pokojem, w jakim kilka tygodni wcześniej spędziła ostatnie chwile z Lucasem.

Te wspomnienia miały słodko-gorzki smak.

Eleanor odepchnęła się od drzwi i w półmroku powoli podeszła do okna. Ostrożnie odsunęła jedną z ciężkich zasłon, po czym wyjrzała na zewnątrz.

Z tej wysokości miała doskonały widok na ogród za rezydencją, na ołtarz i tłumnie zbierających się gości, a także na Lucasa, który przeszedł po białym dywanie w kierunku czekającego na niego księdza.

W tamtej chwili Eleanor pojęła, że czas wcale nie leczył ran, nie koił nienawiści, nie niósł obojętności. On jedynie sprawiał, że przyzwyczajaliśmy się do bólu, jakby był naszym najwierniejszym przyjacielem. Uczyliśmy się z nim żyć, każdego dnia wmawiając sobie, że jest z nami coraz lepiej. Nie istniało bowiem nic bardziej głodnego kłamstwa niż złamane ludzkie serce.

Drzwi tuż za plecami dziewczyny cicho skrzypnęły. Do jednego z pustych pokoi posiadłości Miltonów wkradł się snop żółtego światła, który przywiódł echo dźwięków dobiegających z parteru.

Eleanor zerknęła przez ramię na sylwetkę Vincenta. Ubrany w idealnie skrojony czarny garnitur, wyglądał równie elegancko, jak ludzie, na których chwilę wcześniej patrzyła. Nie przypominał złodzieja.

– Szukałem cię – przyznał. Przekroczył próg i cicho zamknął za sobą drzwi.

– Przepraszam. Chyba zbyt daleko dałam się ponieść temu, o czym powinnam była zapomnieć.

Odwróciła głowę i znów wyjrzała przez okno. Lucas dotarł już do ołtarza i czekał, aż na końcu białego dywanu pojawi się jego wybranka.

– Kogo szukasz, skoro jestem tuż obok, najdroższa? – Głos Vincenta rozbrzmiał tuż za nią. Niemal tak blisko, że poczuła dotyk tych słów na skórze.

– Po prostu patrzę – szepnęła.

– Kłamstwo z tych pięknych ust brzmi wyjątkowo marnie – przyznał. – I muszę przyznać, że ani trochę do ciebie nie pasuje.

Eleanor wiedziała, że nie powinna na to patrzeć, bo przyglądanie się temu, co zostało jej tak brutalnie odebrane, niczego nie zmieniało. Niosło za sobą jedynie kolejną falę bólu.

Niezwykle trudno było El ignorować świadomość, która tak uporczywie uczepiła się jej myśli – nie miała już niczego. Została zupełnie sama. Gdy Vincent odejdzie, samotność znów ją odnajdzie. Nie wiedziała, jak zdoła sobie z nią poradzić.

– Nie myśl o tym – polecił, jakby potrafił zajrzeć jej do głowy.

Złodziej chwycił zasłonę i zasunął ją, sprawiając, że pomieszczenie znów zalała ciemność. Potem przesunął się o kolejny krok.

Eleanor poczuła bijące od niego ciepło, a jej serce ścisnęło się w głuchej tęsknocie.

*Dobry Boże, ależ będzie mi tego brakować.*

– Jak sobie bez ciebie poradzę? – zapytała nieśmiało głosem niewiele pewniejszym od słabego szeptu.

– Eleanor... – wychrypiął, trącając czubkiem nosa jej kark.

Przeszył ją dreszcz tak obezwładniający, że poczuła jego siłę w każdym zakamarku ciała. Bez reszty poddała się ogarniającemu ją pożądaniu. Nie miała siły, by z nim walczyć. Nie chciała z nim walczyć.

– Skłam dla mnie – poprosiła. – Zapewnij, że nie odejdziesz. Pozwól mi uparcie w to wierzyć, Vincencie...

Dotknął wargami jej szyi tak delikatnie, że w pierwszej chwili pomyliła dotyk z ledwie wyczuwalnym muśnięciem chłodnego wiatru, który wdzierał się do pomieszczenia przez uchylone okno. Kiedy jednak pojęła, że to właśnie on ją pocałował, poczuła ucisk u zbiegu ud. Otumaniający i tak cholernie rozkoszny, że nie zdołała powstrzymać cichego syknięcia, które ukradkiem wyrwało się z jej ściśniętego gardła.

– Złam mi serce.

Ciepłe wargi złodzieja zastygły przy rozpalonej skórze dziewczyny. Poczuła tuż przy sobie jego ciało – pewne, silne i tak bardzo znajome.

– Może wówczas sama zapragnę, byś zniknął.

Trącił ustami płatek jej ucha, aby wyszeptać tuż obok niego:

– Znienawidzisz mnie, jeżeli to zrobię...

Eleanor o wiele bardziej wołała nienawiść od samotności, od pożegnania i tęsknoty. Boże, wszystko było od tego lepsze.

– Obiecałem ci, że odejdę bez pożegnania. Zniknę bez ostatniego słowa w chwili, gdy będziesz pewna, że jestem tuż obok. Kiedy się odwrócisz, dostrzeżesz, że już mnie przy tobie nie ma.

El przymknęła nieznośnie ciężkie powieki i odwróciła się w jego objęciach. Gdy otworzyła oczy, w mroku pomieszczenia dostrzegła jego twarz. Czarne oczy skupiały się wyłącznie na niej, jakby nic innego nie było choć w połowie tak istotne.

– W porządku. – Głos jej zadrzał. – Zatem zniknij.

– Zapomnisz o mnie? – zapytał, omiatając wzrokiem jej twarz.

– Nie – odpowiedziała bez cienia zawahania. – Nie zapomnę.

Choć w tej chwili nie pragnęła niczego równie mocno, wiedziała, że nie była do tego zdolna. Jej największą wadą było bowiem to, że – w przeciwieństwie do Vincenta – zbyt mocno przywiązywała się do ludzi. Nic nie przerażało jej bardziej niż samotność. Bała się jej do tego stopnia, iż była gotowa

wkroczyć nawet do zepsutego świata pełnego gardzących nią bogaczy, by mieć obok siebie kogoś, kogo dłoni mogłaby się pochwycić, krocząc w bezmiar ciemności.

– Vincencie...

– Tak, najdroższa?

Gdy spojrział jej w oczy, po raz pierwszy znalazła w sobie dość odwagi, aby nie poprosić, a zażądać tego, czego pragnęła:

– Dotknij mnie. – Głos miała pewniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. – Dotknij mnie tak, bym nawet w najmroczniejsze wieczory nie zdołała wyrzucić cię z myśli. Ukradnij mnie na jeszcze jedną chwilę.

W oczach mężczyzny błysnęło coś złowrogiego i niepokojącego.

– Odwróć się – polecił cicho.

Eleanor zadrżała przez siłę rozbrzmiewającą w jego głosie. Następnie zrobiła to, co kazał, i odwróciła się plecami do wyjścia.

– Oprzyj dłonie na oknie – dodał, ciepłym oddechem muskając jej szyję.

Uniosła ręce. W odbiciu szyby widziała niewyraźny zarys smukłej sylwetki Vincenta. Zamknęła oczy, kiedy jego dłonie odnalazły drogę do jej talii. Smukłe palce zaczęły powoli sunąć w dół, aż zacisnęły się na jej sukience. Podciągnął ją, mrużąc prosto w skórę Eleanor:

– Powinnaś zawsze taka być, El.

Czuła dotyk każdego z wypowiedzianych przez niego słów. Czuła jego silne, postawne ciało napierające na jej ciało – drobne i drżące z rozkoszy.

– Jaka? – odważyła się spytać.

Raptowny jęk wyrwał się z jej gardła, gdy poczuła na pośladkach ciężar jego dłoni. Dreszcz przebiegł wzdłuż jej kręgosłupa.

– Bezwstydną – odpowiedział. – Tak cholernie bezwstydną. Uwielbiam cię taką...

– Vincencie...

– Nie puszczaj się szyby, Eleanor – wtrącił.

Dziewczyna mocniej przycisnęła dłonie na zimnego okna.

– I otwórz oczy – dodał. – Chcę, żebyś patrzyła na siebie. Na nas. Rozumiesz?

– Tak...

Oddech zamarł El w gardle, gdy smukłe palce Vincenta wsunęły się pod materiał jej majtek. Ucisk u zbiegu ud stał się niemal nie do zniesienia. Wiedziała, że nie wytrzyma tego ani chwili dłużej, dlatego szarpnęła biodrami, mocniej przyciskając do siebie ich ciała.

Jeżeli ten moment miał być ostatnim, nie chciała, by dzieliła ich jakakolwiek odległość. Pragnęła czuć Vincenta jak najbliżej siebie. Pragnęła, aby tego wieczoru żadne z nich nie próbowało się powstrzymać.

Rozchyliła powieki i w szybie dostrzegła odbicia ich sylwetek.

– Rozchyl nogi, Eleanor.

Spełniła jego polecenie bez chwili wahania. Cofnęła się o pół kroku i otarła się o wybrzuszenie w jego spodniach, na co cicho jęknął.

– Szerzej – dodał.

*Chryste.*

Eleanor przełknęła z trudem ślinę. Z każdą sekundą jej serce biło coraz ciężiej, oddech przyspieszał, a ucisk u zbiegu ud desperacko domagał się uwagi.

Złodziej pocałował ją w kark, zaciskając dłoń na jej nagim udzie. Jego palce były gładkie i ciepłe. Idealne. Wszedł w Eleanor stanowczym pchnięciem, wyrывая z jej zdartego gardła kolejny głuchy

jęk. Nogi jej zadrżały, a świat wokół zdawał się niebezpiecznie zawirować. El nie oderwała dłoni od szyby, lecz pragnęła pochwycić się czegoś stabilniejszego, choć wiedziała, że nie upadnie. Vincent nigdy by na to nie pozwolił.

– Tylko spójrz na siebie – szepnęła, przyciskając twardego torsu do pleców dziewczyny.

Eleanor powoli uniosła powieki, które zacisnęła pod wpływem nagłego ruchu jego bioder.

W lustrzanym odbiciu dostrzegła ich napierające na siebie ciała. Dostrzegła też własną twarz częściowo skrytą w mroku.

– Jesteś obłądana, Eleanor – dodał, przesuwając ustami w górę jej spragnionej czułości skóry. – I błagam, nigdy więcej nie pozwól, by jakkolwiek mężczyzna sprawił, że w to zwątpisz.

Wykonał kolejne pchnięcie, opierając prawą rękę na szybie, tuż obok jej dłoni. Ich palce niemal się stykały. Drugą rękę wciąż mocno zaciskał na jej biodrze, gniotąc w palcach materiał czarnej sukienki.

Eleanor zadrżała. Nie była w stanie oderwać wzroku od odbicia ich ciał w ogromnym oknie. Było coś grzesznego w tym widoku. I coś cholernie podniecającego.

Gdy ruchy Vincenta wezbrały na sile, oddech boleśnie zacisnął się wokół płuc Eleanor. W przepływie kolejnej fali uporczywego gorąca przesunęła opuszkami palców po gładkiej powierzchni szyby i chwyciła jego silną dłoń.

– Vincencie – jęknęła. Poczuli, że uśmiechnął się tuż przy jej rozpalonej skórze.

– Chcesz, żebym przestał?

Rozchyliła drżące wargi, ale głos znów nie chciał z nią współpracować. Z jej ust wydostało się jedynie bezwstydne westchnienie.

– Eleanor. – Nie odpuszczaj. – Chcesz, żebym przestał, skarbie?

Wiedziała, że musi odpowiedzieć, zanim całkowicie straci kontrolę.

– Nie – szepnęła.

Vincent uśmiechnął się prosto w jej skórę.

– Dzięki Bogu.

Mocno przygryzła dolną wargę, gdy uścisk dłoni złodzieja na jej biodrze stracił na sile. Następnie jego ręka powędrowała ku górze, dotykając linii talii, krągłości piersi, aż w końcu smukłe palce delikatnie zacisnęły się na gardle El.

Odchylił jej głowę.

Znów spojrzała na ich odbicie i spostrzegła, że on także na nich patrzył.

– Masz pojęcie, że w tej chwili byłbym gotów pozwolić ci dosłownie na wszystko, najdroższa?

Serce jej się ścisnęło.

– Dlatego to takie niebezpiecznie. Dlatego ty jesteś tak cholernie niebezpieczna.

Eleanor wygięła plecy w łuk, gdy ruchy jego bioder, choć wolniejsze, przybrały na sile. Wchodził w nią mocnymi pchnięciami, za każdym razem wyrывая z jej gardła kolejne jęki.

– Cokolwiek właśnie ze mną czynisz... – Głos mu zadrżał. – Nie jestem pewien, czy bez reszty się w tym zakochałem, czy też cholernie mnie to przeraża, El.

Pragnęła powiedzieć, że ona także nie miała pojęcia, ale zanim zdołała ubrać myśli w słowa, poczuła eksplodujące w niej ciepło, które niczym krew przemknęło przez żyły i pobudziło każdy nerw w ciele.

Doszła, nawet na moment nie odrywając spojrzenia od ich odbicia.

Chciała na niego patrzeć.

Chciała patrzeć na nich.

Spełnienie miało gorzki smak nostalgii. Przyszło niczym gwałtowna fala, by zasiać w Eleanor spustoszenie, a potem odejść ukradkiem, po cichu, nie dając wystarczająco się sobą nacieszyć. Tuż po



nim nadszedł czas na brutalną rzeczywistość, której El musiała stawić czoła, choć tak bardzo nie chciała tego zrobić. Pragnęła skryć się w tym pięknym kłamstwie i idealnym złudzeniu jeszcze choć przez moment.

Ciepłe usta Vincenta leniwie sunące wzdłuż jej karku pozwoliły dziewczynie po raz ostatni się tym nacieszyć.

Czyż życie w dużej mierze nie polegało bowiem właśnie na przemijaniu? Na cieszeniu się ulotnymi momentami i na czerpaniu z nich tyle, ile tylko byliśmy w stanie, doskonale wiedząc, że niebawem miną?

Istniało wiele rzeczy, które Eleanor Cullen pragnęła w tej chwili powiedzieć.

Chciała poprosić, by nie odchodził, nawet jeśli wiedziała, że nie mógł zostać.

Chciała pójść razem z nim pomimo świadomości, iż zapewne byłaby dla niego nieustannym ciężarem.

Ale przede wszystkim chciała móc jakimś cudem cofnąć czas i zakochać się w nim odrobinę wcześniej, aby mieli dla siebie trochę więcej czasu.

Ostatecznie nie powiedziała jednak ani słowa. Powoli odwróciła się w jego objęciach i w towarzyszącej im ciemności znów odnalazła spojrzenie jego czarnych bystrych oczu.

– Eleanor – szepnął, omiatając wzrokiem jej twarz.

Świadomość, że patrzył na nią w taki sposób po raz ostatni, oplotła jej serce i ścisnęła je tak mocno, że jej głos zadrżał, gdy zapytała:

– Tak?

– Nie rób niczego głupiego, kiedy mnie już tutaj nie będzie – poprosił.

Kąciki ust dziewczyny zadrżały.

– Masz na myśli przebicie opon w jego aucie?

– Mam na myśli zakochanie się w kimś, kto nie jest cię wart.

Lekki uśmiech, który tak nagle zagościł na twarzy Eleanor, wyraźnie pobladł.

– Zaslugujesz na coś więcej niż idiota, który nie potrafi cię docenić. Zaslugujesz na kogoś, kto padnie ci do stóp. Kogoś, kto oszaleje z miłości do ciebie. Nie zakochuj się w kimś, kto nie będzie w stanie dać ci wszystkiego, na co zasługujesz. Obiecuj mi to.

– Ty też musisz mi coś obiecać, Vincencie – szepnęła.

– Cokolwiek tylko poprosisz.

– Gdy dostaniesz się do Londynu... – Uśmiechnęła się smutno. – Wyślij mi ładną pocztówkę. Tylko jedną. Muszę wiedzieć, że bezpiecznie tam dotarłeś.

– W porządku – zgodził się. – Może dorzucę też jakiś magnes.

Eleanor cicho się zaśmiała, ignorując ciężar, który osiadł na jej sercu. Choć Vincent przysiągł, że nie będzie tym, który znów je złamie, jakimś cudem nie udało mu się dochować tej obietnicy.

– Jesteś gotowa? – zapytał, wyciągając z wewnętrznej kieszeni marynarki welurowe pudełko z pierścionkiem.

– Zniszczyć ślub mojego byłego narzeczonego? – zapytała. – Zawsze.



## Rozdział 27

Gabinet Rogera Milтона mieścił się na ostatnim piętrze rezydencji, tuż za dwuskrzydłowymi, ciężkimi drzwiami. Dotychczas Eleanor miała okazję zawitać w nim tylko raz, kilkanaście tygodni wcześniej, gdy krótko po zaręczynach Milton zaprosił ją i Lucasa na rozmowę.

Od tamtego dnia nic w tym pokoju nie uległo zmianie.

Kiedy Eleanor ostrożnie przekręciła skradziony przez Vincenta klucz, zamek cicho trzasnął, a echo tego dźwięku rozniosło się po pustym korytarzu, niknąc gdzieś wśród szumu dobiegającego z ogrodu.

Złodziej został na zewnątrz, by w razie potrzeby poinformować ją o zbliżającej się służbie czy ochronie, choć El wątpiła, by podczas ślubu ktoś zaprzętał sobie głowę wyższymi piętami posiadłości.

Przez wiele lat, które Roger Milton spędził na pierwszych stronach gazet nieustannie rozprawiających o jego okazałym majątku, nikt nie zdecydował się go okraść. Być może przez brak odwagi, a może przez fakt, że media co jakiś czas wspominały o tym, iż przeznaczał część dochodów na cele charytatywne. Zawsze robił to dla rozgłosu i nienagannego wizerunku. Nigdy z dobroci serca. Tego bowiem wcale nie posiadał.

Nie zapalając światła, Eleanor bezszelestnie wsunęła się do środka. Gabinet wielkością przypominał ponad połowę jej malutkiego mieszkania.

Pachniało tu drewnem, pastą do polerowania podłóg i intensywnymi męskimi perfumami. Umeblowanie pomieszczenia było jednak zadziwiająco skromne jak na człowieka, który z łatwością mógłby wykupić kilka sklepów meblarskich. W samym sercu gabinetu stało dębowe biurko z wysprzętanym błyszczącym blatem, na którym starannie ustawiono laptopa, plik karteczek samoprzylepnych oraz kolekcję drogich cygar w eleganckim opakowaniu. Żadnego rodzinnego zdjęcia czy czegośkolwiek, co czyniłoby to miejsce mniej surowym.

Tuż za biurkiem stał rząd wysokich regałów po brzegi wypełnionych książkami w tak idealnym stanie, że wyglądały, jakby nikt nigdy ich nie przeczytał. To właśnie pomiędzy grube tomy wepchnięto małą skrytkę.

Eleanor dowiedziała się o jej istnieniu przez przypadek. Podczas rozmowy, jaką z Lucasem i jego ojcem odbyli w tym miejscu, starała się robić wszystko, by nie spojrzeć w oczy starszego Milтона. Błądziła więc wzrokiem po pustym wnętrzu, aż nagle dostrzegła ją między książkami.

Gdy później zapytała o nią Lucasa, ten zdradził, że jego ojciec trzymał tam najcenniejsze zdobycze, w tym między innymi także pierścionek zaręczynowy, którego na co dzień nie wolno było El nosić.

Skrytka wciąż tam była. Jediną przeszkodę stanowiło hasło.

Eleanor minęła biurko i przystanąła, gdy do wnętrza przez uchylone okno przedostały się oklaski. W następnej chwili odwróciła głowę, a ciekawość okazała się silniejsza – dziewczyna powoli podeszła bliżej szyby. Wyjrzała na zewnątrz w stronę ogrodu, tłumy gości, ołtarza, a także idącej w jego kierunku Carli.

Jej sukienka w kształcie litery A była naprawdę piękna. Idealnie podkreślała szczupłą talię i drobną sylwetkę. Blond włosy uczesała w elegancki warkocz, w który wplotła delikatny wianek.

Wyglądała uroczo i niewinnie. Ani trochę nie przypominała kobiety, która przez miesiące pieprzyła się z narzeczonym najlepszej przyjaciółki, w tym samym czasie pomagając jej w przygotowaniach do ślubu.

Eleanor przez chwilę patrzyła, jak Carla zabiera wszystko, względem czego ona nie czuła już nawet cienia żalu czy też smutku.

Być może nieuchronną częścią straty było nie tyle pogodzenie się z nią, co dostrzeżenie, jak wiele dzięki niej tak naprawdę zyskaliśmy?

Czy Eleanor byłaby szczęśliwa na miejscu Carli, ubrana w białą sukienkę, pod czujnymi spojrzeniami otaczających ją osób, zmierzając w kierunku mężczyzny, który nie miał w sobie dość odwagi, aby postawić się ojcu?

– Nie – odpowiedziała.

Właśnie teraz widziała to wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej – zasługiwała na coś lepszego niż wieczne ocenianie i wymagania, którym nieustannie starała się sprostać. Była wystarczająca taka, jaka była. I jeżeli oni wszyscy nie potrafili tego dostrzec, to mogła czuć jedynie wdzięczność, że los, choć w wyjątkowo okrutny sposób, postanowił pozbyć się tych ludzi z jej życia.

Carla dotarła do ołtarza i z pomocą Lucasa weszła na niewielki podest. Goście znów zasiedli w białych ławkach. W wysokich wazonach zapaliły się świece.

Trwając w złudnym szczęściu, nikt z nich nawet nie podejrzewał, że karma postanowiła ich dopaść. A jej imię brzmiało *Eleanor*.

Eleanor zerknęła na nich po raz ostatni, po czym odwróciła się i podeszła do skrytki. Teraz pozostało jej już tylko odgadnięcie hasła, zabranie pierścionka i powrót do czekającego na nią Vincenta.

Hasło, jak wskazywał podświetlany panel, składało się z ośmiu znaków, co sugerowało, że była to najprawdopodobniej jakaś data.

Pierwszą próbą Eleanor był dzień urodzin Lucasa: **27.05.1995**.

Na panelu pojawił się komunikat: *Błędne hasło*.

El zmarszczyła brwi. Czy istniało coś, co Roger Milton kochał bardziej niż jedyne syna?

Sukces, pieniądze i... firma.

Data założenia Milton Company przypadała: **13.11.2001**.

Skrytka otworzyła się z cichym kliknięciem. Eleanor nie znalazła w środku jednak niczego prócz pliku banknotów związanych gumką, paszportu i kolejnego opakowania cygar.

Brakowało welurowego pudełeczka z pierścionkiem w środku. Brakowało tego, po co ona i Vincent tu przyszli.

Eleanor zdążyła cofnąć się o pół kroku, zanim drzwi za jej plecami otworzyły się z gwałtownym hukiem, sprawiając, że pudełeczko z pierścionkiem wysunęło się spomiędzy jej palców i z trzaskiem wylądowało na podłodze.

Kiedy odwróciła głowę, pierwszym, co zobaczyła, była wymierzona w nią lufa pistoletu.

– Ręce za głowę!

## Część Trzecia

*Człowiek jest, jak się wydaje, skazany na to,  
by czynić więcej złego niż dobrego.*  
– Władysław Szpilman



## Rozdział 28

Wszyscy znów na nią patrzyli. Tym razem ich spojrzenia pozbawione były jednak wyższości, a pełne strachu i zaskoczenia, gdy policjant wyprowadził Eleanor z posiadłości Miltonów. Nikt nie zwracał uwagi na ślub czy młodą parę. Skradła całą ich uwagę, choć w nieco inny sposób, niż początkowo planowała.

Gdy znalazła się w radiowozie, spojrzała w dół, na kajdanki oplatające jej nadgarstki. Były zaciśnięte odrobinę zbyt mocno, przez co nieprzyjemnie wbijały się w skórę. Ból mieszał się z krążącą w żyłach dziewczyny adrenaliną.

Nagle poczuła na sobie ciężar czyjś spojrzenia. Odwróciła głowę i w wejściu do zapierającej dech w piersiach posiadłości Miltonów zauważyła Lucasa. Ubrany w ślubny garnitur, patrzył na nią pustym wzrokiem, jakby jej nie rozpoznawał. Jakby nie miał pewności, że kobieta, którą widzi, to ta sama Eleanor, z jaką chciał spędzić resztę życia.

Po chwili tuż za nim pojawiła się Carla i delikatnie dotykając jego ramienia, sprawiła, że męczyzna drgnął.

Eleanor odwróciła wzrok i zaciśnęła powieki.

Na komisariacie funkcjonariusze zaprowadzili ją do małego pokoju przesłuchań, posadzili na niewygodnym krześle, a potem zostawili samą na długie minuty. Nie mogąc się poruszyć, siedziała więc przy stole, naprzeciw drugiego pustego krzesła, aż drzwi za jej plecami otworzyły się w końcu z głuchym trzaskiem.

W pomieszczeniu pojawił się kolejny policjant. Ten jednak, w przeciwieństwie do poprzedników, nie miał na sobie munduru, a zwykłe czarne spodnie i jasną koszulę. Po kubku z kawą w jego dłoni i lekko poszarzałej twarzy można było z łatwością wywnioskować, że nie spał od wielu godzin albo też został brutalnie obudzony i sprowadzony na komisariat.

Eleanor nawet nie drgnęła, gdy funkcjonariusz z trzaskiem odstawił papierowy kubeczek na stolik. Po chwili na blacie wylądowała także teczka.

– Detektyw Swan – przedstawił się lekko zachrypniętym głosem, po czym pokręcił głową. – Masz poważne kłopoty. Wiesz o tym, prawda? – zapytał.

Mógł być o kilka lat starszy od Eleanor, choć malujące się na jego twarzy zmęczenie wyraźnie dodawało mu lat. Gdy usiadł po drugiej stronie stołu, jego szerokie ramiona lekko się przygarbiły.

– Ukradłeś diament warty cztery miliony dolarów...

– Pięć – wtrąciła, po raz pierwszy od blisko godziny wydobywając z siebie słowo. – Pięć milionów.

Policjant zaciśnął zęby, a w jego kwadratowej szczęce zadrżał mięsień.

– Wiem, że nie zrobiłaś tego sama.

– Bo jestem kobietą?

– Słucham?

Kąciki ust Eleanor zadrżały w lekkim uśmiechu.

– Nie wierzy pan, że kobieta byłaby w stanie okraść jednego z najbogatszych ludzi w całym stanie? – zapytała.

Detektyw nie odpowiedział. Bez słowa przyciągnął do siebie teczkę po blacie stołu, a następnie wyjął z niej zdjęcie i położył je tuż przed dziewczyną.

Gdy Eleanor spojrziała w dół, bez trudu rozpoznała na fotografii siebie i Vincenta. Twarze były jednak na tyle rozmazane, że ktoś inny zapewne nie byłby do tego zdolny.

– Kim jest ten mężczyzna? – zapytał. – Żadnego z was nie ma na liście gości. Ochroniarz nie pamięta, jakie nazwisko widniało na zaproszeniu, które, jak sądzę, było ukradzione albo sfalszowane.

Eleanor nie potrafiła oderwać spojrzenia od zdjęcia. Chciała nawet poprosić policjanta o to, by mogła zachować je dla siebie, lecz w ostatniej chwili zdołała się przed tym powstrzymać.

– Nie mam pojęcia, kim on jest. – Wreszcie uniosła wzrok.

Detektyw Swan chwycił zdjęcia i podsunął je niemal pod jej nos. Widocznie powoli tracił cierpliwość. Jego palce delikatnie drżały z frustracji i gniewu.

– Przyjrzyj się uważnie – polecił. – I nie kłam.

Eleanor pokręciła głową, po czym powtórzyła dokładnie te same słowa:

– Nie znam go.

Policjant głęboko odetchnął, jakby próbował zapanować nad emocjami.

– Chyba nie rozumiesz, co właśnie się dzieje, prawda, Cullen? – Nagle ton jego głosu uległ zmianie i stał się bardziej przyjacielski. Próbował zaskarbić sobie jej zaufanie, zapewne licząc, że coś tym wskóra. – Facet ze zdjęcia cię zostawił, chroniąc własny tyłek. Zabrał ze sobą pierścionek, który wspólnie mieliście ukraść, a potem uciekł.

Eleanor spojrziała na zdjęcie. Było wycięte zapewne z nagrania z kamer sprzed posiadłości Miltonów. Twarz Eleanor zakrywał bowiem kapelusz, którego pozbyła się w pustym pokoju na piętrze.

Wiedziała, że Vincent nie mógłby jej zostawić. Gdzie jednak był? I gdzie, do cholery, podział się ten pieprzony pierścionek, skoro policja sądziła, że to ona go ukradła?

*Nie. Vincent mnie nie zostawił, pomyślała.*

– Jeżeli nie podasz mi jego nazwiska... – Zawiesił głos, czekając, aż odwzajemni jego spojrzenie, a gdy w końcu to zrobiła, dodał: – Masz pojęcie, w co się wpakowałaś, Cullen? Włamanie, kradzież. Całkiem niezła kartoteka, prawda? Jak myślisz, ile lat możesz za to wszystko dostać?

Chyba sądził, że tymi słowami zdoła wywołać w niej strach lub poczucie winy. Eleanor jednak się nie bała. Może w dużej mierze przyczynił się do tego fakt, że właściwie nie miała już niczego, co mogłaby stracić?

Czy gdyby wszystko poszło zgodnie z planem i tego wieczoru wróciłyby do pustego domu, czekałoby tam na nią cokolwiek prócz ciszy, samotności i kilku starych mebli?

– Dziesięć lat – oznajmił, po czym postukał palcem w zdjęcie. – Trzy, jeżeli zdradzisz mi nazwisko tego mężczyzny oraz miejsce, w którym powinniśmy go szukać.

Jeśli Vincent rzeczywiście zniknął, Eleanor pragnęła wierzyć, że był już gdzieś daleko poza granicami Nowego Orleanu.

– To nie ma znaczenia – odparła.

– Pozwól, że to nie ty o tym zadecydujesz.

Na twarzy Eleanor znów odznaczył się lekki uśmiech. Nie potrafiła nad tym zapanować.

– Jego już tu nie ma – szepnęła. – Nie złapiecie go. Nigdy.

Policjant przecesał palcami drżącej dłoni ciemne włosy. Na jego twarzy odznaczył się grymas. Gdy po chwili wstał, zgarniając ze stołu teczkę oraz kubek z kawą, wciąż wydawał się dziwnie przygarbiony, jakby na jego barkach ciążyło coś więcej niż zmęczenie.

– Ktoś zaraz zaprowadzi cię do celi – poinformował. – Masz prawo do adwokata i jednego telefonu, gdybyś chciała gdzieś zadzwonić.

Eleanor skinęła głową, choć nie istniał na tym świecie nikt, kto mógłby jej w tej chwili pomóc.



– Detektywie Swan – zatrzymała go.

Spojrzał na nią przez ramię.

– Tak, Cullen?

– Skąd wiedzieliście? – zapytała.

Zlustrował wzrokiem jej twarz.

– Dziesięć minut przed aresztowaniem dostaliśmy anonimowe zgłoszenie, że podczas ślubu Lucasa Milтона ktoś spróbuje ukraść pierścionek z gabinetu jego ojca.

Zdobyła się na kolejny uśmiech.

Nikt prócz niej i Vincenta nie mógł o tym wiedzieć.

– Rozumiem.



## Rozdział 29

W zimnej celi Eleanor miała wiele czasu, aby zmierzyć się z własnymi myślami, ten bowiem zdawał się płynąć w tym miejscu nieubłaganie wolno, jakby, nigdzie się nie śpiesząc, postanowił ją dręczyć.

Z miejsca na piekielnie niewygodnej ławce miała idealny widok na wiszący na szarej ścianie komisariatu zegar. Jego wskazówki przesuwają się leniwie, wydając z siebie cichutkie tykanie, które echem roznosiło się dookoła.

Była jej zimno, ponieważ wciąż miała na sobie tylko czarną sukienkę i wysokie szpilki.

Była głodna. Od południa nie miała w ustach niczego prócz szklanki wody, którą dostała dopiero po trzech godzinach. Żołądek miała tak ściśnięty, że musiała siłą powstrzymywać mdłości.

Była zmęczona. Czuła ciężar, który z każdą chwilą coraz mocniej osiadał na jej ramionach. Starła się go przepędzić, ale zawsze znów powracał, bardziej dokuczliwy niż wcześniej.

Wskazówki zegara wskazywały ósmą rano, gdy przy drzwiach jej celi pojawiła się żywa dusza. Pulchny policjant wepchnął klucz do zamka i, nawet na nią nie patrząc, rzucił od niechcenia:

– Masz gościa, Cullen.

Kiedy Eleanor powoli wstała, funkcjonariusz założył jej na nadgarstki kajdanki.

– Czy to konieczne? – zapytała. – Jestem tylko złodziejem. Nikogo nie zabiłam.

Mężczyzna obrzucił ją spojrzeniem, mrużąc w odpowiedzi:

– Przepisy.

Została zaprowadzona do sali widzeń, pokoju odrobinę większego od tego, w którym kilka godzin wcześniej odbyło się przesłuchanie. Przy jednym z trzech okrągłych stolików, niczym wklejona z zupełnie innego obrazka, zasiadała Olimpia Lloyd.

Ubrana w elegancką białą sukienkę, z perłowym naszyjnikiem okalającym chudą szyję, kompletnie nie pasowała do ponurego, szarego otoczenia. Wyglądała, jakby wcale nie chciała tu być – na jej ustach widniał grymas obrzydzenia.

Nie tknęła taniej kawy, która stała tuż przed nią. Zapewne prosząc o nią policjantów, spodziewała się otrzymać cappuccino w porcelanowej filiżance.

Na widok młodszej siostry niemal poderwała się na równe nogi. W ostatniej jednak chwili pojęła, że podobne zachowanie nie było na miejscu.

– Eleanor... – zaczęła.

Tymczasem Eleanor, wciąż milcząc, z twarzą pozbawioną wyrazu, zajęła miejsce po drugiej stronie stolika.

Olimpia spojrzała na kajdanki oplatające jej dłonie i pokręciła głową, niczym matka ratująca niemądre dziecko z tarapatów, w jakie znów się wpakowało.

– Dobry Boże, co się stało?

– Zapewniam, że Bóg ma z tym niewiele wspólnego – odparła.

– Rozmawiałam z detektywem, który prowadzi twoją sprawę. Podobno nie chcesz powiedzieć, kto ci w tym pomógł? El, przecież wiem, że nie mogłaś zrobić tego sama.

Eleanor milczała. Nie istniało zbyt wiele słów, które w tej chwili pragnęła wypowiedzieć. Chciała tylko coś zjeść i choć trochę się przespać. Zmęczenie z każdą chwilą doskwierało jej coraz mocniej.

No i desperacko marzyła o tym, by wreszcie ściągnąć ze stóp te piekielnie niewygodne szpilki.

– Potrzebujesz pomocy? Adwokata, może rozmowy z psychologiem?

– Nie jestem chora psychicznie – wtrąciła. – Tylko co najwyżej odrobinę zdemoralizowana.

Olimpia przełknęła z trudem ślinę. Patrzyła na siostrę tak, jakby wcale jej nie poznawała.

Cholera. Przecież one nigdy tak naprawdę się nie znały. Przez wszystkie te lata były dla siebie kimś zupełnie obcym. Więzy krwi były właściwie jedynym, co je ze sobą łączyło, choć Eleanor momentami powątpiewała, czy rzeczywiście były prawdziwymi siostrami. Czy biologiczne rodzeństwo może być od siebie aż tak różne?

– Eleanor, posłuchaj... – Olimpia nie dawała za wygraną. – Policja twierdzi, że nie chcesz z nimi współpracować. Nie rozumiesz, że możesz spędzić resztę życia zamknięta w więzieniu? Naprawdę właśnie tego chcesz?

– Dziesięć lat, które mi grozi to, reasumując, mniej więcej jedna siódma życia przeciętnego człowieka, ale nie mam ci za złe tego, że nie pojmujesz. W szkole to ja zawsze byłam lepsza z matematyki...

– Eleanor, tu chodzi o twoją przyszłość!

– Od kiedy w ogóle cię ona obchodzi? – wtrąciła, sprawiając, że Olimpia zamilkła.

Na jej idealnej twarzy odmalowało się zaskoczenie.

– Oczywiście, że mnie to obchodzi. Jesteś moją młodszą siostrą...

– W takim razie gdzie byłaś przez cały ten czas, co? – Znowu nie pozwoliła jej dokończyć. – Gdzie byłaś, gdy zostałam sama po śmierci mamy? Gdy do ciebie dzwoniłam, bo nie miałam z kim rozmawiać, a ty nie odbierałaś moich telefonów? Gdzie byłaś, gdy mężczyzna, z którym miałam wziąć ślub, na moich oczach zdradził mnie z moją najlepszą przyjaciółką? Gdzie byłaś, kiedy straciłam pracę i zostałam zupełnie sama?

Oczy Olimpii otworzyły się odrobinę szerzej, jakby te słowa nie były tym, co spodziewała się usłyszeć. Po co więc tu przyszła? Czy naprawdę sądziła, że Eleanor wpadnie jej w ramiona i podziękuje za pomoc?

– El...

– Dlaczego pojawiaasz się w moim życiu zawsze wtedy, gdy jestem na dnie? Czy patrzeć, jak sobie nie radzę, sprawia ci aż taką przyjemność? Czujesz się lepiej ze świadomością, że twoje życie w porównaniu z moim jest tak idealne?

– Greg mnie zdradza – wyznała.

Eleanor zamilkła.

– Od bardzo dawna – dodała odrobinę ciszej, jakby było jej wstyd. – Podejrzewałam, że sypia z asystentką, ale nic z tym nie zrobiłam. Wciąż nic z tym nie robię.

– Przykro mi.

Olimpia uśmiechnęła się ze smutkiem, a kąci jej ust zadrżały.

Nie była typem kobiety, która otwarcie przyznawała się do tego typu spraw. Zawsze trzymała wszystko głęboko w sobie. Cierpiała w ciszy i samotności, za wszelką cenę starając się zachować pozory, że wszystko w jej życiu wciąż było idealne – idealne małżeństwo, idealny kochający mąż.

Pod tym pięknym złudzeniem kryło się jednak tak wiele paskudztwa i zepsucia.

– Masz pojęcie, że to pierwszy raz, kiedy szczerze ze sobą rozmawiamy? – zapytała.

Olimpia spojrzała prosto w oczy siostry.

– Chcę ci pomóc, El.

– Ale ja nie chcę twojej pomocy. Już nie.

– Wystarczy, że powiesz policji, gdzie znajdą tego człowieka. Wynajmę dla ciebie adwokata. Najlepszego w całym stanie. Wpłacę kaucję...

– Olimpio – przerwała jej. – Nie chcę, żebyś mi pomagała. Nie chcę tego, rozumiesz?

– Ale...

Eleanor poczuła, że policjant, który ją tutaj przyprowadził, stanął tuż za jej plecami. Czas widzenia minął.

Powoli wstając, czuła na sobie ciężar spojrzenia siostry. Gdy się odwróciła, zdołała postawić zaledwie jeden krok, zanim coś ją zatrzymało. Być może były to marne resztki jej serca, niegdyś tak czystego i przepelnionego miłością.

Spojrzała na siostrę przez ramię.

Po raz pierwszy Olimpia Lloyd wyglądała w jej oczach nad wyraz marnie. Przypominała cię silnej kobiety, którą Eleanor kiedyś znała. Może obie nie były już tymi samymi ludźmi?

– Olimpio?

Siostra poderwała głowę.

– Tak?

– Odejdź od niego – poleciła. – Zaslugujesz na coś lepszego.

– On jest wszystkim, co mam.

Eleanor pokręciła głową.

– Mylisz się. Silne kobiety nie potrzebują słabych mężczyzn.

Olimpia słabo się uśmiechnęła.

Policjant przerwał ich rozmowę:

– Wystarczy, Cullen. Musisz wracać do celi.



## Rozdział 30

O dziesiątej Eleanor dostała kolejną szklankę wody, którą zdołała na krótki czas zapełnić pusty żołądek. Godzinę później, gdy głód znów zaczął jej doskwierać, przy wejściu do celi pojawił się ten sam policjant, który zawitał tam rano.

– Jesteś rozchwytywana, Cullen – zaśmiał się, otwierając drzwi.

Tym razem El nie protestowała i w milczeniu pozwoliła, by skuł jej nadgarstki kajdankami, a potem poprowadził ją do sali widzeń.

Istniało kilka osób, które spodziewała się tam zobaczyć – Olimpię, co wydawało się najbardziej prawdopodobną opcją, Carlę czy nawet Lucasa. Ale nikt z nich tam na nią nie czekał.

Przy okrągłym stoliku zasiadał Roger Milton, ostatni człowiek, jakiego Eleanor podejrzewałaby o pojawienie się w tym miejscu. Wciąż miał na sobie garnitur ze ślubu.

Kiedy El zajęła puste miejsce po drugiej stronie blatu, z zaskoczeniem odkryła, że po raz pierwszy nie czuła strachu, choć przecież Roger Milton był tak blisko, niemal na wyciągnięcie ręki.

Nie przyszedł tutaj, aby ją skrzywdzić. Przyszedł, bo to ona skrzywdziła jego.

– Być może to, co teraz powiem, szczerze cię zaskoczy, Eleanor, ale muszę przyznać, że naprawdę cię lubiłem.

Uśmiechnęła się na te słowa.

– Właśnie dlatego tutaj jestem. Wciąż wierzę, że zachowasz się odpowiednio.

– Odpowiednio? – powtórzyła, marszcząc brwi.

Milton wyglądał, jakby poczuł ulgę, słysząc w jej głosie szczere zaciekawienie. Być może naprawdę myślał, że po tym wszystkim zdoła jeszcze uratować sytuację. Na jego twarzy przez marny ułamek sekundy pojawiło się nawet coś, co przypominało uśmiech. Był to jednak gest tak mocno przerysowany, że Eleanor zapragnęła się zaśmiać.

– Tak. Rozmawiałem z detektywem Swanem. Obiecałem wycofać oskarżenie, jeśli powiesz policji, gdzie jest pierścionek. Wyjaśnimy, że to było tylko nieporozumienie.

– Nieporozumienie?

– Eleanor, posłuchaj. Rozumiem twoje rozgoryczenie...

Tym razem nie zdołała się powstrzymać i już chwilę później cicho się zaśmiała.

– Och, nie. – Pokręciła głową. – Nie jestem rozgoryczona, panie Milton. – Z tymi słowami delikatnie się ku niemu pochyliła. – Po prostu się panem brzydę.

Cień uśmiechu, choć wprawdzie bardziej przypominający grymas, spłynął z twarzy Miltona.

– I proszę przekazać coś ode mnie Lucasowi, w porządku? Niech mu pan powie, żeby się pieprzył.

Milton przełknął z trudem.

Czy wszyscy silni ludzie, gdy tylko spojrzano na nich z bliska, przypominali przestraszone, zagubione dzieci? Czy wystarczyło tylko odebrać im coś cennego, aby poczuli się słabi?

Eleanor wstała, odwróciła się, po czym skierowała słowa do czekającego tuż przy wyjściu policjanta:

– Czy mogę już wrócić do celi?

Mężczyzna skinął głową, ukradkiem zerkając na Rogera Miltona.

Gdy wyszli z pokoju przesłuchań, w wąskim korytarzyku natknęli się na detektywa Swana. Wyglądał o wiele lepiej niż kilka godzin wcześniej, gdy on i Eleanor mieli okazję odbyć pierwsze

spotkanie.

Zmienił koszulę na czarny T-shirt, na który narzucił luźną marynarkę. Z jego twarzy częściowo zniknęło zmęczenie, ale wciąż wydawał się nie w pełni wypoczęty.

– Zaprowadź ją do pokoju przesłuchań – polecił i pochwycił spojrzenie Eleanor. – Musimy zamienić kilka słów, Cullen.

– Czy mogę dostać coś do jedzenia? – zapytała.

\*\*\*

Detektyw Swan postawił przed nią tekturowy kubeczek z czarną kawą i proteinowy batonik z automatu, który mijali w drodze do pokoju przesłuchań. Potem zajął miejsce po drugiej stronie stolika, przecesał palcami krótkie włosy i głęboko odetchnął.

– Wciąż nie dajesz za wygraną, prawda?

Eleanor uniosła dłonie, by chwycić batonik, ale przez kajdanki zaciskające się na nadgarstkach nie była w stanie rozerwać foliowego opakowania. Szybko więc dała sobie z tym spokój, objęła palcami papierowy kubeczek, a następnie upiła łyk kawy. Była nieprzyjemnie cierpka w smaku.

– Ile jeszcze osób zamierza pan tu przysłać, licząc, że zdecyduję się coś powiedzieć, detektywie? – zapytała, wywołując lekki uśmiech na poszarzałej twarzy mężczyzny.

Może jednak się pomyliła i nie byli w podobnym wieku? Teraz wydawał się znacznie starszy niż zaledwie kilka godzin temu.

– Nie wiem – przyznał. – Chciałem jeszcze poprosić Lucasa Milтона, ale odmówił.

Eleanor wzruszyła ramionami.

– To oczywiste. W końcu jest świeżo upieczonym mężem, prawda? Powinien zająć się swoją żoną.

– Ślub został odwołany.

Powoli odstawiła kubeczek na blat, uważając, aby nie rozlać kawy.

– Och. Cóż... – Spojrzała w oczy detektywa. – Nie będę kłamać, że jest mi z tego powodu przykro.

Swan przyjrzał jej się uważnie.

– Cullen... – zaczął. – Powiesz mi, dlaczego?

– Miał pan kiedyś złamane serce, detektywie? – zapytała.

– Nie.

– Szczęściarz z pana – stwierdziła. – Dlatego mnie pan nie rozumie. Czasami kocha się kogoś mocniej, niż się powinno. To najgorsza wada miłości...

– Nie pytam, dlaczego ukradłaś pierścionek – przerwał jej spokojnie. – Pytam, dlaczego uporczywie chronisz człowieka, który ci w tym pomógł?

Kąciki ust Eleanor zadrżały w smutnym uśmiechu.

– Bo czasami kocha się kogoś mocniej, niż się powinno, detektywie – powtórzyła.

Mężczyzna omiół wzrokiem jej twarz, być może pragnąc doszukać się w niej znamion obłądu. Czegokolwiek, co pozwoliłoby mu zrozumieć, dlaczego Eleanor Cullen uparcie próbowała z nim walczyć.

Co jeszcze mógł zrobić, by jej pomóc?

Może gdyby znów spróbował porozmawiać z Lucasem Miltonem i zdołał namówić go do pojawienia się na komisariacie...

Nie dokończył myśli, ponieważ pojął, że bez względu na to, co by uczynił, Eleanor Cullen nigdy nie wyzna mu prawdy. Widział to w jej spojrzeniu. Czuł tę pewność w każdym wypowiedzianym przez nią słowie. Podjęła decyzję i już nikt nie mógł jej pomóc.

Swan głęboko odetchnął.



– To twoja ostatnia szansa. Zdajesz sobie z tego sprawę? – zapytał. – Jeżeli nie zdradzisz mi nazwiska tego człowieka, mam polecenie, by niezwłocznie przewieźć cię do aresztu tymczasowego, gdzie będziesz czekać na proces.

– Wiem, detektywie – odpowiedziała spokojnie. – Nie chcę marnować więcej pańskiego czasu.

Swan poczuł ogarniającą go bezsilność. Nigdy nie był dobrym gliną, ale, cholera, nie mógł znieść myśli, że tak młoda dziewczyna pakowała się w takie gówno. Chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz wówczas na twarzy Eleanor pojawił się lekki uśmiech. Żadne słowa i tak nie zdołałyby jej przekonać.

– W porządku. Chodźmy, Cullen. Już czas.

Detektyw odprowadził ją nieznośnie długim i wąskim korytarzem do wyjścia, gdzie następnie przekazał ją dwóm innym funkcjonariuszom.

– Zdejmijcie jej te kajdanki, do cholery – polecił.

Eleanor poczuła ulgę, kiedy metal przestał boleśnie wbijać się w jej skórę.

– W areszcie dostaniesz coś do jedzenia – poinformował, pomagając dziewczynie wsiąść do samochodu. – Zazwyczaj na powitanie dają przygotowane ziemniaki i przesolony groszek.

El uśmiechnęła się na te słowa.

– Cullen? – zapytał, zanim zamknął drzwi.

– Tak, detektywie?

– Wiesz, że on nie wróci, prawda? Człowiek, którego chronisz.

Znów obdarzyła go uśmiechem.

– Mało w panu wiary, detektywie.

Swan zmarszczył brwi, jednak zanim zdołał o coś zapytać, jeden z funkcjonariuszy oznajmił:

– Powinniśmy już wyjeżdżać. Czekają na nas w areszcie.

– Uważajcie na nią – polecił.

– Lubi wyciągać pazurki, gdy się zezłości? – zaśmiał się ochryple mężczyzna.

– Nie, ale jeśli stracisz czujność, ukradnie ci ten ładny zegarek.

Gdy detektyw zamknął drzwi, Eleanor zaczerpnęła głęboki wdech i przymknęła oczy. Kiedy poczuła, że samochód ruszył, powoli uniosła powieki i spojrzała w dół. Na jej nadgarstkach widniały czerwone ślady po kajdankach.

Odwrociła głowę, a następnie wyjrzała przez szybę. Patrzyła, jak budynki, które mijali, powoli ustępowały miejsca obrzeżom Nowego Orleanu.

Nad wysokimi konarami drzew majaczyły blade promienie jesiennego słońca. Powietrze na zewnątrz było nieprzyjemnie chłodne.

Po raz pierwszy od wielu godzin Eleanor poczuła, że do jej oczu napłynęły łzy, choć przecież nie czuła potrzeby, aby się rozpłakać. Może była już po prostu zbyt zmęczona i kompletnie nie panowała nad reakcjami własnego ciała?

Marzyła tylko o tym, by zjeść coś ciepłego i trochę się przespać.

Pozwoliła powiekom opaść, kiedy nagle policyjny radiowóz zatrzymał się z piskiem opon.

– To dzik? – Rozległ się głos jednego z policjantów.

– Nie bądź śmieszny, to kłoda!

– Wyjdź i się upewnij. Jeżeli to dzik, musimy to zgłosić.

– Ty i te twoje pieprzone paranoje, Jim!

Policjant westchnął i, mrużąc coś złośliwie pod nosem, wysiadł na ulicę, po czym zamknął za sobą drzwi z trzaskiem.

Minęła dłuższa chwila, nim drugi policjant zaklął siarczyście i również wysiadł z samochodu.

Dopiero wtedy Eleanor otworzyła oczy. Pochyliła się delikatnie, a następnie wyjrzała przez kratkę oddzielającą tylną część radiowozu od miejsca kierowcy. Nie dostrzegła jednak niczego na pustej ulicy.

Z westchnieniem opadła na twarde siedzenie. Była tak głodna i zmarznięta, że każda minuta przymusowego postoju wydawała się niemiłosiernie dłużyć.

Drgnęła, gdy drzwi po jej lewej stronie gwałtownie się otworzyły. Odwróciła głowę, mając pewność, że zobaczy jednego z policjantów. Jak wielkie jednak okazało się jej zdziwienie, gdy jej oczom ukazał się białowłosy złodziej.

Głos jej zadrżał, kiedy słabo szepnęła:

– Vincent?

– Tęskniłaś, skarbie? – zapytał.

Eleanor poruszyła bezgłośnie ustami.

– To jest ten moment, kiedy powinnaś rzucić mi się w ramiona, nazwać swoim wybawcą i obiecać dozgonną wdzięczność, ale mamy naprawdę niewiele czasu, więc pozwólmy sobie zachować podobne czułości na później. – Wyciągnął ku niej odzianą w czarną rękawiczkę dłoń. – Chodźmy. Za godzinę mamy samolot do Londynu.

– Do Londynu? – powtórzyła.

– Chyba nie myślałaś, że zostawię cię zupełnie samą w tym zepsutym mieście, prawda? Czyżbyś we mnie zwątpiła, najdroższa?

*Nie. Nawet przez jeden krótki moment.*

Podążyła mu ręką i pozwoliła, aby pomógł jej wysiąść z auta. Właśnie wtedy zauważyła leżących na jezdni policjantów.

– Żyj! – zapewnił złodziej. – Trochę pośpij, a potem zwrócę śniadanie, ale poza tym nic im nie będzie. – Splótł razem ich palce. – Naprawdę mamy niewiele czasu, zanim... – Pociągnął dziewczynę za sobą.

Eleanor postawiła kilka chwiejnych kroków, po czym gwałtownie się zatrzymała.

Vincent zerknął na nią z czułością.

– Skarbie, musimy...

– Oszukałeś mnie – stwierdziła.

– Co?

El przygarbiła lekko plecy, ponieważ nagle wszystko wydawało się tak oczywiste.

– To ty powiadomiłeś policję, prawda? To przez ciebie mnie złapali.

Złodziej głęboko odetchnął. Nie zatrzymał jej, kiedy rozdzieliła ich dłoń.

– Dlaczego? – zapytała.

– Nie rozumiesz? Przecież właśnie to ci obiecałem. – Gdy przybliżył się o krok, Eleanor odruchowo się cofnęła, jakby chciała przed nim uciec, dlatego wyjaśnił: – Obiecałem, że uczynię cię szczęśliwą, ale najpierw sprawię, że staniesz się silna.

– Mogłam cię wydać.

Vincent pokręcił głową.

– Nie.

– Znałam twoje prawdziwe nazwisko. Mogłam...

– Skarbie – przerwał jej łagodnie. W kilku krokach pokonał dzielącą ich odległość, a następnie stanął tuż przed nią. Objął ciepłymi dłońmi jej zimne policzki.

– Okłamałeś mnie – szepnęła.

– Wiele razy – przyznał. Kąciki jego ust zadrżały. – I zapewne zrobię to jeszcze nie raz, ale nigdy cię nie zostawię. Przecież jesteśmy partnerami, pamiętasz?

Eleanor spojrzała mu prosto w oczy. Z jej gardła wyrwał się cichy, żalony jęk.

– Co z pierścieniem?

– Ukradłem go, jeszcze zanim dałem ci klucz do gabinetu Miliona.

– Wiedziałaś, że nie będzie go w środku, gdy tam wejdę? – zapytała.

– Tak.

– Boże. – Potrząsnęła głową. – Nie wiem, czy bardziej pragnę cię uderzyć, czy pocałować.

– Jeżeli mogę wybrać...

– Nie możesz – wtrąciła.

– Och.

– Od... – Jej głos stracił na sile. – Od początku zamierzałaś zabrać mnie ze sobą?

– Nie od początku – przyznał. – Skąd mogłem wiedzieć, że Eleanor Cullen aż tak bardzo skradnie moje serce? – zapytał.

Eleanor z trudem przełknęła ślinę. Mimo całej złości, jaką wobec niego czuła, nie potrafiła zignorować tego rozkosznego ciepła.

Czymkolwiek był dom, miała wrażenie, że właśnie udało jej się go odnaleźć.

– Więc... Londyn? – zapytała cicho.

Vincent obdarzył ją uśmiechem.

– To tylko jeden z wielu przystanków, Eleanor.



# Epilog

*Daily Express, wydanie z dnia 02.08.2023*

## **LOTUS FLOWER TIARA SKRADZIONA Z KRÓLEWSKIEGO SKARBCA!**

W nocy z pierwszego na drugiego sierpnia nieznana liczba sprawców zdołała przedostać się przez zabezpieczenia królewskiego skarbcza, gdzie od wieków Brytyjska Rodzina Królewska przechowuje najcenniejsze eksponaty. Celem złodziei, jak utrzymuje londyńska policja, była tiara, którą Królowa Elżbieta II otrzymała w dniu ślubu, a którą następnie przekazała siostrze – Księżniczce Małgorzacie.

Oprócz *Lotus Flower* ze skarbcza zniknęło także kilka kompletów diamentowej biżuterii oraz perłowy naszyjnik.

Wartość skradzionych przedmiotów szacuje się na blisko sześć milionów funtów.

Świadkowie oraz osoby posiadające jakiegokolwiek informacje o miejscu pobytu lub tożsamości poszukiwanych proszeni są o niezwłoczny kontakt z policją.

## Podziękowania

Na każdą wydaną przeze mnie książkę składa się całe grono osób, dzięki którym tekst, nad jakim pracowałam, może finalnie trafić w ręce czytelników i umilić im kilka długich wieczorów. Choć żadne słowa nie są w stanie wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczna za ich pracę, i tak spróbuję im podziękować.

Dziękuję całej niezwykłej ekipie, która wraz ze mną pracowała nad dopieszczeniem tekstu *Vincenta* – mojej niezastąpionej redaktorce, wszystkim cudownym korektorkom oraz graficzkę za piękną okładkę. Praca z wami była, jak zawsze, czystą przyjemnością.

Dziękuję wszystkim czytelnikom, którzy pokochali pierwotną wersję tej historii. Mam nadzieję, że jej nowa odsłona, choć odrobinę inna, w podobnym stopniu skradła Wasze serca. Wasza obecność była, jest i już zawsze będzie moją największą motywacją do dalszego działania.

Pragnę także podziękować ludziom, jakimi na co dzień się otaczam. Za każdym razem, gdy siadam do pisania książki (zazwyczaj ma to miejsce, kiedy już docieram do jej końca), staję się małym potworem. Wówczas uciekam do wykreowanego przeze mnie świata i czasami nie ma mnie przy Was tak, jak Wy nieustannie trwacie przy mnie. Jestem wdzięczna za Waszą wyrozumiałość w tej kwestii.

Dziękuję Marysi, Julce i Oliwce. Same wiecie za co. Gdyby nie Wy, zapewne poddałabym się w połowie drogi i nigdy nie dotarła do końca. Wasza przyjaźń jest jedną z najpiękniejszych rzeczy, jakie przytrafiły mi się w życiu.

Dziękuję Tobie, drogi czytelniku, kimkolwiek jesteś i jakkolwiek ciężką i trudną drogę masz za sobą. Chciałabym móc z czystym sumieniem zapewnić Cię, że po każdej burzy wychodzi słońce, ale pragnę wierzyć, że i Ty, i ja jesteśmy już za starzy na podobne złudne kłamstwa.

Wiem jednak, że pewnego dnia będzie lepiej, i wiedz, iż jestem dumna, że tak świetnie sobie radzisz.

Na końcu pragnę podziękować Eleanor i Vincentowi. Nasza przygoda, choć miejscami niełatwa i wymagająca, wreszcie dobiegła końca. Piszę ostatnie słowa Waszej historii z ciężarem smutku na sercu. Muszę przyznać, ku własnemu zaskoczeniu, że będę naprawdę za Wami tęsknić, choć zaczynając pracę nad tą książką, nigdy nie podejrzewałam, że zdołam aż tak bardzo się do Was przywiązać. Bezapelacyjnie skradliście moje serce!

Julia

# Playlista

*For The Love Of A Princess* – James Horner, London Symphony Orchestra

*You Don't Own Me* – SAYGRACE, G-Eazy

*I'm A Wanted Man* – Royal Deluxe

*Do I Wanna Know?* – Arctic Monkeys

*Way Down We Go* – KALEO

*I Feel Like I'm Drowning* – Two Feet

*Afterglow* – Ed Sheeran

*Be My Queen* – Seafret

*Body* – Rosenfeld

*Missed You* – The Weeknd

*Wherever I Go* – One Republic

*Forever In My Mind* – LiLucifer, Adventure Club

*Movement* – Hozier

*Love Is Blindness* – Jack White

*Close* – Nick Jonas, Tove Lo

*Sweat* – ZAYN

*Tell Me The Truth* – Two Feet

---

<sup>1</sup> Baton Rouge – położone nad rzeką Missisipi miasto w Stanach Zjednoczonych, które jest stolicą stanu Luizjana (przyp. aut.).

<sup>2</sup> Downtown – jedna z dzielnic Baton Rouge (przyp. aut.).

<sup>3</sup> „The Enigma” – największy oszlifowany czarny diament świata. Został sprzedany przez dom aukcyjny Sotheby’s za 3,16 mln funtów (przyp. aut.).

<sup>4</sup> *For The Love Of A Princess* – utwór Jamesa Hornera z 1999 roku, który wchodzi w skład ścieżki dźwiękowej filmu *Braveheart* (przyp. aut.).

<sup>5</sup> Golden State Warriors – amerykański klub koszykarski uczestniczący w rozgrywkach ligi NBA. Ma swoją siedzibę w San Francisco (przyp. aut.).

<sup>6</sup> *Opowieść o dwóch miastach* – powieść Charlesa Dickensa (przyp. aut.).

<sup>7</sup> William Taft – dwudziesty siódmy prezydent Stanów Zjednoczonych. Okres jego prezydentury trwał od 4 marca 1909 do 4 marca 1913 (przyp. aut.).

<sup>8</sup> *Lotus Flower Tiara* – wysadzana diamentami i perłami tiara, która została wykonana w 1923 r. jako prezent ślubny dla Królowej Elżbiety II. Następnie została podarowana księżniczce Małgorzacie, która nosiła ją aż do śmierci. Nazwa tiary nawiązuje do jej kształtu przypominającego kwiat lotosu (przyp. aut.).

<sup>9</sup> *Le Chat Noir* – restauracja w centrum Nowego Orleanu specjalizująca się głównie w kuchni francuskiej (przyp. aut.).

<sup>10</sup> Lafayette – miasto w południowo-zachodniej części Luizjany, oddalone od Nowego Orleanu o około sto pięćdziesiąt mil (przyp. aut.).

<sup>11</sup> *Wielka fala w Kanagawie* – drzeworyt autorstwa japońskiego artysty Hokusai, powstał około 1831 roku (przyp. aut.).